



640/91

K



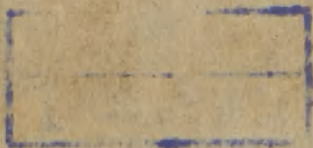


*Wojciech
Seminarium
Kurs II*

SYBILLA

Opowiadanie, osnute na tle pierwszych
czasów chrześcijaństwa

Opracował Antoni Sępański



LPT 4d

Handwritten notes and signatures, including "LPT 4d" and "B/R".

K 19 391 a
1768489 I

K-91/640
18.2. 14.000,-



Było to w końcu grudnia. Na dzielnych rumakach pędziło drogą z Rzymu do Tyburu ²⁾), dzisiejszego Tivoli, dwóch jeźdźców. Mieszkańcy przydrożnych wiosek z podziwem spoglądali na śliczne, pełne ognia wierzchowce.

To konie ze stajni cesarskiej, szeptali. Tak też było w rzeczywistości. Obydwaj jeźdźcy okryci byli długimi płaszczami, sięgającymi aż do strzemion; bo choć dzień był pogodny i na całym horyzoncie nie było widać ani jednej chmurki, przecież wiał dość silny wiatr wschodni i pokrył ich twarze rumieńcem.

Starszy z nich liczył około lat pięćdziesięciu; wyraz jego twarzy niewieści, włosy kędzierzawe, toga starannie upięta. Młodszy sprawiał wrażenie marzyciela, poety, czy też artysty. Obydwaj należeli do najslawniejszych mężów stolicy państwa. Starszy, Mecenaz³⁾), przyjaciel i doradca cesarza Augustyna; młodszy — Wergiliusz⁴⁾), który w cudnych poezjach, dzisiaj jeszcze z zachwytem czytanych, uwiecznił imię przyjaciela swego. Jakkolwiek obydwaj jeźdźcy przyspieszali biegu, co świadczyło, że zależało im na pospiechu, przecież od czasu do czasu pozwalali odetchnąć koniom. Wtenczas, jadąc wolniej obok siebie, nawiązywali rozmowę na temat, jaki w tej chwili myśli ich zajmował.

— Jak ci już, kochany Wergiliuszu, wspomniałem — odezwał się Mecenaz — to jakkolwiek senat i naród

cały przejęty jest najwyższą czią dla cesarza Augusta, to ma on jednak skrytych nieprzyjaciół. Starzy senatorowie nie mogą zapomnieć republiki, a młodszy są niezadowoleni z trwającego obecnie pokoju; woleliby wojnę, która okryłaby ich chwałą i obsypała bogactwami.

— Zapewne, szlachetny Mecenasio — odrzekł Wergiliusz — mamy wśród naszych patrycyuszów ludzi, którzy pragnęliby powrotu straszliwych dni z czasów Maryusza, Sulli, Pompejusza i Cezara, aby w potokach krwi ludzkiej szukać dla siebie zysków. Ale właśnie dlatego, że piętrzą się składane na cześć Augusta glazy na glazy, stawiają świątynie i ołtarze, odejdzie niejednej gorącej głowie chęć przyłożenia ręki do przewrotu obecnego porządku.

— Tak, jak Augustowi, nie sprzyjało dotąd szczęście żadnemu śmiertelnemu człowiekowi... jest on zaprawdę ulubieńcem bogów...

— I zasługuje na to najzupełniej — zawołał z zapalem Wergiliusz. — Cóż on nie uczynił dla Rzymu i całego kraju! Pod jego panowaniem zakwitł złoty wiek, który przepowiadały starożytne baśnie i legendy. Mógłbyś sobie wyobrazić Rzym i państwo rzymskie bez Augusta? Cześć, jaką mu składa senat z narodem, to wieniec, jaki mu się słusznie należy, wieniec, na który nie zasłużył dotąd żaden z śmiertelnych.

— A któż więcej stara się wzbogacić wieniec jego nowemi lauru liśćmi, jeśli nie ja? — zapytał Mecenias. Jeśli mu nadają najszczytniejsze tytuły, to wie o tem cesarz, że dzieje się to za moją inicjatywą. Kiedy w rocznicę jego trzydziestoletnich rządów nadano mu przydomek „Ojca narodu“, najszczytniejsze imię, jakim kiedykolwiek nazwano panującego, nie szczędziłem pieniędzy, aby przydomek ten uchwalił senat jednomyślnie wszystkiemi sześciuset głosami.

— Z pewnością i teraz nie zaniechasz wpłynąć na senat, aby mu dano przydomek „Divus“ (tj. boski) i aby budowano na cześć jego świątynie i ołtarza. I na wszystkie bogi, nie czczy to dla niego tytuł! Od niepamiętnych wieków wierzą na Wschodzie, że zstąpi Bóg z nieba, który będzie zbawieniem świata, da mu pokój i szczęście; czy oczekiwania te mogą się w większej mierze sprawdzić, jak w naszym boskim Augustusie?

— Oczekajmy, co na to powie Sybilla. Jeśli kobieta ta, z której ust płynie mądrość niebieska, pochwali zamiary nasze, wtenczas przyłożę z chęcią ręki do tem większego uświetnienia imienia Augusta.

Dawszy ostrogów koniowi, ruszył Mecenas żwawym klusem naprzód a za nim podążył i Wergiliusz. Przebyli już strumień siarczany (Aquaе albulae) i zbliżali się do celu podróży. W dali ukazała się świątynia Tyburta, wznosząca się nad miasteczkiem, i coraz wyraźniej zarysowywały się śliczne wille i domki pobudowane po bokach wzgórza. Cudowny krajobraz! Tamże znajdowała się także willa Mecenas. Choć często tutaj jeździł, dzisiaj o wiele więcej uderzała go piękność położenia jego zamieszkania. Dążył tudotać, aby po krótkim odpoczynku ruszyć dalej w drogę i spełnić jeszcze przed zachodem słońca zleconą sobie misję. Droga wiodła przez gaj oliwny, więc jeźdźcy zwolnili biegu.

— Powiedz mi, szlachetny Mecenasie — odezwał się Wergiliusz — cóż wiesz pewnego o Sybilli? Ze bogowie dają poświęconym im dziewicom dar proroczy, któżby o tem wątpił? Toć na Kapitolu⁵⁾, lat temu sto, przechowywano jeszcze księgi sybillińskie, z których senat w ważnych wypadkach zasięgał rady. Gdy podczas pożaru Kapitolu spaliły się i one księgi, kazał cesarz Augustus spisywać w Grecyi i na Wschodzie owe proroctwa...

— I ja sam — dodał Mecenasa — czytałem jej prociwta, które się po wojnie domowej spełniły na osobie Augusta.

— Nie dziwię się, że bogowie, uczyniwszy sobie Augusta ulubieńcem, wskrzesili nową Sybillę, która by służyła mu radami. Wdzięczny ci jestem, że mogę ci w misyi do niej towarzyszyć. Zanim jednakże ją zobaczę, chciałbym coś więcej o niej się dowiedzieć.

— Kiedym przed dwudziestu laty kupił tę posiadłość, na której pobudowałem później willę, Sybilla już od lat wielu tu przebywała i zamieszkiwała jaskinię nad potokami, w miejscu, gdzie rzeka „Anio“^(*) tworzy wodospad. Wszyscy czcili ją jako od bogów natchnioną i w rozmaitych przygodach do niej się udawali. Zwaśnionych godziła, smutnych pocieszała, żyjących w rozkoszach napominała, a z ust jej płynęły słowa, jak najcudniejsza poezya. Zdradza ona wysokie pochodzenie; Grecya jest jej ojczyzną, poznać to po szlachetnych rysach jej twarzy.

— Nigdy jej się o to nie pytałeś?

— Owszem, lecz położyła palec na usta i milczała. Pewnego razu rzekła: „Tak, jak przybyłam, tak też zniknę, gdy przyjdzie dzień upragniony, którego z utęsknieniem oczekuję“. Unika stosunków z ludźmi, żywi się roślinami i korzonkami, nic od nikogo nie przyjmuje. Mieszka w jaskini nad wodospadem Anio; w przedniej części tejże jaskini udziela posłuchania i tam będziemy z nią rozmawiali; w głębi tejże jaskini dotąd ludzka noga nie postąpiła.

Tak rozmawiając, przybyli nasi podróżni do willi Mecenasa, gdzie ich przed drzwiami oczekiwał zarządca willi (villicus) z kilku niewolnikami.

Dzisiaj nawet można oglądać ruiny owej willi, po lewej stronie starej drogi, naprzeciw niewielkiemu wo-

do spadości, w formie kaskady (słopni), gdy tymczasem ów wspomniany wielki wodospad znajduje się po drugiej stronie miasta.

Do willi wiodła droga wysadzona drzewami cyprysowemi. Wergiliusz był tu częstym gościem i tutaj, w zaciszu, uposażeniem przez naturę niewysłowionem bogactwem precudnej roślinności, napisał sławny swój poemat „Eneidę”. Przebywali tu także dwaj najwięksi poeci z czasów augustowskich, Horacy i Owidyusz. Mimo pory zimowej kwitły w południowej części parku prześliczne róże, a inne wiosenne kwiatki już na dobre rozkwitły i napełniały park świeżą wonią. Nawet pszczołki, korzystając z dnia słonecznego, opuściły ule i brzęcząc wesoło, siadały z kwiatka na kwiatek.

W triclinium, czyli jadalni, można było podziwiać najznakomitsze dzieła sztuki, malarstwa i rzeźbiarstwa. Ściany ozdobione były malaturami, przedstawiającymi czasy bajeczne Rzymu; na ozdobnych postumentach stały rzeźbione popiersia przodków właściciela domu. Posadzka była z kolorowej mozaiki, a na niej sceny z życia ludu wiejskiego. Pomiedzy filarami, skąd rozciągał się wspaniały widok na Rzym, były rozwieszone drogocenne kobierce. Wergiliusz nie mógł oderwać wzroku od tej cudnej panoramy, tak, że Mecenas musiał go prosić kilka razy, aby usiadł do stołu.

Na rozkaz Mecenasa przywołano rzadcę domu, aby opowiedział, co mu wiadomo o Sybilli.

— Nie bierze ona nigdy udziału w obchodzie świąt bogów — zaczął opowiadać — ale też nie przeszkadza ludowi w jego obrządkach. Gdy w nocy burza się zerwie, natenczas wychodzi ze swej jaskini na szczyt góry, sterczącej ponad wodospadem, i gdy zawierucha na chwilę ustaje, można słyszeć jej śpiew podobny do

skargi, tęskny, wzruszający do głębi. Na tej skale przesiaduje całemi godzinami z wzrokiem zwróconym na Wschód.

— Od jak dawna przebywa ona w tej okolicy? — zapytał Wergiliusz.

— Mniej więcej od czasu, kiedy nasz boski Augustus zasiadł na tronie cesarskim. Przypominam sobie, jak tudotąd przybyła; liczyła wtenczas około lat trzydziestu; od tego czasu upłynęło znowu lat tyleż: przecież nie widać po niej śladu starości, pozostała taką, jaką była, gdy ją pierwszy raz widziałem. Gdy spostrzeże u ludu coś nagany godnego, wtenczas karci ostro, lecz zawsze z powagą, — daje napomnienia i nauki. Wielu mieszkańcom, którzy byli w biedzie, przybyła niespodzianie z pomocą. Dlatego też uważają ją ogólnie za ducha opiekuńczego Tyburu. Nie dziwiłbym się, gdyby potomność wybudowała na cześć jej świątynię.

Opowiadanie to pobudziło niezmiernie poetycką fantazję Wergiliusza; przyznawał słuszość Augustynowi, że radził się Sybilli, czy ma przyjąć ofiarowaną mu godność bóstwa, czy też odrzucić. Zaspokoivwszy głód, przynaglał Mecenasą, aby bez zwłoki puścić się w drogę.

Mieszkańcy miasteczka pozdrawiali pokornie Mecenasą jako przyjaciela cesarza i swego dobrodzieja. Minawszy świątynię Tyburtusa, doszli nasi znajomi do stóp skały, z której spadała z wścieklą gwałtownością rzeka Anio. Wąską ścieżyną poczęli piąć się w górę. Po mozolnej, nie bez niebezpieczeństwa życia przeprawie, dotarli do połowy wodospadu. I oto ujrzeli kobietę siedzącą na skale, z głową wspartą na dłoni i zapatrzoną w huczące nurty potoku. Na głowie miała kolorową chustę, zwiniętą na sposób turbanu.

Obydwaj podróżni przypatrywali jej się z uczuciem czci i czekali, aż sama się podniesie i do nich przemówi. Nie długo potrzebowali czekać. Zoczywszy ich, wstała i zbliżyła się ku nim.

— Przysyła was cesarz... — odezwała się głosem łagodnym — witam was. Zanim jednakże mi opowiecie, pociście przybyli, wstąpcie na tę oto skałę i przypatrzcie się potokowi.

Obydwaj goście uczynili, jako im kazała.

Spojrzeni na dół; oczom ich przedstawił się widok imponujący. Z hukiem woda spadała w przepaść i w pył się rozbijała; a wciąż nowe napływały masy wody, tocząc z poprzednimi nieustanną walkę; to pieniać się, przelewały się jedne przez drugie, to znowu jakby w konwulsyjnym uścisku wystrzeliwały w górę, zakipiały i ginęły, szukając miejsca w ujściu wodospadu.

— Tak się dzieje dzień i noc — odezwała się głosem doniosłym Sybilla — mijają lata i wieki całe; lato po zimie, zima po lecie, pokolenia następują po pokoleniach. Pienia się nurty wód, a wciąż nowe spływają: oto obraz odwiecznej niezmienności wśród ustawicznych zmian; odwiecznej niezmienności, a przecież wciąż odwiecznie świeżej i nowszej. A my śmiertelni, czemu jesteśmy?... Listkiem jesiennym, który wiatr otrząsł z gałązki i rzucił w te oto nurty — i znikł na zawsze. Przypatrzcie się temu obrazowi, a potem powiedzcie mi, pociście tu przybyli.

Obydwaj mężowie stali wpatrzeni w pieniać się nurty potoku. Na dany znak zwrócili się w stronę groty.

— Nikomu ze śmiertelnych nie pozwoliłam dotąd wstąpić do przybytku mego — odezwała się Sybilla — wam pierwszym odsłonię tajemnicę tegoż, i tajemnicę, która jest największą i świat cały uweselającą.

To powiedziałwszy, weszła pierwsza wążkiem przejściem do groty i wskazała obydwom gościom siedzenia pokryte kobiercami; sama zaś usiadła na ławie z kamienia naprzeciw wejścia.

Obaj mężowie znajdowali się pod tak silnem wrażeniem niezwyklej tej niewiasty, że nic prócz niej nie widzieli. Nie zauważyli więc ani napisów na ścianach,

wypisanymi w obcym języku, ani złotego świecznika o siedmiu ramionach, stojącego na pokrytym wschodnią materią stole.

Światło, padające z dworu, oświecało wieszczkę. Była to postać wysoka, nakazująca szacunek. Z pod kolorowego turbanu spływały po obu stronach twarzy w długich kędziurach, czarne jak heban włosy. Twarz szlachetna, rysy regularne, spokojne. Grecki chiton czerwonego koloru (grecka suknia kobiet) układał się w szerokich fałdach dokoła jej członków; — ozdób żadnych nie miała.

Sybilla zatrzymała wzrok swój na twarzy Mecenasas. Jeszcze nigdy nie czuł się Mecenas tak małym, tak nie nieznaczącym jak wobec tej skromnej kobiety. Upłynęło kilka chwil, zanim zdołał oprzytomnieć i opowiedzieć, poco przybył.

— Już lat trzydzieści, jak Augustus zasiada na tronie rzymskim; rządy jego promienięją blaskiem chwały, jak dotąd nie było w świecie przykładu; władza jego sięga od Zachodu aż do najdalszego Wschodu; wszystkie ludy cieszą się dobrodziejstwami, jakie na nas zlewa i upatrują w nim postanęgo od bogów zbawiciela ludzkości, którego od niepamiętnych czasów spodziewano się na Wschodzie; budują mu już ołtarze i świątynie i oddają cześć boską; senat, pragnąc spełnić życzenie ludu, chce go już za życia policzyć w poczet bogów. Powaga władzy Augusta przez to wzmocniłaby się i utrwaliła. Niestety, zawsze skromny Augustus, nie chce godności tej przyjąć; lecz ponieważ senat uporczywie przy żądaniu swoim obstaje, postanowił nasz boski Augustus zasięgnąć u ciebie rady: czy ma godność tę przyjąć, czy też ją odrzucić? Wdzięczny byłby tobie, gdybyś go odowiedziała dzisiaj jeszcze; jeżeli jednak nie zechcesz, daj nam odpowiedź jako jego wysłannikom.

— Przybędę sama — odrzekła — gdy słońce zajdzie niechaj mnie Augustus oczekuje.

— O której godzinie każesz, abym ci przysłał lektykę?

— Nie potrzeba mi lektyki; zadowolnij się tem, co ci powiedziałam: że przybędę.

— Jakże pragnąłbym choć drobnostką ci się przysłużyć, tem więcej, że chciałbym polecić siebie i dom mój opiece twojej i twemu błogosławieństwu.

— Tobie i twemu towarzyszowi da Bóstwo odwieczne dnie szczęśliwe i to, czego wy, śmiertelni, najwięcej pożąacie: nieśmiertelność w pamięci potomności.

Temi słowy pożegnała wieszczka obydwóch mężów, którzy, z czcią się skłoniwszy, odeszli.

— Czyś kiedy wobec jakiegokolwiek istoty ziemskiej czuł się tak małym, jak wobec tej kobiety? — zapytał Wergiliusz Mecenasa.

— Na wszystkie bogi! — odrzekł zagadnięty — Augustus ma słuszość, że się jej radzi.

Wróciwszy do willi, dosiedli nasi znajomi wierzchowców, aby jeszcze przed zachodem słońca dać cesarzowi pomyślną odpowiedź. W drodze rozmawiali tylko o niezwyklej wieszczce.

Mecenas odwiedził już dawniej w Delfi miejsce wyroczni Apola i widział arcykapłankę Pytię, siedzącą na złotym trójnogu, i słyszał jej wyrocznie; lecz o ileż wyższą, więcej natchnioną była Sybilla!

SPRZYSIĘZENIE.

Wśród ludności żydowskiej, zamieszkałej podówczas w Rzymie, objawił się tegoż dnia ruch niezwykle. Prócz żydów-niewolników, których przywożono na rynek rzymski, byli także, którzy posiadali wolność już to okupioną, już też od urodzenia. Zajmowali się oni handlem, a mianowicie zamianą pieniędzy; zamieszkiwali osobną część miasta, gdzie mieli własne synagogi i mogli bez przeszkody oddawać się praktykom religijnym.

W owym czasie nakazano rozporządzeniem cesarskiem w całym państwie rzymskiem spisać ludność. Z powodu tego nakazu popisu ludności udał się także, jak nam z historii wiadomo, święty Józef z Najświętszą Maryą Panną do Betleem. Wielu Żydów, przywiązanych do kraju ojczystego, wołało zapisać się w Palestynie niż w Rzymie. Byli między nimi i tacy, którzy pochodzili z rodu Dawida. Ci oczywiście, choćby tylko dla przekazania potomności swego pochodzenia, woleli udać się do Betleem i tamże wpisać imiona swoje w rejestr.

Przed kilku dniami zawinął na rzecę Tyber, poniżej miasta okręt kupiecki, który wylądowawszy towary, tejże jeszcze nocy wracał na Wschód. Korzystali z nadarzającej się okazji żydzi, chcący udać się do Palestyny i w ojczyźnie przebyć święta Paschy, więc spieszenie sposobili się do drogi, pakowali rzeczy, żegnali krewnych i znajomych.

Kiedy w drodze do Tyburu wspomniał Mecenase Wergiliuszowi, że cesarz Augustus ma wielu nieprzyjaciół, nie polegał na mało znaczącem przypuszczeniu, ale musiał mieć ważne do tego powody. Tak też było w rzeczywistości. Starzy senatorowie nie mogli przeboleć upadku republiki, na której gruzach cesarz tron swój ustawił; znikła dawna wspaniałość i powaga senatu; cień zaledwie pozostał tego co było. Młodszy z lekkim spoglądali w przyszłość, kiedy na tronie zasiądzie adoptowany syn Augusta, Tyberyusz, dzisiaj już dający dowody niepomahowanej pychy i okrucieństwa. Mimo że Augustus rządził sprawiedliwie, podniósł dobrobyt w kraju, otoczył opieką naukę i sztukę, które za jego rządów największym zakwitnęły blaskiem, przecież popełnił niejedne uchybienia, usuwając ludzi zasłużonych z zajmowanych przez nich stanowisk. Przed kilku dniami usunął Cnejusza Korneliusza Cynne, siostrzeńca wielkiego Pompejusza, starającego się o krzesło

w konsulacie, a usunął go dlatego, że istniała dawna zawiść pomiędzy rodem Pompejusza a rodem jego. Krewnego Cynny, Korneliusza Gallusa, namiestnika Egiptu, człowieka pysznego, który kazał sobie pomniki stawiać i imię swoje na egipskich piramidach ryc, zrzucił Augustus na wniosek senatu z zajmowanego stanowiska. Nie dość na tem, — stawiał senat nadto jeszcze jeden wniosek, aby Gallusa wydalić z kraju, a dobra jego obłożyć konfiskatą na rzecz skarbu cesarskiego. Inny senator, Marcus Primus, namiestnik Macedonii, został oskarżony, że na własną rękę rozpoczął wojnę. Choć miał na to pozwolenie cesarskie, jednakże cesarz sam stanął wobec senatu i temu zaprzeczył. Rozgoryczyło zaprzeczenie to obrońcę Marcusa Primusa, Licyniusza Murenę, do tego stopnia, że użył słów ubliżających cesarzowi. Miał Murena wszelki powód obawiać się kary. Spisek na życie cesarza uważał za jedyny ratunek. Nie trudno mu było zjednać dla swego planu Primusa i Gallusa. Cynnę zjednało sobie przyrzeczeniem, że go okrzykną cesarzem.

Przed kilku laty odkryto podobne sprzysiężenie; wszyscy współwinni zostali pokarani śmiercią. Wiedział Cynna, co go czeka, jeśliby sprawa wyszła na jaw. Schadzki miewali spiskowcy tajemne; ułożyli nie tylko plan zamachu, lecz także co uczynić należy po sprzątnięciu Augusta, aby bez większych rozruchów uchwycić natychmiast ster rządów. Minionej nocy odbyła się ostatnia schadzka; uradzono na niej wykonać zamach następnego wieczora. Właśnie nadeszło na ręce senatu od Korneliusza Gallusa z Egiptu pismo z prośbą o pozwolenie wybudowania w Egipcie dla „boskiego Augusta“ świątyni. Umyślili spiskowcy zadać cios śmiertelny Augustowi w chwili, gdy pozwolenie będzie podpisywał. Najbliżej niego stojący spiskowiec miał go pochnąć sztyletem w kark, a inni mieli w tej chwili dośkoczyć i dopełnić krwawej zbrodni.

Mimo wszelkiej ostrożności w zachowaniu tajemnicy, z jaką spiskowcy obradowali w domu Cynny, podsluchala ich niewolnica imieniem Dirka, żydówka.

Każdy patrycyusz miewał wówczas wiele służby; najwięcej było jej na dworze cesarskim. Do sług zaliczali się, prócz niewolników, także i wolni, którzy, otrzymawszy wolność, pana swego nie opuszczali; a i tacy, którzy dobrowolnie, choć wolni, służbę przyjmowali. Byli oni rządcami domu, podskarbimi, sekretarzami itd., wogóle zajmowali stanowiska, na jakich ich zaufanie ich panów postawiło, zwykle dość odpowiedzialne. Między nimi było wielu żydów, którzy przybyli do Rzymu po zdobyciu Jerozolimy przez Pompejusza w roku 63 przed Chrystusem. Między uwolnionymi był na dworze cesarskim żyd Callistus. Temu wyjawila Dirka tajemnicę. Pobladł Callistus z przerażenia i nie wiedział co począć, aby uratować życie cesarzowi, a jego samego nie posadzono o fałszywe oskarżenie spiskowców. Tyle w położeniu zdołał się zorientować, że winnych należy pochwyć w chwili, gdy zamiar swój zechcą wykonać, mianowicie, że Dirka, prócz swego pana, nikogo innego nie umiała nazwać. Już słońce chyliło się ku zachodowi, a Callistus jeszcze na żaden krok się nie zdecydował; ale los zrządził, że ktoś inny zupełnie niespodzianie miał mu drogę wskazać.

Zanim słońce zaszło, przybyli do palacu Mecenas i Wergiliusz i natychmiast zostali wpuszczeni do pokojów cesarskich. Było to mieszkanie bardzo skromnie urządzone, nie różniące się w niczem od mieszkania obywatela rzymskiego. Świadczyło to o skromności cesarza. Jedyłą ozdobą komnaty, w której przyjął Mecenasa i Wergiliusza, były dwa popiersia z kruszcu, przedstawiające synów jego, Marcellusa i Cajusa, zmarłych śmiercią nagłą.

Wszystko, co słyszał z ust posłów swoich o Sybilli, utwierdziło go, że co ona wypowie, będzie objawiona

wola bogów. Natychmiast wydał rozporządzenie, aby straż przepuściła ją bez wszelkiej przeszkody. Mecenas zatrzymał na chwil kilka, aby omówić z nim niektóre bieżące sprawy. Właśnie leżały na stole pisma ze Wschodu, Galii i od gubernatora krajów nadreńskich. Ostatni donosił, że Germanie zbierają wszystkie siły i chcą uderzyć na twierdze rzymskie, — prosi więc o posilki. — Znał niebezpieczeństwo Augustus, jakie groziło państwu od Germanów i dlatego postanowił wysłać czempredzej armię pod dowództwem Cynny. Przenaczył Cynnę na tak wybitne i odpowiedzialne stanowisko dlatego, że był to wódz doświadczony, a także, że chciał nagrodzić krzywdę, jaką mu wyrządził, nie dopuszczając go do konsulatu. — O gdyby cesarz był wiedział o spisku Cynny! i gdyby Cynna był wiedział o zamiarach cesarza!

Załatwiwszy najpilniejsze sprawy, przeszedł Augustus na inny temat. Dzień dzisiejszy był dla niego pełen trosk i smutków; odczuł więc potrzebę wynurzenia się przyjacielowi.

— Czy nie jest to szyderstwem — rzekł z goryczą — że świat chce mnie już za życia policzyć w poczet bogów? Czy podobna, abym choć na chwilę mógł pomyśleć, że ta godność mi się należy, kiedy w najbliższem mojem otoczeniu, w pożyciu rodzinnem, wszystko mi przypomina, żeś śmiertelnik jak każdy inny, mimo zewnętrznego szczęścia i blasku nieszczęśliwszy od ostatniego mego niewolnika?

— Czyżby Tyberyusz znowu... — odczytywał się Mecenas, nie dokończając zdania.

Z łzą w oku spojrział Augustus na popiersia synów swoich.

— Z nimi poszło szczęście moje do grobu; w nich pokładałem wszystką moją nadzieję i utrwalenie rozpaczonego przeze mnie dzieła. Ach, gdyby padli na polu chwały, w walce z wrogami ojczyzny, poddałbym się zrządzeniu losu.

— Nie myśl o tem — pocieszał go Mecenias, znający padające na żonę Augusta, Liwię, podejrzenie, że obydwoh synów męża swego otrula, aby zabezpieczyć tron synowi swemu z pierwszego małżeństwa, Tyberyuszowi, znanemu z okrucieństwa i rozpusty.

— Nie myśl o tem — powtórzył z gorzkim uśmiechem Augustus. — Tak, nie myślałbym o tem, gdyby Tyberyusz nieszczęścia mego wciąż mi nie przypominał. Wszystkie moje i kraju nadzieje wstąpiły z nimi do grobu. Dzisiaj rano przyszedł do mnie Tyberyusz z matką i prosił mnie, abym mu oddał urząd cenzora albo sędziego moralności. Tyberyusz sędzią moralności! Kiedyś mu odmówił, obsypał mnie obelżywemi słowami. Widząc Liwię gniew mój, wstawiła się za nim; a jak ci wiadomo, nic jej nie umiem odmówić. Na wszystkie bogi! — zawołał Augustus, pełen goryczy — powiedz, czy nie powinienem się obawiać, że żyję za długo i stoję Tyberyuszowi na zawadzie?

— Widzisz, panie mój, wszystko w zbyt czarnych kolorach — uspokajał Mecenias. — Gdy Tyberyusz zasiędzie na tronie, zrozumie całą odpowiedzialność swego stanowiska i będzie musiał nawyknień swoich się pozbyć. Poradź się zresztą i w tej sprawie Sybilli.

— Uczynię to.

Podawszy rękę Mecenasowi, pożegnał go. Ciężkie myśli nie opuszczały jednak cesarza, bo chodząc dużemi krokami po komnacie, przecierał często ręką skłopotane czoło. Myśli jego skierowały się dopiero na inny przedmiot, gdy do komnaty wszedł urzędnik z aktami w ręce.

Lecz wróćmy do Sybilli.

Gdy Mecenias i Wergiliusz opuścili jej grocie, upadła na kolana i wzniosłszy, w niebo ręce, zawołała głosem błagalnym:

„Panie, o Paniel Z coraz większem upragnieniem oczekuje świat przyobiecanego Zbawiciela; długo jeszcze, Panie, zwlekać będziesz? Patrz, oto ludzie śmiertelni czynią się zapowiedzianymi zbawicielami; oto budują im świątynie i ołtarze i cześć oddają boską! Kiedyż zaświeci Gwiazda jaśniejsza nad słońce, a która świecić będzie po wszystkie wieki?

„Czyś posłał mnie tylko na to, abym zbliżającemu się Zbawicielowi, ja, słaba niewiasta, utorowała drogę do serc ludzkich? Czy też pozwolisz mi śmiertelnemi mojemi oczami oglądać Nieśmiertelnego, abym potem przez śmierć przeszła do nieśmiertelności? O! czy pozwolisz mi niebieskie Dzieciątko wziąć na ramiona i przycisnąć do piersi moich? Potem puść, Panie, służebnicę Twoją w pokój, bo widziała Zbawienie świata.

„Mijają lata za latami, jak tu siedzę nad przepaścią; któż policzy krople, ile w nią spłynęło? A czyż szumiące te fale nie darzą urodzajnością okolicznych pól, Boże miłosierdzia? Mija zima po zimie i w umartwieniu oczekuję przyjścia wiecznej wiosny, która zrodzi kwiaty łaski Bożej we wszystkich krainach świata nigdy niewiedzące. Otwórz się niebo i ześlij nam Sprawiedliwego; chmury, rozstąpcie się, zróbcie miejsce Zbawicielowi.“

Tak modliła się wieszczka w gorącym pragnieniu ujrzania Syna Bożego; — Pan Bóg wysłuchał jej prośby.

Kłęczała długo jeszcze w zachwycie z rękoma wzniesionemi w niebo, bo oto ujrzała przedziwny obraz.

Ponad chmurami, na złotym tronie siedział starzec siwobrody, pełen powagi i majestatu; dokoła niego jasność wielka; na głowie miał lśniąca światłem koronę, z ramion jego spływał płaszcz złotolity, drogiemi wyszywany kamieniami. Po bokach tronu stały niezmiernie zastępy aniołów; jedni mieli złote naczynia w rękach, z których ulaćniały się wonne kadzidla, drudzy muzyczne instrumenty.

A oto zbliża się młodzieniec ślicznej urody, w sukni czerwonej, oblamowanej złotem; oblicze jego jaśniało jak słońce; towarzyszyli mu aniołowie, niosący włócznię, długi drażek z gąbką, cierniową koronę, gwoździe i inne narzędzia męki.

Gdy młodzieniec ten wstąpił na stopnie tronu i padł na twarz przed starcem, natenczas podnieśli aniołowie naczynia z wonnemi kadzidłami, a drudzy grali na instrumentach i z milionów piersi wypłynęła pieśń przecudna: Chwała i dziękczynienie niech będzie temu, który siedzi na tronie, i Barankowi.

Błogosławiać, ujął starzec młodzieńca w ramiona swoje. Podniósłszy się, począł młodzieniec zstępować ze stopni i w otoczeniu aniołów z narzędziami męki Jego spuszczał się na ziemię, lecz w drodze zbliżył się ku niemu obłok i owinał go.

Wtem pojawiła się dziewczica, tak piękna, niewinna i czysta, jakiej dotąd na ziemi podobnej jej nie było. Rozszerzyła ramiona i objęła ów obłok.

I znowu zabrzmiały dźwięki niebieskiej muzyki i znowu śpiewały chóry anielskie w radości i zachwycie: Słowo Ciałem się stało!

Sybilla przebudziła się z zachwycenia; ale muzyka i śpiewy anielskie brzmiały dalej w jej uszach. Z duszą przepełnioną radością wyszła z jaskini i w uniesieniu śpiewała ponad huk i szum wód, z całej piersi, w świat daleki: Słowo Ciałem się stało!

W PALACU CESARSKIM

W owych czasach rozpowszechnioną była wiara, że przyjdzie posłaniec Boży, który zapanuje nad światem całym i zakwitnie pokój i szczęście wszystkim narodom. Najsilniej wierzyli w przyjście Mesyasza Żydzi. Judea straciła polityczną niepodległość, a przed czterema laty podzieloną została na cztery rzymskie prowincje. Rzymskie załogi po twierdzach i miastach,

nowe w mennicy rzymskiej wybijane pieniądze, podalki, które rząd niemilosierdzie ściagał, nowy rozkaz popisu ludności, to wszystko przypominało bezustannie Żydom, że są narodem ujarzmionym, będącym pod obcym panowaniem. A jednak musiały spełnić się proroctwa, przepowiadające narodowi wybranemu przyjście Mesjasza, który zapanuje nad światem całym.

Niemniej i cała kolonia żydowska w Rzymie spodziewała się przyjścia Mesjasza; a najwięcej zajmowała myśl ta umysły potomków Dawida, z których miał się narodzić Zbawiciel. Oczywiście, że każdy z owych potomków Dawidowych spodziewał się być ojcem przyszłego władcy świata. Między tymi ostatnimi był Jozef Ben Dawid, najbogatszy członek kolonii żydowskiej, kupiec i bankier. Dzięki majątkowi swemu zdobył sobie Jozef Ben Dawid wpływowe stanowisko w świecie politycznym i w synagodze. Nie starczyło to jego dumie, pragnął większych dostojęństw.

Jakżeby to było — pomyślał sobie — gdyby Jehowa pracażczył mnie na ojca przyszłego Mesjasza?

Myśl ta, z początku mała, kielkująca, poczęła w głowie jego potężnieć i przybrała z czasem wyraźniejsze kształty. Że dzisiaj cesarz Augustus jest jedynym władcą, uważał to za zrządzenie Boskie, aby przyszedł król świata mógł tem łatwiej narody zwyciężyć i uczynić sobie posłuszne. Widział w duchu całą świetną przyszłość syna swego, no i swoją; widział go siedzącego na złotym tronie w Jerozolimie, a siebie dzielącego wszystkie z synem zaszczyty, boć mówi Psalmista Pański: „Rzekł Pan Panu memu: siedź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół twoje podnóżkiem nóg twoich.“

I właśnie w czasie, kiedy wyszedł rozkaz cesarski liczenia ludności, żona jego Sara była w stanie błogosławionym. Postanowił więc Jozef Ben Dawid wyjechać do Betleem, gdzie jego Sara porodzi syna, a tym będzie

zapowiedziany od proroków mesyas — król. O tak, syn jego będzie mesyasem, będzie królem!...

Nie widział powodów Joze Ben Dawid, aby nadzieje te zamknąć w sercu swoim; zwierzył się więc naprzód swojej żonie. I ona uwierzyła, że będzie matką mesyasza i już naprzód przysposobiła najdroższą bieliznę, złotą, drogiemi kamieniami wysadzoną kołyskę. Syn jej będzie mesyasem, będzie miał pałac, wobec których obecne jej mieszkanie, choć po książęcu urządzone, będzie norą żebraka!

Ale miał Joze Ben Dawid konkurenta w osobie szmacciarza i handlarza starymi rzeczami, Salomona, który również pochodził z tego samego rodu, co Joze, a mieszkał w brudnej żydowskiej ulicy. Ponieważ interes szedł kiepsko, więc miał dość czasu wbić sobie w głowę, że żona zrodzi mu mesyasza — a właśnie także oczekiwał potomstwa. Skończy się wtenczas jego bieda, i nie on, ale jemu będą się kłaniać. Z czułością zbliżał się do żony, której także było na imię Sara, wpatrywał się w nią jak w tęczę i mawiał:

— Zróż ty mi tylko mesyasza, a przestaną się ludzie z nas naśmiewać. Nie w lachmanach, jak dzisiaj, będziesz chodziła, ale w drogich szatach; codzień będą na stole naszym najwykwintniejsze pokarmy i napoje... No Sorcie, zrób ty swoje...

Ale meszasz miał się narodzić w Betleem, więc biedne żydzisko sprzedało cały swój dobytek i wybrało się również w drogę.

Obydwaj konkurenci spotkali się na pokładzie kupieckiego okrętu. Kupca i bankiera Joze Ben Dawida odprowadzili aż do przystani liczni znajomi i krewni; niewolnicy wnosili kufry i inne pakunki, Salomon niósł cały swój majątek pod pachą, trochę bielizny, kilkanaście pieluch — ot i wszystko. Ale niech tylko spełnią się nadzieje jego, wtenczas będzie żył inaczej, co najmniej, jako król Salomon, którego imię nosił.

Nie trudno zrozumieć, że obydwaj Dawidowi potomkowie z niechęcią na siebie spoglądali; owa niechęć zmieniła się nagle w jawną nienawiść, gdy obaj wchodzili na okręt. Zdarzyło się, że niewolnik Jozef Ben Dawida, niosący kufer, potrafił Salomona. Ten rozgniewany za wyrządzoną mu zniewagę, oddając pięknem za nadobne, kopnął go nogą. Niewolnik rzucił kufer na ziemię i pochwycił „ojca przyszłego mesyasza” za gardło.

— Jak śmiesz, nędzniku, kopać mego niewolnika — krzyczał Jozef Ben Dawid.

— Gdy się spełnią moje nadzieje — zawołał w niepohamowanym gniewie Salomon — dam ci odpowiedź na górze trupich głów; za pychę twoją zawisniesz na najwyższym krzyżu.

— Lecz gdy się moje nadzieje spełnią — odrzekł bankier — każę ci za twoją beczelność sprawić baty i tak długo bić, aż nie zdechniesz, a cielsko twoje wraz z twoją ropuchą rzucić psom na pożarcie.

Szczeńciem wdał się w sprawę kapitan okrętu i obydwóch mesyaszowych ojców rozpędził. Nie bardzo jednakże przyjemną zapowiadała im się podróż.

Niewolnica Dirka nikomu innemu nie zdradziła tajemnicy, jak tylko Callistusowi. Ufała mu, bo wiedziała, że to człowiek mądry, bogobojny i cesarzowi oddany.

Callistus należał do rodu Lewitów. Ojciec jego był świadkiem zdobycia przez Pompejusza Rzymu; lat temu sześćdziesiąt przywieziono go jako niewolnika na rynek rzymski — był wtenczas jeszcze pacholęciem — kupił go Juliusz Cezar, po którego śmierci przeszedł na własność cesarza Augusta. Callistus odziedziczył po

ojcu wszystkie jego cnoty, a mianowicie pobożność; a ponieważ oddał cesarzowi rozmaite przysługi, wyzwolił go tenże i postawił na dość odpowiedzialnym urzędzie. Wierzył również Callistus, że przyjdzie król wielki, Zbawiciel świata; ale należał do tych nielicznych wyjątków, którzy zupełnie inaczej go sobie przedstawiali, o wiele idealniej. Straszliwe ciosy, jakie spadły na jego ojczyznę, uważał za napomnienie boże, wezwanie do pokuty, aby naród należycie przysposobił się na przyjscie Zbawiciela. Wierzył także, że powstanie państwo żydowskie, że stolicą Mesjasza będzie Jerozolima; lecz wyobrażał sobie, że Bóg niem będzie rządził, że on sam wróci do ojczyzny i odpowiednio do stanu swego będzie sprawował w świątyni zaszczytną służbę Lewity.

Callistus znał także Sybillę i miał ją we wielkiej czci; ona mu to wytłomaczyła, choć w nieco odmiennem pojęciu od żydowskiego, że przyjdzie Zbawiciel, który zstąpi z nieba.

Kiedy miał lat dwanaście, zaprowadził go ojciec do Sybilli i prosił ją, aby włożyła na niego ręce i mu pobłogosławiła. Gdy już dorósł i chciał się żenić, poszedł wprzód do wieszczki i prosił ją o radę. W czasie wielkich upałów udawał się z chęcią do Tyburu i przebywał w jej towarzystwie najmielsze w życiu chwile. Jakże pragnąłby ją teraz zobaczyć i troskę swoją wyjawić; gdyby chociaż kilka godzin było czas! Lecz jakże się zadziwił, gdy się drzwi otworzyły i do domu jego weszła Sybilla. Ucieszył się niezmiernie, przypisując wypadek ten zrządzeniu bożemu; więc bez zwłoki wszystko jej opowiedział.

Sybilla zamyśliła się, a potem rzekła:

— Orzeł, rozłoczywszy skrzydła, wzbija się w górne przestworza i nie widzi strzelca z napiętym w rękach łukiem. Auguście, czyżby cię upokorzyło, gdyby słaba ręka niewiasty wyrwała strzałę strzelcowi?

— Ażali cię dobrze rozumiem? — zawołał uradowany Callistus. — O, zrzucasz kamień z serca mego; niech Bóg ci da wymowę i błogosławi tobie.

Dowiedziała się także od Callistusa Sybilla, że po północy odpływa na Wschód okręt kupiecki i nie bez odcienia szyderstwa opowiedział jej Callistus, że wybrał się w drogę do Judei także Jozef Ben Dawid, spodziewając się zostać ojcem mesyasza.

— Czy sądzisz — odezwała się poważnie Sybilla — że pierwsza lepsza kobieta może być godną nosić w łonie swoim ową perłę niebieską, która ma być zbawieniem świata? Nie, Calliście; jak prawdą jest, że ten, którego świat z utęsknieniem oczekuje, więcej jest niż człowiekiem — o tak, nieskończenie więcej! — tak też Bóg musiał wybrać błogosławioną między niewiastami i uposażyć ją największym blaskiem cnót, aby była naczyniem złotem, godnem przyjąć ową cudną perłę niebieską.

Gdy Sybilla przestąpiła progi mieszkania Augusta, także wyszedł jej naprzeciw i powitał z czcią.

— Dzięki ci za ofiarę, jaką spełniłaś, przybываяc tutaj — odezwał się cesarz — a jest o tyle większą, że nie przyjęłaś nawet lektyki, ofiarowanej ci przez Mecenasa. Pozwól, że od razu poruszę sprawę, w której pragnę cię się poradzić. Aż nazbyt wiem, że jestem człowiekiem śmiertelnym; i gdybym wśród zewnętrznego blasku i powodzenia miał kiedykolwiek o tem zapomnieć, są osoby i stosunki, które mi ustawicznie niccoś moją przypominają. Jestem też już za stary, abym miał zapomnieć o tem, czem jestem. Jednakże ująłem w ręce moje ster rządów państwa i wywiodłem z burz wojny domowej okręt na pełne morze. Jeśli zaś dzisiaj zagrażają państwu memu niebezpieczeństwa, muszę chwycić się wszelkich środków, aby zabezpieczyć krajowi szczęście i trwały pokój. Środkiem ku temu ma być godność, jaką mi senat ofiaruje. Powiedz, mamże ja przyjąć?

— W ojczyźnie mojej, daleko na Wschodzie — odezwiała się Sybilla — istnieje bardzo stare podanie o wieży, którą ludzie chcieli wybudować pod same niebiosy. Gdy budowa doszła znacznej wysokości, przyszedł Pan i pomieszał ich języki, i dzisiaj jeszcze można oglądać ruiny owej wieży, świadczących jak Bóg w jednej chwili zniweczyć może dzieła pychy ludzkiej.

Istota najwyższa — mówiła dalej z rosnącym zapalem Sybilla — jest tylko jedna i jedną tylko być może, jest najmędrsza i wszystko wiedząca, najświętsza i wszechmocna, bez początku i bez końca, nie krępowana ani czasem ani miejscem, niewidzialna — a wszystko widząca. Wasi bogowie, to wymysły waszej fantazyi, więksi tylko od was i w występkach i w cnotach.

Zatrzymała się na chwilę; widzenie, które miała po odejściu Mecenasa i Wergiliusza, znowu stanęło przed jej oczyma. Z twarzą promieniejącą natchnieniem, tak dalej mówiła:

— Tak, Bóg jest wszechmocny, wszystko wiedzący, wieczny i wszędzie obecny, jest samą miłością, tak wielki w miłości jak i w mocy swojej. Pycha stworzyła ludzi bożyszczami; miłość boska sprawi, że Bóg zstąpi na ziemię cichy, pokorny. Tak — zawołała wieszczka głosem wielkim — **Słowo Ciałem się stało!** Widziałam Go, zstępującego z wysokości niebieskich, i widziałam, jak objęły Go obłoki i znikł w nich, i widziałam Matkę-Dziewicę, która da światu Syna Bożego i Syna człowieczego, śmiertelnego i nieśmiertelnego. Upragnienie narodów, Zbawiciela ludzkości, przez mękę i śmierć Odkupiciela, który sam będąc Bogiem, uczyni nas dziećmi bożemi.

Cesarz stał milczący przed prorokinią; widział w niej istotę wyższą, natchnioną. Choć wszystkiego, co mówiła, nie rozumiał; to jednak odczuł, że objawiła mu prawdę.

— Bóg stanie się człowiekiem, narodzi się z Matki-Dziewicy? — wyrzekł półgłosem. — Zakażę więc senatowi czynić bogiem człowieka. Dziękuję ci za radę, zachowam słowa twoje w sercu.

— A teraz — dodał po chwili i czoło jego pokryło się fałdami smutku i troski — czy mógłbym cię zapytać o dalsze moje losy: czy jestem bezpieczny przed zbrodniczą ręką — trucizną, sztyletem?...

— Gdybyś był się uniósł pychą, byłby Bóg dopuścił na cię karę i przypomniał ci, że jesteś tylko człowiekiem, prochem marnym — niezem więcej! Lecz teraz strzeże cię potężne ramię Jego i pozwoli ci dokonać w spokoju dni żywota. Ponieważ słowom moim uwierzyłeś, więc wiedz, że śmierć stoi przede drzwiami twoimi: pięciu morderców czyha w przedpokojach na życie twoje!

— Pięciu morderców czyha na życie moje? — powtórzył, błędąc cesarz, i bezwiednie cofnął się kilka kroków i oparł się o stół.

— Przywołaj sługi — odrzekła Sybilla — broń, którą przy nich znajdują, przeciw nim świadczyć będzie.

Na dany znak wszedł jeden z pełniących służbę podkomorznych (szambelanów).

— Kto jest w przedpokoju? — zapytał cesarz.

— Korneliusz Cynna i czterech innych senatorów — odrzekł podkomorzy.

— Przywołaj pełniącego straż setnika, niechaj z pomocą żołnierzy pochwyci i okuje owych pięciu nędzników w kajdany. Broń, którą przy nich znajdzie, niech mi przyniesie.

Zaledwie kilka chwil upłynęło, wszczęła się w przedpokojach straszliwa wrzawa i niedługo wszedł setnik, wręczając cesarzowi pięć ostrych sztyletów.

Winni zasłuchali na łzę smutku — oddychała się Sybilla — lecz usłuchaj rady mojej i przebacz im, a wyświadczając im dobrodziejstwa, uczynisz z wrogów przyjaciół sobie.

— Jakżebyś mógł cośkolwiek tobie odmówić i nie usłuchać twojej rady? — odrzekł cesarz; a gdy spostrzegł, że Sybilla ma się ku wyjściu, prosił ją, aby przemocowała w pałacu, a jutro odesła ją w lektyce do Tyburu. Odmówiła jednakże wieszczka; natomiast przyrzekła mu, że będzie za niego się modliła. Gdy odeszła, nie mógł Augustyn długo się uspokoić; słowa jej i grożące życiu jego niebezpieczeństwo, tak niespodzianie przez wieszczkę zażegnane, zajmowały umysł jego.

— Jeśli więc — pytał sam siebie — ów Bóg, który narodził się z Dziewicy niepokalanej, zstąpi na ziemię, coż się stanie z wszystkimi obcymi bogami, z ich świątyniami i ołtarzami? Czy Rzym i świat cały wyrzekną się od razu tego, czego nauczył się czcić przez całe wieki? Jupiter, Junona, Minerva, Apollo i Dyana, czy zstąpią z tronów i zrobią miejsce nowemu Bogu?

Wieczernię spożył Augustus w gronie rodziny. Tematem rozmowy był oczywiście odkryty spisek na życie monarchy. Ciekawość ogólną budziło, kto go uprzedził o niebezpieczeństwie, a najciekawszą była cesarzowa Livia, niemniej jej syn Tyberyusz. Lecz cesarz, choć uporczywie go wypytывali, nie zdradził ani słowem tajemnicy. — Sybilla nie tylko nie wytraciła bronii z rąk spiskowców, ale zniweczyła wszelkie inne zamiary, już kielkujące, a może nawet dojrzewające w głowach osób, których planom cesarz Augustus stał na zawadzie.

Opuściwszy Sybilla pałac cesarski i zeszedłszy z palatynatu⁷⁾ minęła świątynie Westy i znalazła się na Forum z jego wspaniałemi budowlami i pomnikami przeszłości. W oknach przybytku Westy migotało czerwone światelko; był to odblask znicza, podtrzymywanego przez westalki na cześć bogini, której świątynia ta była poświęcona.

Spojrzała na okna te Sybilla, a w duszy jej przedstawił się inny, nowy obraz: ujrzała inną opiekunkę Rzymu, i miasto kilku cnotę zachowujących westalek, niezliczone tysiące niewinnych dziewic, poświęcających się służbie bożej. Spojrzała na kuryę, gdzie senat miewał posiedzenia swoje, a w oczach jej zamieniła się na świątynię prawdziwego Boga; spojrzała na olbrzymie przybytki pogańskie, poświęcone rozmaitym bóstwom, i ujrzała tylko ich rumowiska.

Po mału wstąpiła na Kapitol, gdzie po lewej stronie znajdowała się świątynia Jowisza, po prawej zaś bogini Junony i twierdza kapitoliska.

Tutaj usiadła w bliskości świątyni Junony i spoglądała to na Forum, to na daleki Wschód, na niebo obsiane gwiazdami, dążącemi drogą przez Stwórcę wskazaną. Siedziała cicho, w zamyśleniu, jak zwykle nad potokiem w Tyburze.

Tymczasem lotem błyskawicy rozniosła się po mieście wieść o zamachu na życie cesarza. Niezliczone tłumy ludu z pochodniami wypełniały Forum i górę pałatynatu, wznosząc radosne okrzyki na cześć „Ojca ojczyzny”. W atryum tłoczyli się senatorzy i rycerze, pragnący złożyć cesarzowi życzenia. Odczuł lud rzymski, jakaby przez śmierć Augusta poniósł stratę, a odczuł to tem więcej, że uprzytomnił sobie w tej chwili, kto miał być jego następcą...

Okrzyki radości nie ustawały, *tak że cesarz był zniewolony pokazać się ludowi na werandzie pałacowej; radość ludu na widok ukochanego cesarza dosięgła punktu kulminacyjnego i zamieniła się w ogólny dlań hold.

Cześć, jaką ludność rzymska otaczała cesarza Augusta, jeszcze więcej się wzmogła, gdy po kilku dniach rozniosła się wieść, że August ulaskawił skazanych przez sądy na śmierć spiskowców, a nawet ich od łaski swojej nie odtrącił. Cynnie oddał nawet, jako wprzód **ustanowił dowództwo nad armią przeciw Germanom**



CHRYSTUS NAM SIĘ NARODZIŁ.

Lecz wróćmy do Sybilli. Siedziała skurczona i niewidziana od nikogo w kącie pod domem, w którym chowano ważne papiery rządowe, a zwanym „Tabularium”. Z wyżyn Kapitolu patrzyła na coraz wzrastające tłumy narodu; lecz zdawała się tego wszystkiego nie widzieć — myślą była gdzieindziej, szukała tej, którą widziała dzisiajszego wieczora twarzą w twarz, która objęła ramionami swemi obłok i przyjęła w siebie. Gdzież się to stać mogło, w którym zakątku ziemi? O gdyby mogła złożyć hołd Dzieciątku Bożemu, złożyć u stóp Jego serce swoje w ofierze! Długie lata siadywała nad potokiem tyburskim z okiem zwróconem w niebo, ażali nie ukaże się gwiazda Jego, zapowiadająca spełnienie się nadziei ludzkości. Natenczas spełniwszy posłannictwo swoje, jakie miała na dalekim Zachodzie, t. j. przygotowanie serc ludzkich na przyjęście Zbawiciela, mogłaby wrócić w ojczyste strony i dopełnić dni żywota na łonie swej rodziny. Czy żyje brat jeszcze? Czy wciąż jeszcze wygląda z zamku królewskiego, kąpiącego się w falach Eufratu, w niebo i bieg gwiazd oblicza? Jakże często wpatrywała się w te same światła niebieskie, które w tej chwili brat jej śledził! I mijały lata po latach w niezmiernem duszy utęsknieniu; ależ niedługo ukazać się musi jutrzeńka, zapowiadająca wschód Słońca wiecznego, jaśniejszego nad wszystkie słońca i gwiazdy, jutrzeńka, która ją ojczyźnie powróci.

Mimowoli spojrzała Sybilla znowu w niebo. Noś była cicha, spokój zalegał przestworza niebieskie, niezliczone mnóstwo gwiazd wesolo mrugając, spoglądało na ciemną kulę ziemską. Powietrze było tak świeże, tak czyste, że o wiele większą ilość gwiazd można było dostrzec niż kiedykolwiek. Czyżby i gwiazdy zbiegły

się z ostatnich krańców świata, aby dzielić radość aniołów i rodu ludzkiego z przyjścia Króla i Pana swego?

I gdy tak Sybilla patrzała w niebo, a oto zbliżyła się chwila łaski bożej, w której Najsw. Marya Panna porodziła Syna Bożego:

„I porodziła Syna Swego pierworodnego a uwinęła Go w pieluszki i położyła Go w żłobie.“

I jeśli wówczas otworzyło się w Betleem niebo i rozbrzmiały śpiewy anielskie: Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, to nie-tylko tam zwiastowanie światu nastąpiło.

Nagle ujrzała Sybilla, jak na Wschodzie zaczęło się niebo czerwienić, coraz to gęściej i jaśniej padały promienie, aż naraz ukazała się gwiazda wielkości księżyca w pełni. Ruch radosny uczynił się wśród wszystkich gwiazd a przez niebieskie przestworza doleciał ją cudowny śpiew: Christus natus est nobis, venite, adoremus (Chrystus nam się narodził, chodźcie, oddajmy Mu pokłon).

Sybilla padła na kolana, a wyciągnąwszy ku niebu ręce, pozostawała czas pewien w niemem zachwyceniu. Gwiazda, którą ujrzała, wschodziła coraz wyżej na niebo i stawała się coraz jaśniejszą i coraz więcej promieniejącą. Nagle w tarczy owej gwiazdy zaczęło się coś rysować, z początku bardzo niewyraźnie, lecz z każdą chwilą przybierało coraz wyraźniejsze kształty, aż ukazało się Dzieciątko śliczne, uśmiechnięte, jakby błogosławiące światu.

Teraz poznała, że spełniła się przepowiednia Proroków — Bóg zesłał Zbawiciela; skończyło się jej posłannictwo i może wrócić w ojczyste strony. Przypomniała sobie, że Callistus wspomniał jej, że o północy odpływa na Wschód statek kupiecki. Zerwała się więc

I wnet znalazła się z powrotem u stóp Kapitolu; pośpieszyła pustemi ulicami i dobiegła do przystani. Przybyła jeszcze w sam czas. Zaledwie zapłaciła kapitanowi cenę podróży, już statek odbił od brzegu.

Usiadła na przedzie okrętu i wpatrywała się w gwiazdę na Wschodzie, a z ust jej płynęła słodka pieśń, której współpodróżni ze zdziwieniem słuchali.

Gdy cesarz Augustus dnia tego udał się na spoczynek, długo sen nie kleił jego powiek; myślał o ostatnich przygodach, rozważał wypadki, a przede wszystkim słowa Sybilli, których nie zdołał zrozumieć. Pomahał jednakże duch jego się uspokoił i zstąpił na niego pożądaný sen. Lecz jakież to był sen! Wszystkie przygody dnia stanęły mu w żywych obrazach przed oczyma. Na najpierwszym planie widział jednakże wysoką postać prorokini, wypowiadającą niezrozumiałe mu słowa. Spojrzał na Kapitol, a oto świątynie Jowisza i Junony znikły, a z zamku pozostały tylko ruiny. Zastoczył dokoła wzrokiem zdziwionym, i znowu ujrzał przy boku swoim Sybillę, ale jasną, jakoby była istotą nadziemską.

Zwolna zaczęła się z nieba spuszczać chmura na miejsce powyżej ruin zamku i świątyni Junony, rozstąpiła się i odsłoniła cudowny obraz, w który cesarz z zachwyceniem się wpatrywał. Na wspaniałym tronie siedziała Dziewica ślicznej urody i trzymała na łonie Dzieciątka tak piękne, jakiego żadna matka na ramionach swoich nie piastowała. A dokoła Matki i Jej Syna była wielka jasność, większa niż jasność słońca. A nad niemi utworzył się kościół z licznemi filarami; a do tronu Matki z Dzieciątkiem wiodło sto marmurowych stopni; niezliczone tłumy narodu wstępowały po stopniach, aby oddać cześć Dzieciątku na łonie Matki, i ofiarowano Mu kadzidło i inne dary; a tysiące głosów śpiewały hymny

„Gloria in excelsis Deo, et in terra pax.”

Gdy Augustus w milczeniu obrazowi ~~temu~~ się przypatrywał, odezwała się Sybilla:

— To jest Dziewica, o której ci mówiłam; a Ten, który się z niej narodził, jest Bóg; zetrze twątyńie bogów waszych, a na ich ruinach zatknie znak zwycięstwa swego. Dzisiaj nocy zstąpił na ziemię.

Cesarz się obudził.

Jakiż to niezwykły sen! A wszystko widział jakby na jawie, i gdyby był malarzem... lecz nie: wszystko mógłby był rzucić na płótno, lecz Matki i Dziecięcia w całej niebieskiej ich chwale nie potrafiłby odmalować. I to Dziecię przyszło na świat dzisiaj nocy? Że też to Sybilla nie wyjawiała mu miejsca Jego urodzenia.

— Jak tylko ranek zaświta — rzekł cesarz sam do siebie — każe odszukać Sybillę. A gdyby owo Dziecię miało się narodzić na ostatnich krańcach mego państwa, wybiorę się w drogę natychmiast, aby własnemi oczyma ujrzeć Matkę i Dziecinę. Dzisiaj się Dzieciątko narodziło, mamy 25 grudnia.

Z brzaskiem dnia kazał cesarz przywołać do siebie służbę i polecił, aby odszukano Sybillę, jeżeli bawi jeszcze w mieście; prócz tego wysłał posłów do Tyburu. Minęły dwa tygodnie — nigdzie ani śladu Sybilli.

Mimo stałych zatrudnień państwowych, które umysł cesarza rozpraszały, myśl jego zwracała ciągle ku Sybilli i w duchu rozważał jej słowa; lecz nie rozumiał ich, ani też snu swego w nocy z dnia 24 na 25 grudnia. Kazał przywołać mędrców, kapłanów, zabić na ofiarę sto wołów, aby we wnętrznościach ich czytano wyroki bogów. — Nic nie pomogło — bogowie milczeli jak zakłeci, a kapłani stali nic nierozumiejący.

Wieść o śnie cesarza rozniosła się po całym mieście. Bujna fantazyja ludu przydawała rozmaite dodatki i komentarze: opowiadano sobie, że cesarz słyszał głos

z nieba, widział znaki na niebie, słońcu, księżycu i gwiazdach, krwawe w powietrzu walki pomiędzy duchami światła i podziemnych ciemności.

Gdy w dzień Nowego Roku przybył do pałacu cesarskiego Mecenasa wraz z innymi senatorami, poprosił go Augustus do bocznej komnaty i opowiedział mu dokładnie sen swój i przedłożył plan pobudowania na Kapitolu, w miejscu, gdzie we śnie widział zjawisko, ołtarza, który na cześć Matki-Dziewicy i Jej niebieskiego Dziecięcia „Ara coeli“^(s) (t. j. ołtarz niebieski) nazwać postanowił.

— Także i ja miałem dziwny sen wczorajszej nocy, podobny do twego — odrzekł Mecenasa. — Widziałem w ogrodzie moim wielką świątynię; kiedyś się oglądał za bóstwem, któremu świątynia ta była poświęcona, nie znalazłem go, lecz ujrzałem Sybillę, jak wówczas nad potokiem w Tyburze, a wskazując na kosztowną szafę, w której zamknięte było pudło z desek, rzekła: „Czcij to drzewo, bo jest to złobek, w którym spoczywał Zbawiciel świata.“ Porównując twój sen z moim, cesarzu, trudno nie dostrzedz przeciwieństwa: bo jakże król na złocistym tronie mógłby spoczywać w złobie? Co dotyczy zniszczenia naszych świątyń, to szczęście, że nie wszystko co kobiety, a choćby i najmądrze, mówią, nie zawsze jest prawdą. Uważajmy więc oba sny za to, czam są — za sny...

SPEŁNIONE PRAGNIENIA SERCA.

Pomału płynął statek z biegiem rzeki, a całą pracą zarogi było tylko baczyć, aby nie osiadł na mieliźnie; dopiero, gdy opuścił miasto portowe „Ostia“, a było to już nad ranem, gdzie przyjął nowe towary, ruszył chyżo całą siłą stu wiosel na pełne morze.

Zatrzymawszy się po drodze w jeszcze niektórych portowych miastach i minawszy niebezpieczny przesmyk Messyny, zwrócił się statek na wschód.

Pierwszym celem podróży, gdzie część towarów miano złożyć i nowe przyjąć, była Grecya, potem wyspa Kreta, Aleksandrya a w końcu Tyrus. Wszędzie zatrzymywano się po kilka dni; cała podróż trwała cztery tygodnie.

Sybilla rzadko tylko kiedy opuszczała miejsce swoje na przodzie okrętu. Ze wschodem słońca, po odpłynięciu z miasta „Ostia“ znikła jasna gwiazda na niebie. Daremnie wpatrywała się Sybilla następnych nocy w niebo, już jej nie ujrzała. Z lękiem spoglądali podróżni na dziwną tę kobietę, której śpiew nocny budził ich nieraz ze snu. Nikt nie wiedział skąd pochodzi, ani dokąd płynie.

Joze Ben Dawid nie zapomniał obrazy, jaką mu wyrządził Salomon; w duszy przemysliwał, jakby się pozbyć niebezpiecznego konkurenta... czyby nie można, przekupiwszy kapitana, wysadzić go w Aleksandryi na ląd wraz z jego godną połowicą i więcej na okręt nie wpuścić?..

Niemniej Salomon spoglądał nienawistnym okiem na swego współzawodnika. Widok Sybilli wzbudził w nim iskrę nadziei, że może już naprzód przepowie, kto z nich obydwu będzie ojcem Mesyasa — bo musi być pewnie bardzo mądrą... Niestety, była tak nieprzystępna, że Salomon nie odważył się nawet jej zagadnąć. Ale na co są kobiety — czego mężczyzna nie dopnie, tego z pewnością dokaże kobieta. Grzecznością i drobnymi usługami oddanemi Sybilli, zdołała chłód jej przełamać. Pewnego dnia, gdy ujrzeli brzegi Egiptu, odważyła się więc odezwać i wyjawić swój niepokój.

— Dwie kobiety jesteśmy na pokładzie — odezwała się Sara — które spodziewamy się w równym czasie potomstwa. Tamta pragnie syna, ja zaś przyjmę co Bóg da, choć wołałabym syna... **bo my biedni... pomógłby nam w zarobkowaniu...**

— Nie zawsze daje się ogłuszyć, czego pragnę — odrzekła Sybilla. — Modlitwy biednych wysłuchuje.

A podniosłszy się, zbliżyła się ku niej i dała jej sakiewkę z pieniędzmi.

— Niedługo zapotrzebujesz pomocy — dodała — weź to złoto.

Nie czekając podziękowań, zwróciła się w stronę, w którą okręt płynął.

Opowiedziała Sara mężowi swemu, co słyszała z ust Sybilli. Już nie ulega wątpliwości, że nie Jozef Ben Dawid będzie ojcem Mesjasza, ale ja — zawołał uszczęśliwiony Salomon i czule ucałował swą połowicę; już nie miał współzawodnika, Jozef Ben Dawid przestał dla niego jako taki istnieć.

Gdy okręt opuścił przystań w Aleksandryi, brakowało na nim dwóch osób: Salomona i jego żony... Nikt nie okazywał dnia tego większej wesołości, jak Jozef Ben Dawid... i on nie miał już współzawodnika...

Pragnieniem Sybilli było ujrzeć Boskie Dzieciątko i Matkę Jego i wrócić w strony ojczyste, do domu rodzinnego. Lecz gdzież, w której ziemi Dziecię to się narodziło? O gdyby gwiazda Jego znowu się ukazała! Tyrus był miastem portowym, najważniejszym punktem handlowym na Wschodzie. Tutaj składały karawany, przybywające przez Damaszek z Mezopotamii, Assyrii, Medyi, Babilonu i t. p. towary swoje, przeznaczone dla Zachodu; i na odwrót składano tutaj towary z Zachodu, przeznaczone dla Wschodu. Tamdotąd, do Tyrusu, płynął, po opuszczeniu Aleksandryi, statek.

Sybilla miała nadzieję, że dowie się od przywódców karawan cośkolwiek o nowonarodzonym „Królu“, boć wieść o Nim chyba w najdalsze kraje dotrzeć musiała.

Gdy się zbliżyli do brzegów Palestyny i na horyzoncie ukazała się góra Karmel z całym pasmem gór

Libanu, aż oś w nocy ujrzała Sybilla znowu tę samą gwiazdę z Dzieciątkiem w tarczy, którą widziała z Kapitolu; stała ona nieruchoma w jednym miejscu aż do rana.

— Jaki kraj — zapytała się Sybilla kapitana, wskazując ręką w stronę, gdzie widziała gwiazdę — jaki kraj, jakie miasta leżą w tej okolicy?

— Ziemia żydowska ze stolicą Jerozolimą — odrzekł kapitan. — Żydzi, znajdujący się na statku, wszyscy tamdotąd zdążają. Z miasta Tyrus możesz w kilku dniach stanąć w Jerozolimie.

Więcej już Sybilla nie pytała, lecz postanowiła przyłączyć się do towarzystwa żydowskiego.

Jakże się jednak zdziwiła, gdy w przystani dowiedziała się, że w mieście bawi trzech królów, wracających z Jerozolimy, dokąd podążyli na dany znak z nieba.

Nie zwlekając ani chwili, zaczęła dopytywać się w mieście o nich i nie spoczęła, aż się dowiedziała, w której zamieszkali gospodzie.

Prócz nadziei dowiedzenia się czegoś pewnego o narodzeniu się Zbawiciela, miała Sybilla w głębi duszy jeszcze jedną.

Gdy wspomniani Trzej Królowie ją przyjęli, utkwili wzrok w twarzy najstarszego, starca z siwą brodą, w barwnym zawoju. Dziwne uczucie odezwało się w piersi starca, gdy spojrzał w oczy kobiecie; lecz zaledwie zdołał zebrać myśli, rzuciła mu się na szyję z z radosnym okrzykiem:

— Melchior, bracie mój!

Jakaż radość zapanowała w sercach brata i siostry, że po tylu latach znowu się zobaczyli. Ileż mieli sobie do opowiadania! Sybilla radowała się, że tę samą gwiazdę, która zaprowadziła brata jej i jego towarzyszków do Jerozolimy i Betleem, i ona widziała. Słuchała z uwagą opowiadania brata, jak gwiazda, przywiódłszy

ich do Jerozolimy, zgasła i jak za radą kapłanów udała się do Betleem; jak gwiazda, która przez całą drogę im przyświecała, znowu za bramami Jerozolimy zajaśniała na niebie i prowadziła ich do Betleem i stanęła nad stajenką.

— Nad stajenką? — zapytała zdziwiona Sybilla.

— I myśmy się dziwili — odrzekł Melchior. — Spodziewaliśmy się, że przepowiedziany Król żydowski urodzi się w jakim wspaniałym pałacu, w którym mieszkał Dawid; lecz gwiazda stanęła nad stajnią i nie ruszyła się dalej. Weszliśmy więc do wnętrza. Trudno sobie wyobrazić biedniejsze schronienie. Wewnątrz ujrzelśmy kobietę młodą, piękną, z Dzieciątkiem u piersi; obok stał starszy mężczyzna. Nic nie zapowiadało coś nadziemskiego. Lecz wnet spadła nam łuska z oczu i poznaliśmy w Dzieciątku Boga; padliśmy na kolana i złożyli ofiary. To, cośmy widzieli zewnątrz, to tylko formy, pojedyncza okładka drogocennej księgi, w której sam Bóg pisał.

— A jakie jest imię Matki, jakie Dziecięcia? — zapytała Sybilla.

— Imię Matki „Marya“, co w języku żydów znaczy „doskonała“, imię Dziecięcia „Jezus“, to znaczy „Zbawiciel“.

— Jezus, Marya — powtarzała w słodkiem uniesieniu Sybilla.

Ponieważ Żydzi ze statku już dnia następnego mieli się udać w drogę, więc Sybilla pożegnała brata swego i jego towarzyszków.

Już czekali w Jerozolimie słudzy na Joze Ben Dawida, oznajmując, że wszystko na przybycie jego w Betleem jest przysposobione. Stosując się do wskazówek brata swego, odszukała Sybilla stajenkę, lecz jakże się zmartwiła, gdy nikogo w niej nie znalazła. Ze łzami w oczach pytała się pastuszków, pasących w polu

trżody, czyby nie wiedzieli, kędy Marya z Dzieciątkiem się udała, gdyż przybyła z daleka, aby oddać Dzieciątku pokłon.

Cieszyli się pastuszkowie, że wieść o narodzeniu się Syna Bożego rozeszła się po dalekim świecie; opowiedzieli, że Anioł zbudził ich i powiedział, kto jest nowonarodzony, że słyszeli śpiewy anielskie z nieba, że niezwykłej jasności gwiazda przywiodła z dalekiego świata trzech królów i że wczoraj Marya, siedząc na osle i trzymając Dziecię na ręku, opuściła stajenkę w towarzystwie opiekuna Swego, świętego Józefa — dzisiaj albo jutro pewnie wróci.

Z Betleem do Jerozolimy droga niedalega, zaledwie kilka godzin. Postanowiła więc Sybilla odszukać w Jerozolimie Maryę z Dzieciątkiem, aby czempředzej mogła oglądać okiem swoim Zbawiciela świata.

Przybywszy do Jerozolimy, udała się do świątyni, lecz ani tam ani w mieście niczego się o Maryi i Dzieciątku dopytać nie mogła. Znużona bardzo, poszła do gospody, aby dać odpoczynek ciału.

Dnia następnego, a było to 2 lutego, poszła znowu do świątyni.

W przedsionku znajdowała się pewna liczba kobiet z dziećmi swemi. Bogatsze oddały dzieci swoje piastunkom i składały droższe ofiary; uboższe piastowały same i ofiary ich były skromniejsze; starszy już wiekiem mężczyzna ofiarował parę gołąbków.

Sybilla przypatrywała się z uwagą wszystkim kobietom, lecz w żadnej z nich nie mogła domyślić się Maryi.

Poszła w ślad za kobietami do świątyni, gdzie je oczekiwał arcykapłan; tenże wyciągał nad każdą jakoteż jej dzieciąciem ręce i błogosławił.

Nagle ujrzała poważnego starca, który przystąpił do jednej z kobiet i prosił, aby mu Dziecię oddała; a wzięwszy je na ręce, wielbił Boga, mówiąc głośno:

— Teraz puszczasz sługę Twego, Panie, w pokój, według słowa Twego, gdyż oczy moje oglądały zbawienie twoje, któreś zgotował przed oblicznością wszystkich narodów, światłość na objawienie pogan i chwały ludu Twego izraelskiego.

I Sybilli spadła łuska z oczu, księga mądrości się otworzyła, ciemna chmura, zasłaniająca słońce, rozstała się: przystąpiwszy do Maryi, upadła na kolana i zawołała:

— Bądź pozdrowiona, Maryo, łaski pełna; błogosławionaś Ty między niewiastami. O jakież długie lata wyczekiwałam tej błogosławionej chwili, o Matko-Dziewico, pozwól i mnie włąść na ramiona Dziecinę Twoją.

Z słodkimi uśmiechem oddała Najświętsza Marya Panna Dziecię Swoje klęczącej Sybilli, a ta wzruszona, w słodkim zachwycie, powtarzała wśród łez radości:

— Jezu mój, Jezu! Oto trzymam na rękach moich więcej niźli niebo i ziemię.

I spojrzała Dziecina w oczy Sybilli i przemówiła do Jej serca nie słowami ludzkimi, lecz słowem, jakim Bóg przemawia do Aniołów i Świętych Swoich, słowem, którem zapala wiarę, uczy prawdy, daje słodycz niebieskiej pociechy, wzbudza najczystsza w sercu miłość.

Tymczasem przystąpiła starsza kobieta i wiele innych niewiast i mężczyzn i wszyscy oddali Dziecięciu cześć jako przepowiedzianemu Zbawicielowi.

Sybilla wróciła po południu z Rodziną świętą do Betleem, gdzie jej Najświętsza Marya Panna pozwoliła zabawić dni kilka. Jakże czuła się szczęśliwą, gdy mogła Matce Najśw. i Jej Dziecięciu w czemkolwiek nslużyć!

Po tygodniu pożegnała Świętą Rodzinę. Na pożegnanie włożyła jej Najświętsza Panna jeszcze raz Dziecię w ramiona. Przyciskała je Sybilla do serca i chwaliła Boga.

Posłannictwo jej się skończyło; wybrała się więc w drogę z powrotem do brata swego.

Spiesząc ulicami Betleem, spotkała znajomego jej z podróży kupca Joze Ben Dawida; ~~szedł bardzo smutny~~: żona powiła mu córeczkę!

Objaśnienia.

¹⁾ W starożytności utrzymywało się mniemanie, że istnieją przez bogów natchnione dziewice, mające dar widzenia przyszłych rzeczy; nazywano je z greckiego Sybillami, co znaczy „rada boska“. W Rzymie przechowywano księgi sybilińskie, w których często szukano, aby w ważnych wypadkach zasięgnąć rady. Gdy się w roku 68 przed Chrystusem księgi te spaliły, wysłał cesarz August mężów uczonych na Wschód, aby proroctwa sybilińskie pospisywali. We Włoszech najwięcej znanymi Sybillami były: Sybilla Kumejska, przemieszkująca w grocie w bliskości Neapolu i Sybilla Tyburska. Dzisiaj można jeszcze oglądać grocie, noszącą jej imię, jakoteż ruiny świątyni na jej cześć wystawionej.

²⁾ Tybur, dzisiejsze Tivoli, miasto oddalone około 3 i pół mili od Rzymu. Znajduje się ono w malowniczym położeniu, otoczone jest pięknymi oliwnymi gajami. Stąd też miejsca publiczne z ogrodami, w których publiczność może używać przechadzek, gdzie się odbywają przedstawienia teatralne itd. itd. przybrały nazwę „Tivoli“.

³⁾ Mecenas, ulubieniec cesarza Augusta; wspierał hojnie ludzi uczonych i artystów, np. Wergiliusza, Horacego, Owida, Properca, Tybulla i wielu innych. Imię jego weszło w przysłowie; także w Polsce nazywaliśmy ludzi, popierających naukę i sztukę, mecenasami; dzisiaj przydomek ten dajemy adwokatom.

⁴⁾ Wergiliusz, sławny poeta rzymski z czasów augustowskich; najważniejsze dzieło jego jest „Eneida“. Umarł w r. 19 przed Chrystusem; Mecenas i Horacyusz umarli później, w roku 8 przed Chrystusem. Autor, de Waal, przedłuża im w powieści niniejszej życie.

⁵⁾ Kapitol, zamek w starożytnym Rzymie, na górze Kapitołskiej, siedlisko świętości narodowych. Dzisiaj, mó-

włąc o Kapitolu, rozumiemy całą górę Kapitolską, na której znajdował się warowny zamek, świątynie Jowisza i Junony, oraz wspomniane w niniejszej powieści Tabularium, czyli publiczne archiwum. Góra Kapitoliska, Mons Capitolinus, jest jedną z siedmiu wzgórz otaczających Rzym, i to najmniejszem z nich.

⁶⁾ Anio, poboczna rzeka Tybru, tworzy w bliskości miasteczka Tivoli, dawniejszego Tyburu, wodospad, należący do najwspanialszych w Europie. Z wysokości 96 metrów spada woda z ogromnym hukiem i szumem. Ponieważ w czasie wezbrania wód, Anio wyrządzał wielkie szkody, przeto papież Leon XII ujął wody rzeki w kanał.

⁷⁾ Kościół „Ara coeli“ wznosi się w miejscu, gdzie dawniej stał zamek i świątynia Junony. Znajdujące się w niej 22 filary są prawdopodobnie zabytkami pozostałymi po owej świątyni. O kościele tym, jako poświęconym czci Najśw. Maryi Pannie, wspominają już pisarze w VI wieku.

Istnieją rozmaite podania dotyczące nazwy tegoż kościoła; najstarsze sięga szóstego wieku. Według tegoż udał się cesarz Augustyn w 56 roku swego życia na Kapitol, aby się dowiedzieć, kto będzie po nim panował w Rzymie. Pewna wieszczka przepowiedziała mu, że w Rzymie będzie panowało dziecię żydowskie, które zstąpi z nieba i narodzi się bez zmaży. Natychmiast kazał cesarz pobudować na Kapitolu ołtarz z łacińskim napisem: „Haec ara filii Dei est“ (to jest ołtarz Syna Bożego). Inne podanie z XII. wieku brzmi: Senatorzy widząc, jakie za czasów Augusta zapanowało szczęście w kraju, zawitał pokój, kwitły nauki, wzmożł się dobrobyt, mniemali, że bogowie wybrali sobie Augusta za szczególnego ulubieńca i postanowili policzyć go w poczet bogów. August oburzył się na to i zażądał czasu do namysłu. Kazał wtenczas przywołać Sybillę i rzekł jej, co ma czynić. Przez trzy dni pościła Sybilla, a po upływie tychże dała następującą odpowiedź:

Zstąpi król z nieba, którego panowania nie będzie końca. Narodzi nam się z ciała, a kiedyś będzie sądził świat cały.

W tej chwili otworzyło się niebo, padło na niego światło i ujrzał cudnej urody dziewczę, siedzącą na ołtarzu, z dzieciątkiem na łonie i usłyszał głos z nieba: „To jest ołtarz Syna Bożego“. Upadł cesarz na kolana i chwalił Boga. Widzenie to miał mieć cesarz w swoim pałacu, gdzie dzisiaj wznosi się kościół Najśw. Maryi Panny „St. Maria in Capitolio“ i dlatego też nazywają go „Sancta Maria ara coeli.“

Chrystus zwyciężył

Opowiadanie, osnute na tle pierwszych
czasów chrześcijaństwa

Opracował Antoni Stefański



SWIĄTYNIA WESTY:

Markus Fulwiusz, arcykapłan, dopełniał ofiary na cześć bogini Westy. Oblicze jego ponure zdradzało głęboką boleść i smutek. Stał przed ołtarzem bogini, po trzykroć przyłożył do ust puhar z winem, po trzykroć zamoczył w nim usta, a resztę wylał na ołtarz ofiarny. Następnie rozszerzył ramiona i zwrócił oczy błagalne na posąg bogini...

Pomiędzy filarami świątyni stały gromady westalek. Wszystkie odziane były w białe szaty, a włosy miały podwiązane białymi wstęgami, oznaczającymi kapłaństwo. Obowiązkiem ich było, pilnować żnicza czyli ognia wiecznego, palącego się na cześć bogini Westy, aby nigdy nie wygasł.

Wśród dziewic brak było najpiękniejszej, Sabiny, córki arcykapłana. Przed trzema dniami zastano ją drzemiącą przy trójnogu, na którym wygasł ogień. Piękność jej i arystokratyczna duma, wzbudziły w jej towarzyszkach zazdrość, a stąd i zawiść. Oskarżenie gotowe. Obwiniono ją, iż w gaju świętym, otaczającym świątynię, rozmawiała z mężczyzną, nie dopilnowała obowiązku swego.

Takie przewinienie karano śmiercią. Markus Fulwiusz musiał wyrok wydać sam na własną córkę. I uczynił to z całą surowością, choć mu się serce krajało.

choć pragnął, by żyła. Miał Fulwiusz poważanie u cesarza i całego narodu. Cesarz w ważniejszych sprawach zasięgał rad jego i słuchał go.

Odwołanie się do przyjaźni cesarskiej, prośba o złagodzenie kary na niewieleby się, wobec fanatyzmu popółstwa, przydała. I tak musiał nieszczęsny ojciec wyrzec straszliwy wyrok śmierci głodowej: winna być żywcem zamurowana.

Doniósł o tem Markus Fulwiusz cesarzowi, Tyberyszowi, który wyrok zatwierdził.

Stał nieszczęśliwy ojciec przed posągiem bogini i gorąco się modlił, błagał ją o pomoc w udowodnieniu niewinności córki. Wzniósł oczy ku bogini, ale posąg milczał. Przypatrywały mu się westalki, ale na ich twarzach nie zjawił się wyraz współczucia. Dał im Fulwiusz znak, aby się oddaliły. Oddawszy więc głęboki pokłon, odeszły. Gdy pozostał sam, rzucił się na stopnie ołtarza i wołał urywanym głosem: „Westo, bogini moja, której lat trzydzieści służyłem wiernie, ratuj dziecko moje. Wskaż mi sposób udowodnienia jej niewinności!“ Ale Westa stała milcząca.

Wyszedł Markus do atrium, gdzie były zebrane westalki. W miejsce jego córki miała być wybrana inna i jak zwyczaj kazał, losem. Rodziny patrycyuszowskie miały sobie za szczęście i zaszczyt, gdy która z córek ich została kapłanką Westy. Zwykle bywało grono dziewcząt patrycyuszowskich z góry na westalki przeznaczonych. Z tych rekrutowały się w razie potrzeby, kapłanki Westy. Los rozstrzygał.

Miedzy niemi — owemi nowicyuszkami — znajdowała się także druga córka Marka Fulwiusza. Pragnieniem było ojca, aby i ona kapłanką została. Nie miała chęci Rubina — takie było jej imię — poświęcić się służbie Westy; serce jej zajął młody wojownik z gwardyi przybocznej cesarza. Nie objawiła ojcu powodu, dla którego wstret czuje do służby westalskiej; odpowiadała

ogólnikowo, iż nie miała powołania. Los tymczasem zarządził, że na nią padła biała galka i miała wstąpić w miejsce swej nieszczęśliwej siostry.

— Ojczel — wołała, gdy ujrzała białą galkę — daj mi wolność, puść mię w świat daleki, a nie zamykaj w murach świątyni.

— Bóstwo — odrzekł ojciec surowo — objawiło swą wolę. Od tej chwili jesteś kapłanką Westy. Obwiążcie jej włosy wstęgą kapłańską i weźcie ją do swego grona. Dzisiaj jeszcze, zanim zajdzie słońce, Rubina strzedz będzie świętego znicza. Jam rzekł — tak się stanie.

* * *

Dnia następnego nieprzeliczone tłumy Rzymian spieszyły na miejsce, gdzie miano wykonać wyrok na biednej westalce. Wypadek to rzadki, każdy chciał być aaocznym tegoż świadkiem.

W uroczystym pochodzie prowadzono skazaną. Na czele szli kapłani, za nimi augurowie (czyli pogańscy prorocy), następnie szereg ludzi z pochodniami, wreszcie westalki, prefekt miasta Rzymu w otoczeniu pretoryanów, a na końcu — skazana.

Gdy ją wyprowadzono z więzienia, zdjęto z jej bioder pas ze złotą sprzączką, jako też złotą przepaskę z głowy; na ramiona zarzucono jej szarą togę, która sięgała aż do stóp. Ale i w tym stroju zbrodniarzy wyglądała jak królowna. Z głową wzniesioną w górę postępowała wolno, krokiem majestatycznym.

Jeden z niewolników niósł przed nią lampkę olejną, dzbanek z wodą i bochenek chleba. To były przedmioty, które miano jej dać do grobu. Inny niewolnik niósł gałązkę cyprysu jako znak, że czeka ją śmierć. Tłumy ludu zalegały ulicę i miotały na nią przekleństwa. Lecz ona ich nie słyszała, oczyma szukała ojca. Nie było go

W tej chwili leżał na stopniach ołtarza Westy i błagał daremnie zmiłowania nad córką.

Na polu, w bliskości ogrodów Salusta, wykopano głęboki grób. Kapłani, patrycyusze, prefekt, westalki, zajęli miejsca na trybunach, tłum zaległ pola.

Sabina zbliżyła się do grobu i poraz ostatni spojrzała na słońce, które dla niej na wieki zagasnąć miało. Zadrżała na widok głębokiej, roztwierającej się przed nią czeluści, wzniosła ręce w górę i zawołała głosem donośnym: „Jestem niewinna!” Głuche milczenie zaległo dokoła. Wzniosła dumnie głowę w górę i wstąpiła na pierwszy szczebel drabiny, wiodącej do grobu. Wyciągnęła grożącą rękę i zawołała raz jeszcze, rzucając klątwę mordercom swoim: „przekleństwo wam, niktzemni!” Pomału zeszła do grobu. Niewolnik zastąpił za nią, postawił lampę, zapalił ją, obok na kamieniu postawił dzbanek z wodą i oddał jej chleb. Potem wyszedł z grobu i wyciągnął drabinę. Sabina pozostała sama; ostatni promień słoneczny oświecił ciemnicę grobu. Zawalono grób ciężkim kamieniem i zasypano ziemią.

Wśród ponurych śpiewów obeszli kapłani wraz z westalkami grób trzy razy dokoła; tłum narzucił nań kamieni i rozszedł się do domów; tylko kilku żołnierzy zostało na straży.

Markus Fulwiusz przez kilka dni przychodził codziennie do grobu, rzucał się nań i głosem pełnym rozpaczyny wołał: „Sabino, córko moja, odezwij się, jeśli jeszcze żyjesz!”

Dnia ósmego nabrał Markus pewności, że córka jego już nie żyje. Nie pomogła bogini Westa. Niepohamowany opanował go gniew. Wpadł do świątyni, wygasił ogień, pochwycił młot, aby rozbić posąg bogini. Ale w tej chwili wstrzymała rękę jego Rubina, która stała na straży świętego ognia.

— Cóż chcesz czynić, ojczy?

— Pożukę wszystkich bogów, niema bogów na ziemi. A jeśli są, niechaj mnie zmiażdżą. Wzywam ich przeciw sobie!

Cisza zapanowała w świątyni. Kapłani i kapłanki, znajdujący się za drzwiami, zdrętwieli na takie słowa bluźnierstwa.

Markus wywinął młotem, uderzył w ołtarz, aż prysły kawały, a potem wymierzył cios samej bogini. Złoty posąg zachwiał się i z trzaskiem spadł na ziemię.

Krzyk oburzenia wydarł się z piersi kapłanów i kapłanek; gromadą wtoczyli się do świątyni, chcąc pojąć bluźniercę. Markus podniósł groźnie młot w górę:

— Biada temu — zawołał — kto się zbliży. Powiadam wam: niema bogów!

Zdarłszy z głowy wstęgę kapłańską, rzucił ją o ziemię.

— Nie należę do was więcej; wychodzę stąd, aby szukać Boga prawdziwego. Zanim jednak Rzym opuścę, złożę sprawę moją w ręce cesarza: niech mnie sędzi.

Pochwyciwszy córkę swoją za rękę, zawołał:

— Chodź, córko moja, nie tu dla nas miejsce.

Z podniesionem czołem opuścił świątynię.

Zdawszy opiekę nad domem i majątkiem swoim wiernemu niewolnikowi, udał się z córką w drogę do cesarza.

Zasiadał naówczas na tronie rzymskim cesarz Tyberyusz, jeden z tych tyranów, których imiona w historii wypisane są krwawemi głoskami.

Senat był w rękę jego powolnem narzędziem. Uche jego skłonne na doniesienia szpiegów i zauszników; każdy czyn nie po woli jego, słowo niebacznie powiedziane, karane było wygnaniem, konfiskatą dóbr lub śmiercią.

Szczególnem zaufaniem jego cieszył się Sejanus, zausznik, który wykonywał ślepo rozkazy cesarza. Za

radą Sejanusa wybudował Tyberyusz pałac z niesłychanym luksusem na wyspie Kaprei (Capri), leżącej w zatoce neapolitańskiej, i tamże zamieszkał. Słynne były ogrody, które tu założył. W tym to wspaniałym przybytku wiódł — mimo podeszłego już wieku — życie rozwiozłe, znaczące się okrucieństwami.

Już noc zapadła, gdy Markus Fulwiusz przybył z córką swą nad brzeg morza. Niebo zasiane było promienistemi gwiazdami, a u stóp jego szumiało morze, osrebrzone światłem światła niebieskich.

Markus Fulwiusz podał jednemu z rybaków kieszonką złotem:

— Przewieziesz mnie na wyspę Kapręę — rzekł.

Rybak zadrżał, lecz usłuchał.

Pomknęła łódź po lazurowej powierzchni morza. Lekki wietrzyk ruszył się i rozwiął ostatki mgły wieczornej, a z poza niej ukazała się niebotyczna góra buchająca ogniem.

— Cóż to jest? — zapytała strwożona Rubina.

— To Wezuwiusz, w którego wnętrzu ogień pali się wiecznie. Gdy patrzymy na górę tę w całym jej majestacie, czyż nie przychodzi myśl, że jakaś istota boska wyrzuca ku niebu owe słupy płomienne? Musi być ktoś, który dał granicę wodom, który uczynił koryta rzek i wskazał im drogę. Gdzie jest ten, na którego cudowne dzieła patrzymy a samego nie widzimy? Wichry, błyskawice, grzmoty — tchnienie jego! I niema nikogo, ktoby go widział; a jest!... a jest!... O wielki Boże, gdzież cię mam szukać, abym mógł upaść do twych nóg i wielbić ciebie?

Pomykała łódź cicho dalej. I oczom ich ukazała się ogromna skała, jakby z morza wyrosła. Im więcej ku niej się zbliżali, tem wyraziściej na tle ciemnego morza się zarysowywała. Dojrzeli rzęsiste światła, filary marmurowe pałacu, a wśród nocnej ciszy doleciały ich cudowne tony jakby niebiańskiej muzyki.

— Ojcie — odezwiała się Rubina — ażaliż za życia już wywodzisz córkę twą z tego padolu placzu do szczęścia wiecznego? Ażaliż to nie elizeum? ¹⁾

Zmarszczył Markus Fulwiusz czoło:

— Nie, nie jest to elizeum, ale siedziba tyrana.

Zanim słów tych dokończył, gdy przeraźliwy krzyk zmącił tony muzyki. Biała postać szybkością strzały stoczyła się ze szczytu góry i wpadła w głębokości morskie, za nią druga, trzecia i czwarta; za każdym razem słychać było rozpaczliwy krzyk, morze zapluskotało, nastała cisza — tylko muzyka grała dalej...

Rubina uchwyciła kurczowo ojca.

— Cóż to, mój ojciec?

— To ofiary lubieżności tyrana.

— I my mamy stanąć w obliczności jego? — zapytała Rubina cała drżąca.

— Tak jest, córko moja. Czego nikt nie odważył się uczynić, ja uczynię: powiem mu prawdę.

Wysiedli. Góra jaśniała blaskiem światła; brzmiały flety i cymbalki, zmieszane ze śpiewem młodzieży i płasających bachantek. ²⁾

Cezar się bawił.

CEZAR.

Na brzegu stała straż cesarska. Dowództwo nad nią miał Witeliusz. Stał on w lśniącej zbroi z wzrokiem utkwionym w wysiadających z łodzi. Poznał on arcykapłana i zbliżył się ku niemu.

¹⁾ Elizeum — elizejskie pola — u starożytnych Greków miejsce rozkoszne pośmiertnego świata, mieszkanie cieniów błogosławionych.

²⁾ Bachantki, nimfy, które wychowały Bachusa. Kobiety, poświęcone czci tajemnic bachusowych. W powyższym znaczeniu, kobiety, bawiące cezara, nie biorące względu na wstyd i przyzwoitość.

— Czego szukasz tutaj, ażali śmierci? Szpiegowie donieśli, iżecie znieważyli boginię, a ogień ku czci jej podtrzymywany, wygasili. Uchodźcie, zanim dosięgnie was mściwa ręka jego.

Markus wznosił dumnie czoło i rzekł:

— Prowadź mnie do cesarza. Chcę z nim mówić, obca mi bojaźń wszelka.

Poprowadził ich Witeliusz, a postępując obok Rubiny, odezwał się do niej:

— Obawiam się o ciebie. Jeżeli cesarz ujrzy twoją piękność, zginiessz. A wiesz, że cię kocham.

— Nie obawiaj się, Witeliuszu, — odrzekła z uśmiechem. — Mam sztylet ukryty: obronię się. Ojciec jest ze mną, nie stać mi się nie może.

— Nie znasz cesarza; ale będę cię strzegł.

— Bądź spokojny — dodał Markus — obronię ja córkę moją.

Szli razem ku wschodniej części wyspy, a właściwie ku wschodniemu szczytowi tejże, gdzie stała świątynia Jowisza. Droga, którą szli, nazywała się Via triumphalis, droga tryumfalna. Nagie niegdyś te skały, dziś przedstawiały widok czarnujący; wszędzie, gdzie tylko spojrzysz, z każdej szczeliny pną się prześliczne róże; skalista ta wyspa przeobraziła się w jeden cudny, barwami płomienny kobierzec. A wśród tego kwiecia wystrzelają w górę marmurowe kolumnady i posągi bogów pogańskich, artystycznie wykonane.

Panowała tu cisza, bo nie wolno było tu mówić głośno, aby nie zakłócać spokoju cesarza.

Drogi wysypane były złotym piaskiem, po bokach stały złote świeczniki, na których paliły się w spiżowych naczyniach kadzidła. Z poza niebieskiego z wonnych kadzideł powstającego dymu, wychylał się pałac cesarski ze wszystkimi swemi tarasami i kolumnami z czerwonego jak krew porfiru i marmurowemi sta-

tuami; a to wszystko otoczone bujnym kwieciem róż. Drogi były tutaj wyłożone purpurą i posypane świeżemi fiołkami.

Markus Fulwiusz, który siedł milczący, nagle odezwał się z uśmiechem:

— Cóż znaczy nakaz milczenia? W Rzymie i na całym świecie znają czyny cezara. A ofiary jego wołają głosem wielkim: tyranie!

Witeliusz ze zgrozą spojrział na starca, jakby urągającemu całemu światu. Chciał mu zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, w jakim się znajduje — gdy nagle przystanął z przestachu osłupiały i przyciągnął Rubinę ku sobie — bo oto z willi cesarskiej ruszył pochód cesarza.

Tyberyusz siedział w miękko wystanej lektyce; na ramionach miał zarzucony płaszcz kosztowny. Postać chuda, ale w oczach jego palił się żar tygrysa; nie zwracał na nic uwagi; otaczające go piękności, zdawały się go nie zajmować.

Pochód poprzedzali młodzieńcy i dziewice, synowie i córki najpierwszych rodów arystokratycznych Rzymu. Wszyscy ubrani byli w szaty purpurowe i w wieńce na głowach. Lektykę otaczali chłopcy w białych sukniach, tkanych złotem i powiewali palmami, oddając mu cześć boską. Za lektyką postępował szereg niewolników, uważających na najmniejsze skinienie cesarza.

Markus przystąpił do lektyki i rzekł głosem donośnym:

— Ave Caesar!

Gniew błysnął w oczach jego, ale gdy ujrzał areykapłana, uśmiechnął się i podał mu rękę.

— Bądź pozdrowiony Markusie, czy cię bogini do mnie przysyłała?

I na ustach jego osiadł uśmiech szepczący.

Przyszedłem sam dobrowolnie, stawam przed tobą jako przed moim sędzią. Widzę po blasku oczu twoich, że wiesz wszystko.

Cesarz skinął głową:

— Tak jest, wiem wszystko; wiem, co się w Rzymie moim dzieje. Cieszę się, że miałeś odwagę stawić czoło owym kłamliwym kapłanom i prawdę im powiedzieć. Żądają oni śmierci twojej, masz być ćwiartowanym. Powiedz, czy nie uniosłeś się zbyttnio?... Ale ja cię ćwiartować nie każę... podaruję ci wilę na przykładu Misenum. Cieszę się, że cisnąłeś im w twarz słowa prawdy. Chciałbym być temu obecnym. A choćbyś był Rzym na czterech rogach podpalił i z dymem puścił, nie wydałbym wyroku śmierci na ciebie. Tyś jedyny w całym Rzymie, który mi wierności dochowujesz. Mamże cię mianować namiestnikiem w Neapolis albo prefektem Rzymu? Mów, żądaj... wszystko otrzymasz, bylebyś mógł Rzymian ugniewać. To niewolnicy i parobcy, godni plunięcia!... Nic nie odpowiadasz, niczego nie żądasz? Niech i tak będzie. Wejdz do lektki, siadź obok mnie i opowiedz, jak to się stało.

Markus usłuchał rozkazu, gdy wzrok Tyberyusza padł na Rubinę.

— Kto to jest ta dziewczyna?

— To córka moja, Rubina; druga nie żyje!

— Nie mogłem uratować jej życia; prefekt podpisał wyrok, zanim go widziałem. Gdybyś był sam do mnie przybył...

— Modliłem się, wzywałem boginię o ratunek. Daremnie! Nie dała mi pomocy, nie mogła mi jej dać. Przekonałem się, że cała nauka w bogów, to fałsz — rozbiliem młotem niedołączne to bóstwo. Chcę iść w świat, chcę szukać Boga prawdziwego. Nie prędzej wrócę, aż go odnajdę.

Spojrzał na arcykapłana Tyberyusz poważnie; znikł szyderczy uśmiech z twarzy jego.

— Czyż są bogowie? — zapytał. — Kłoby na pytanie to dał odpowiedź pewną, oddałby przysługę światu. Od dawna nie wierzę w istnienie bogów; ale wiara potrzebna nam dla utrzymania narodu w karchach. I ja pragnąłbym poznać Boga prawdziwego; ale nie sądzisz, że mógłby się stać mi niebezpiecznym?

— Nie, cesarzu; gdyż władza, którą masz w rękę, to z jego woli, z woli Boga wszechpotężnego. Dał ci on władzę, a ludy uczy posłuszeństwa; ale żąda od ciebie, byś był dobry, sprawiedliwy, miłosierny. Jeżeli Bóg stworzył człowieka, to na to, aby był szczęśliwy. Powiedz, cesarzu, jesteś ty szczęśliwy?... Jest naród twój szczęśliwy?

— Mój naród, to rzesza niewolników, którymi pogardzam! — zawołał Tyberyusz.

— Były czasy, że naród rzymski był szczęśliwy, gdy nie zginał karku pod jarzmo...

— Tyrana — dodał żywo Tyberyusz. — Mów śmiało. Tak mnie nazywają. Mają słusność... jestem tyranem; jako tygrysowi, krwi mi trzeba. A któż mnie takim uczynił? — Ludzie. Wmówili we mnie, że jestem wielkim i korzą się przede mną, w pył się tarzają. Nikt nie śmie wyrzec wolniejszego słowa; donoszą mi o tem szpiegowie i oddają w ręce moje. Ty nie wiesz, ile ja cierpię, jakie dręczą mnie wyrzuty sumienia. Jestem syt życia. Tu na tej skalistej wyspie stworzyłem sobie krainę przepychu i...

— Cesarzu — przerwał mu Markus — skalista ta kraina zboczona jest krwią ofiar twoich. Jesteś okrutnym. Dlaczego nie okażesz na zewnątrz dodatniej strony twego charakteru?

— Dlatego, że dobrocią nic się nie robi. Panujący, któryby sprawiedliwością i dobrocią chciał rządzić, musiałby być chyba Bogiem. A gdzież on?

— Jest Bóg, ale go nie znamy; przyjdzie on i podniesie ludzkość z upadku.

— Pokaż mi go, a uwierzę.

— Szukam go, a gdy go znajdę, pokażę go tobie.

— Uczyń to, a zaskarbisz sobie wdzięczność moją. Wiem, że mówisz prawdę, że mnie nie okłamiesz, że wszystko mi opowiesz, coś widział. Nie znasz udręczeń moich, uwolnij mnie od nich, a będę cię błogosławił. Jedź, jedź jutro! Wracaj wnet i przynieś mi ośłode w cierpieniach moich.

Cezar mówił jak w gorączce, usta jego były spieczone; drżał jak w febrze i owinał się w płaszcz purpurowy.

— Cóż ci jest, cesarzu? — zapytał Markus.

— Chory jestem, ale nie mów o tem. A kto by o tem wspominał, język mu wydrzeć każę. Wina! — zawołał.

Przybiegli niewolnicy, a ukłękawszy, podali mu puhar złoty, napełniony winem.

Cesarz wziął puhar i podał go jednemu z towarzyszących mu patrycyuszów.

— Pij! — rzekł.

Patrycyusz ujął puhar i upił nieco. Następnie dopiero, będąc pewny, że w winie niema trucizny, przyłożył Tyberyusz puhar do ust i wychylił do dna. W ten sam sposób wypił drugi i trzeci. Nowe życie wstąpiło w niego.

Pochód ruszył dalej.

— Takie jest życie moje. Muszę się odurzać to winem, to rozkoszami.

Schodzili z góry.

— Dokąd zmierzamy? — zapytał Markus.

— Do świętej grotty, złożę bogom ofiarę.

— Ty składasz bogom ofiary, a nie wierzysz w nich?

— Składam dla zwyczaju. Ofiary składane bogom podobają mi się, podrażniają one nerwy moje, dlatego je lubię. Pokaż mi innego Boga, któryby chciał innych ofiar — ale krew płynąć musi.

— Wątpię, aby Bóg żywy takich ofiar pragnął.

— Tak sądzisz? — zawołał Tyberyusz. — W takim razie wątpię, czy go uznam.

Wzrok jego padł na Rubinę i spostrzegł, że jest piękna i młoda.

— Ona była także kapłanką i opuściła świątynię Westy. Jaka kara jest za to przepisana? Odpowiedz, Marku.

— Śmierć — odrzekł arcykapłan ponuro — ale jest to jedyne dziecię moje, które zostało przy życiu.

— Nie obawiaj się, włos z głowy jej nie spadnie. Pójdzie z tobą w świat, dokąd tylko zechcesz. Tak ja dotrzymuję wierności przyjaźni.

OFIARA CEZARA.

Ziemia się przed nimi rozstąpiła i weszli w wązkie ganek wykuty w skalach. Ściany pozawieszane były drogimi kobiercami, w spiżowych naczyniach, zwieszających się z sufitu, paliły się światła, droga wyłożona była purpurą i posypana świeżemi różami, fiołkami i narcyzami.

— Spójrzyj — odezwał się Tyberyusz — tutaj czuję się szczęśliwym; bo zdala żyję tu od świata i ludzi. Tutaj panuję jako bóg i wszyscy cześć boską mi oddają. I gdy znajdziesz Boga, którego szukasz, przyprowadź mi go, a potem zobaczymy, kto mocniejszy: „on, czy ja“.

— Nie bluźnij! — odezwał się Markus. — Ten nowy Bóg musi być potężniejszym od ciebie i ty jego szukać musisz.

Wzrok cesarza błysnął gniewem.

— Marku! — zawołał — że nie uznajesz bogów, daruję ci to; ale że nie chcesz uznać boskości cesarza, lwom cię rzucić każę.

Markus się uśmiechnął.

— Rozum nakazuje mi milczeć, więc milczeć będę.

— Dobrze czynisz. Nie wierzysz w bóstwa, w pewnych przypadkach wolno... na przykład nam dwóm! Ale nigdy nie wolno wątpić w boskość cesarza. Bogowie rządzą tam w niebie, a cesarz tu na ziemi. Ktoby chciał temu przeczyć, śmiercią zginie.

Pochód zatrzymał się przed granitową ścianą, bogato złoconą, ozdobioną statua samego cesarza w postaci Jowisza, rzucającego pioruny. Lektykę zniżono, Tyberyusz wyszedł i oddał pokłon własnemu wizerunkowi. Wszyscy padli na twarze i lekki, jakby przyciszony śpiew dał się z piersi ich słyszeć: „Ave Imperatori!”

W tej chwili znikły w bocznych gankach szeregi dziewic i młodzieńców, nagle, jak gdyby otchłań ich pochłonęła. Niewolnicy leżeli nieruchomi na ziemi. Cesarz przeszedł po nich i nacisnął na wielki w ścianie znajdujący się rubin i ściana rozstała się natychmiast bez szelestu. Weszli do miejsca, które pod względem przepychu przewyższało wszystko; co tylko ludzka wyobraźnia wymyśleć by zdołała. Była to wielka grota; ściany jej połyskiwały światłem niebieskawem, jak gdyby były złożone ze samych szafirów, oblanych bladem światłem gdzieś z pod ziemi przez głębokości morskie przedzierającego się słońca.

Tymczasem zasiadł Tyberyusz na tronie z drogiego niebieskiego kamienia, wyłożonym skórami panter. Z wysokości okiem niedostrzeżonej zaczęły spadać świeże narcyzy, równo jak deszczyk wiosenny, napelniając czarowny ten przybytek świeżem powietrzem. Niewolnice w białych kostymach otoczyły tron i włosy cesarza obsypywały złotym pudrem.

Wszystko to odbywało się w najgłębszym milczeniu; nikt nie odważył się wobec „bóstwa” nawet głębiej odetchnąć.

Markus chciał pytać, ale Tyberyusz, który w tej chwili złoty piorun w rękę trzymał, dał mu znak, aby milczał.

Podniósł Tyberyusz rękę w górę i puścił spiżową kulę w naczynie srebrne — rozbrzmiał głos czysty, śpiewny, miły. W tejże samej chwili zapaliło się około stu świateł, otaczających półkołem niby nimbusem „boską głowę“ cesarza.

W dole połyskiwała światłem lazurowym nieco roz-falowana powierzchnia morza, a po niej płynęła spokojnie wysepka. Złudzenie, czy rzeczywistość? — Tak cudnego krajobrazu ani sobie wymarzyć nie było podobna. Wysepka kąpała się w światłach na przemian purpurowych, liliowych, zielonawych, a po jej skalistych ścianach spływała woda srebrnymi kaskadami do morza. Po brzegach jej w długich spleciach zwijało się bujne kwiecie, jakie tylko wiosna wydać może. Na samym środku wysepki wyrosły trzy palmy, a cień ich padał na niewielkie groty zbudowane z różowych muszli. Opoдал stała mała, jak śnieg biała świątynia, a nad wejściem do niej widniał wizerunek bogini Westy. Z pośród kwiecistych krzewów wysepki rozbrzmiał śpiew słowika, wesoły, jak zwykle wiosną słowiki śpiewają. A jakby z pod ziemi słyhać było śpiew chórów ludzkich, śpiewających hymn, w którym wielbiono Tyberyusza jako potężnego boga — a ponad wszystkim brzmiał wciąż głos słowika.

Tyberusz nasłuchiwał się z upodobaniem.

Stała się cisza — tylko muzyka grała lekko, cicho... Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zjawili się na wysepce młodzieńcy, poubierani w białe kostiumy greckie, na głowach mieli wience z kwiatów, szli w parach po dwóch a dwóch, na twarzach ich kwitła młodość, oczy promieniały szczęściem.

Ale nie slychać było wybuchów wesołości, zrywali kwiaty, zdobili się w nie wzajemnie, ale w milczeniu; posuwali się jak istoty nienależące do tego świata. Tylko muzyka grała ciszej jeszcze.

I znówu pokulnęła się spiżowa kula w naczynie srebrne, znak boga, który tam w górze wśród rześkiego światła siedział na tronie i moc dzierzył. I na ten znak żywe barwy roślinności na wysepce niknąć zaczęły, woda przybrała kolor ciemny, groźny, muzyka coraz grała gwałtowniej, jakby burza się zerwała, a wysepka zaczęła pomału zapadać się w głębokości morskie ze wszystkiem, co na niej było; — zapadła, fale morskie po niej przepłynęły.

Krzyk rozpaczy tonącej młodzieży rozległ się po wodach i wzbil się w górę ku przybytkowi cesarza; widać było twarze blade, śmiertelną trwogą wykrzywione, ręce w górę się wyciągające, zginęło wszystko. Na spokojnych wodach morza pływały tu i owdzie kwiatki; muzyka grała żywo, aby zagłuszyć krzyk umierających, a z góry odezwał się chór: Ave Imperator! Ave!...

Markus zakrył twarz i westchnął boleśnie:

— Ach, to okropne! Czy nie lękasz się cieniów pomordowanych ofiar?

— Nie — odrzekł cesarz — bóg nie zna obawy. Tutaj jestem bogiem, wola moja prawem. Teraz idź w świat, szukaj Boga i powiedz mu, coś widział.

Dał znak ręką, furta się otworzyła i Markus wyszedł, uprowadzając z sobą córkę swą, Rubinę. Nie czekając ani chwili, czempredzej opuścił wyspę. Witeliusz, który odprowadził ich do portu, prosił, aby czekali na niego w Neapolu, gdyż nie chciałby, aby sami bez opieki puszczali się w niebezpieczną podróż.

Poszedł czempredzej Witeliusz do cesarza, pokłonił mu się i rzekł:

— Pozwól, wszechpotężny cesarzu, abym i ja szukał w świat i szukał Boga wszechmocnego.

Cesarz spojrział nań badawczo.

— Ty?... Ty, który jesteś żołnierzem, nie możesz znać innego boga jak swego cesarza.

Witeliusz spojrzał, że cesarz przejrzał jego zamiary, pochylił więc skromnie głowę. Pochodził on z wysokiego rodu patrycyuszowskiego, oddał cesarzowi nieraz wielkie przysługi, spodziewał się więc, że prośbę jego wysłucha.

— Chcesz mnie opuścić i iść za Rubiną? — zapytał cesarz. — Nie jestże tak?

— Tak jest.

— A jakaż tego przyczyna?

— Bo kocham Rubinę, kocham nad życie.

— Niewolniku! — zawołał gniewnie Tyberyusz. — Ty śmiesz podnieść wzrok na dziewczynę, w której cesarz ma upodobanie? Wiesz ty, że stoisz w obecności boga, któremu postępkami takim bluźnisz? Czemu jesteś? Niewolnikiem, jeńcem, którego zabić mogę.

Krew wzburzyła się w żyłach młodego patrycyusza, podniósł groźnie rękę i zawołał:

— Nie bogiem ty jesteś, ale tyranem, mordercą!

Tyberyusz uśmiechnął się śmiechem straszliwym; podniósł rękę w górę i na ten znak wpadła zgraja żołnierzy.

— Bluźniłeś bogu — rzekł cesarz — wyrok wydałeś sam na siebie: śmierć tobie!

Witeliusz się roześmiał.

— Tak sądzisz?... Nie tak łatwo Rzymianie się poddają.

Chciał dobyć miecza, lecz w tej chwili dziesięć rąk go pochwyciło i rzuciło o ziemię.

— Okuć go! — rozkazał cesarz.

Witeliusz podniósł się, a odsłaniając pierś, zawołał:

— Tu pierś moja, pchnij w nią, tyranie, i bądź przeklęty!

— Mała kara dla ciebie — odrzekł cesarz, cedząc słowa, jakby się rozkoszował pomysłem swoim, i dodał:

— Jutro z rana wywieziecie go do kopalń sardyńskich, głową mi za niego odpowiadacie!

Witeliusz wydał okrzyk bólesci i upadł złamany. Los w sardyńskich kopalniach gorszy był od śmierci.

W PUSTYNI LIBIJSKIEJ.

Po trzech dniach daremnego oczekiwania za Witeliuszem, udał się Markus z córką do Rzymu. Tam zaostrzywszy się we wszystko, co było niezbędne do drogi, wsiadł w Ostium na statek i puścił się ku Grecyi. Nawówczas przodowała Grecya wszystkim innym krajom naukami. Tam też spodziewał się u stóp góry Olimpijskiej, poświęconej bóstwom, dowiedzieć się cośkolwiek o Bogu prawdziwym. Widział wielkie świątynie, wielkie gmachy, wielkie nauki, wielkie bogactwa, a obok tego wiele nędzy; ale Boga, którego szukał, nie znalazł.

Z Grecyi udali się do Egiptu, kraju Faraonów, gdzie zdawałoby się, że kilkotysięcznoletnia kultura przysposobiła grunt dobrze obroniony do przyjęcia światła prawdziwego.

Lecz jeszcze większy obraz nędzy przedstawił się ich oczom. Egipt należał podówczas do Rzymian, których potędze nic oprzeć się nie mogło. Cześć dla dawnych bóstw egipskich zaginęła, pozostał tylko wstrętny kult bogini Izydy. Świątynie stały opustoszałe, a gdzie dawniej kapłani czynili ofiary bogom, dziś w tych samych świętych gajach zgraje rozpustnych bachantów wyprawiały dzikie orgie.

Jak w Grecyi i w państwie rzymskiem połowa ludności żyła w niewolnictwie, tak i tutaj w Egipcie. Los

niewolników w Egipcie był o wiele gorszy; nie mieli oni nadziei lepszej przyszłości, wierzyli, że stworzeni są dla niewolnictwa, odjęty im był wszelki promyk, mogący rozjaśnić ciężkie dni żywota. Wierzyli w fatum czyli w przeznaczenie. Buduary kobiet rzymskich bywały często zbryzgane krwią niewolnic, które z rozkazu pani ćwiczone różgami. Gorszy los był jeszcze los niewolników mężczyzn. Na czole piętno, włos do połowy krótko strzyżony, na nogach kajdany, na ciele blizny od utrzymanych plag, twarz wynędzniała, oczy, zapadłe. — Oto obraz ówczesnych stosunków.

Nikt o niego się nie upomniął, nie miał praw żadnych. Niektórzy Rzymianie utrzymywali do 20 tysięcy niewolników, których byli panami życia i śmierci.

Markus ujrzał całą nędzę niewolnictwa. W duszę jego wstąpiła jeszcze większa wątpliwość o potęgę bogów. Dlaczego tyle ludu biednego cierpi nędzę? Czy im bóstwa pomódz nie mogą, czy też nie chcą? Jeżeli nie chcą, to bóstwa te są okrutne; jeżeli nie mogą, są bezsilne i pogruchotać należałoby ich ołtarze, jako uczynił z boginią Westą. Czuł Markus, że Bóg prawdziwy mógł być tylko Bogiem miłości i modlił się w duszy o łaskę odnalezienia tego Boga.

Niedługo bawili podróżni nasi w Aleksandryi, mieście portowem na brzegach Egiptu; panowała tu zaraza i mieszkańcy po większej części miasto opuścili.

Przyłączył się Markus z Rubiną do mniejszej karawany, udającej się na południe. Dowiedział się bowiem, że w okolicy Memfis żyje uczony Egipcjanin z rodu królewskiego, a nazywał się Unts-Re. Do niego postanowił się udać.

W drodze zapoznał się z uczonym rabinem, Izai ben Mazochem, który również z córką swą Rachelą do Memfis chciał się dostać. Rabin dużo w życiu podróżował, więc rozmowa toczyła się między obywatelami

podróżnym bardzo ożywiona i wnet stosunek między nimi stał się serdecznym; również Rubina zaprzyjaźniła się z Rebeką.

Lecz już dnia wtórego podróży poróżnili się z sobą przewodnicy karawany i w gniewie rozeszli się. Podróżni pozostali bez przewodników i każdy musiał radzić o sobie. Markus i Izai postanowili udać się do Memfis. Podróż trwała wśród nieznośnego skwaru przeszło tydzień. Obydwa dziewczęta, nie przyzwyczajone do znoszenia uciążliwości tak wyczerpującej siły drogi, zasłabły ciężko. Izai umieścił je w gospodzie w cienistym gaju palmowym, nawarzył ziół i nakazał odpoczynek.

Odpocząwszy dni kilka, wybrali się Markus i Izai w drogę, aby odszukać uczonego Egipcyanina, Unis-Re, którego Izai znał z dawna a miał do niego ważne posłannictwo. Dziewczęta, które już siły odzyskały, pozostawili pod opieką wiernej służby.

Już dzień się miał ku zachodowi, gdy dosiedli wielbłądów. Przed nimi rozciągała się pustynia Libijska, opromieniona purpurem zachodzącego słońca. W stronie ratępującej tarczy słonecznej widniało fioletowe górne pasmo. Już późna noc rzasła, gdy podróżni nasi do stóp tychże się zbliżyli. Przy świetle księżyca, płynącego spokojnie wśród miliardów gwiazd, spostrzegli osobno stojące drzewo sykomoru.^{*)} Tutaj postanowili spocząć. Obydwa zsiadli z wielbłądów, a Izai Ben Mazoch zwrócił się twarzą ku wschodowi, ukląkł i modlił się. Ze zdziwieniem patrzył nań Markus.

— Do kogoż on miał się modlić? — Nie znał Boga.

Po uciążliwej, przez wawóz wiodącej drodze, zbliżyli się do świątyni a raczej ruiny jakiejś dawniejszej

^{*)} Sykomor, rodzaj drzewa figowego, rosnącego na Wschodzie i w Egipcie. Drzewo sykomoru jest bardzo trwałe; w starożytności wyrabiano z niego trumny, w jakich dziś mamy znajdujemy.

świątyni. Tutaj zostawili wielbłądy swoje i weszli do pieczary. Izai ujął towarzysza za rękę i poprowadził go przez długi, ciemny ganek, w którym nietoperze harce wprawiały. Nagle ujrzeli jaskinię, oświetloną czerwonym światłem dwóch pochodni.

Izai przystanął i uderzył trzy razy w dłonie.

— Unis Re! — zawołał. — Izai ben Mazoch odwiedza cię i przynosi radosną nowinę. Przyprowadzam ci Rzymianina dostojenstwem wysokiego, który z ust twoich pragnie słyszeć słowo mądrości.

Niedługo potem zjawił się starzec, mogący liczyć około stu lat, wsparty na ramieniu urodnego młodzieńszka; głowa starca zupełnie łysa, broda siwa, sięgająca do pasa, twarz pergaminowa, podobna do muraii.

Z wyciągniętymi rękoma zbliżał się ku nim.

W Imię Boga przedwiecznego witam cię, Izai, i towarzysza twego.

I rękoma szukał rąk ich, ale nie znalazł, bo od lat kilku stracił wzrok.

— Menes — zwrócił się starzec do młodzieńca — zaprowadź mnie do kamienia, abym usiadł, drżą od starości nogi moje.

Posłuszny młodzieniec zaprowadził starca do kamienia, na którym usiadł, a obok niego spoczęli obydwaj goście.

Izai opowiedział, co widział w Aleksandryi, o zbytku i rozpuszcie tam panującej.

— A teraz zdążam do Jerozolimy, do miasta świętego, gdyż spełnił się czas. Pan i król narodu mego chodzi po kraju i głosi prawo nowe.

— Mówisz o narodzie twoim i jego królu — wtrącił zaciekawiony Markus. — Czy masz na myśli Żydów, będących pod panowaniem rzymskim?

— Jesteśmy narodem wybranym od Boga — odrzekł Izai — który na górze Synai dał nam przykazania:

Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł ze ziemi egipskiej, z domu niewoli.

Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno.

Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.

Czcij ojca twego i matkę twoją.

Nie zabijaj.

Nie cudzołóż.

Nie kradnij.

Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu.

Nie pożądaj żony bliźniego twego.

Ani żadnej rzeczy, która jego jest.

— Ależ to brzmi, jak objawienie — zawołał z entuzjazmem Markus. — Jak się nazywa ten Bóg, który takie przykazania nadał?

— Jehowa, Bóg prawdziwy, którego wielbi i do niego się modli także Unis Re, królów potomek.

— Jakto — zawołał Markus — Ty, Egipcjanin, modlisz się do Boga Żydów?

— Cudzoziemcze — odrzekł poważnie starzec — byłem kapłanem Izdydy. Poznałem kult religijny Greków i Rzymian i przyszedłem do przekonania, że tak dla Greków, jak i Rzymian, Żydów i Egipcjan jeden tylko istnieje Bóg, duch, który rządzi światem i dał człowiekowi duszę nieśmiertelną. Zestarzało się ciało moje, ociemniałem, ale dusza moja widzi jasno, szukała Boga — znalazła go. I modlę się do niego jako do Pana mego. Gdy widziały jeszcze oczy moje, czytałem księgi, które mi przyniósł Izai, i znalazłem w nich mądrość, tę mądrość, którą objawił Bóg swemu narodowi wybranemu. Temu narodowi przyrzekł Bóg zesłać Mesyasa, Odkupiciela

— A teraz — dodał Izai — udaję się do Jerozolimy, aby pozdrowić króla mego.

— Jakże pragnąłbym podażyć z tobą — rzekł Unis Re — ale wiek mój już mi na tak daleką podróż nie pozwala. Jedź, Izai, i daj mi wieść o Bogu naszym. Oczami duszy oglądać go będę, a wtenczas z chęcią spocznę do snu wiecznego i ducha mego w ręce jego oddam.

Już się zciemniło, gdy obydwaj podróżni powstali, aby pożegnać starca.

— Izai, — rzekł tenże, — sprawiłeś mi radość wielką. Teraz wiem, że Bóg nasz żyje, a ta pewność, to promień słoneczny w ostatnich dniach mego żywota. Bądź błogosławiony! Bóg z wami!

I dał im tabliczkę, na której wypisane były czerwona farbą znaki.

— Weźcie to, — dodał, — dla obrony waszej, aby się wam krzywda nie stała. W niebezpieczeństwie pokażcie tę tabliczkę i nazwijcie moje imię. W całej okolicy przejęty jest lud czią dla Uni Re, ostatniego potomka Faraonów.

Odjechali.

Długo stał jeszcze starzec na progu świątyni Izydy z twarzą zwróconą w stronę, w którą się oddalili. Nagle wyprostował się, twarz jego przybrała wyraz jasnovidzenia.

— Menes, — odezwał się, — cudzoziemcom grozi niebezpieczeństwo. Przynies mi płaszcz, łaskę i przepaskę królewską; prowadź mnie do Memfis, abym ich obronił.

Młodzieniec spełnił rozkaz, obydwaj wyszli w puśtynię...

OBLUBIENICA NILU.

Gdy Markus i Izai puścili się w pustynię Lybijską, Rubina poszła do gaju, a Rachel pozostała w domu, bawiąc się drogiemi kamieniami, które jej ojciec podarował. Były to dyamenty, rubiny, szafiry, smaragdy, topazy, granaty — a najmilszą jej zabawką było rozkładać kamienie te na czarnym aksamicie, wyglądały one jak gwiazdki rozrzucone na ciemnem tle niebieskiem, promieniające różnobarwnem światłem.

Rubina przeszła gaj i znalazła się nagle nad brzegiem Nilu. Suneły po nim barki, a w nich odpoczywali Memfici, korzystając z wieczornego chłodu.

Odmieniny ten a malowniczy widok zaprzął uwagę Rubiny, gdy wtem zbliżył się do niej duży biały ptak, z czarną główką, czarnemi na kończynach skrzydłami, długim, zakrzywionym dziobem. Spojrzał na nią rozumniemi oczami, jakby pieszczot się dopraszał. A widząc obojętność, bo go nie zauważyła, uderzył ją lekko dziobem, aby na się zwrócić uwagę. Przełękła się Rubina i w przestraszu uderzyła go wachlarzem.

Spotrzegli to ludzie w barkach, podnieśli krzyk ogromny, wyskoczyli na brzeg i otoczyli dziewczę.

— Biada, biada jej! — krzyczeli oburzeni. — Uderzyła ptaka świętego! Biada!

Ptak odszedł poważnym krokiem, a wielu Egipcyan padało przed nim na twarze i cześć mu oddawało. *)

Drżąc od strachu Rubina nie mogła się tłumaczyć, gdyż nie знаła języka tych ludzi. Skrępowano ją powrozami i zawleczono wśród nieustających krzyków wciąż wzrastającego tłumu do więzienia.

*) Był to ptak zwany „ibis“. Egipcyanie oddawali mu cześć boską, a to pewnie dlatego, że zjawiał się przed wylewem Nilu. Temu wylewowi Nilu zawdzięczali Egipcyanie cały swój urodzaj.

Zatrzaśły się za nią drzwi, pozostała sama. Straszliwe przecucie śmierci ścisnęło jej serce; załamywała

— A zatem znalazłbym Boga prawdziwego! — zawołał z uniesieniem Markus i opowiedział, że opuścił Rzym, aby szukać Boga. Zdziwieni byli wszyscy zrzędzeniem Opatrzności, która sprowadziła w jedno miejsce trzech arcykapłanów: Żydów, Egipcyan i Rzymian.

Markus prosił Izai, aby go pouczył o Bogu prawdziwym. Upływała godzina za godziną na pouczającej rozmowie. Nareszcie rzekł, kończąc Izai:

— Spełniło się, co prorocy przepowiedzieli: Mesjasz zstąpił na ziemię i chodzi po krainie żydowskiej a nauka jego błogosławieństwem spływa na nią. Posłuchajcie, co mi pisze z Jerozolimy przyjaciel mój Efraim:

„Pozdrowienie i błogosławieństwo Tobie, rabi Izai ben Mazoch!

Wstał prorok wielki, a ludzie mówią, że to Eliasza albo Jeremiasz. Nigdyśmy o takich cudach nie słyszeli, jakie czyni: ślepi — widzą, głusi — słyszą, chromi — chodzą, umarli — powstają. Sam widziałem to na ręce, wołała pomocy ojca, — cisza panowała głucha, tylko z dala dochodził pomruk wzburzonego tłumu.

Dnia następnego zasiedli sędziowie, aby sądzić winną.

Arcykapłan Izidy wniosł skargę.

— Cudzoziemka — rzekł — pohańbiła płaka świętego, podeptała święte prawa kraju naszego. Jaka kara ma ją spotkać?

— Śmierć! — zawołali wszyscy.

Arcykapłan sklonił głowę.

— Wiadomo wam — mówił dalej — że od tygodnia zabiera zaraza wiele ofiar z pośród nas, i wciąż się wzmaga. Dowiedziałem się, że cudzoziemka przed tygodniem do Memfis przybyła.

— Ona zarazę przywlokła — przywótzrzyli sędziowie. — Niech ginie, a z śmiercią jej zaraza ustąpi.

— Niech ginie! Świętemu Nilowi *) złożymy ofiarę, jak u nas zwyczajem. Bóg potężny od dawna czekał ofiary. Stanie się: złożymy mu w ofierze oblubienicę czystą i piękną, za którą to cenę ubłagamy gniew jego i oddali od nas nieszczęsną zarazę.

Gdy wyrok zapadł, tłumy, czekające na dworze, powtarzały go z rozkielznaną radością. Śmierć jej! Jutro święto oblubienicy Nilu!

Całe miasto było w poruszeniu. Tłumy biegły na brzeg rzeki, aby pomódz w budowaniu rusztowania, łóz i trybun.

Późną nocą wrócili Markus i Izai. Rozpacz ojca, gdy się dowiedział, co się stało, nie miała granic. Pobiegł do sędziów, drzwi zastał zamknięte; jak szalony popędził do więzienia i tam u drzwi padł złamany.

Izai odszukał go, zaprowadził do domu i polecił przygotować wszystko do podróży; poczem wysłał posłańca do Unis Re, bo on jeden tylko mógł być pomocnym. Sam zaś poszedł nad brzeg Nilu, rozmawiał długo z właścicielem barek, a potem wrócił do Markusa i Racheli.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca oświeciły ziemię, już mieszkańcy miasta Memfis i całej okolicy spieszyli ku portowi, gdzie miały się odbyć zaślubiny Nilu z jego oblubienicą. Ruch na ulicach i na drogach, wiodących do miasta, był niezwykły. Handlarze, jak zwykle podczas większych uroczystości, zachwalali swoje towary, sprzedawali wodę i napoje chłodne.

*) Egipcyanie, później także Grecy i Rzymianie, oddawali Nilowi cześć religijną. Egipcyanie wyobrażali go sobie w postaci w połowie męskiej, w połowie żeńskiej, z brodą i piersią, cery błękitnawej.

Największy natłok panował w porcie, dokoła którego pobudowano trybuny i łóże; wyłożono je kobiercami, przystrojono kwiatami i chorągiewkami. Od brzegu pobudowano na rzekę wspaniałe pomost, z którego miano strącić oblubienicę.

Trzy godziny już słońce na niebie świeciło; gdy wtem odezwały się od strony miasta głosy tub. Pochód z oblubienicą się zbliżał.

Muzyka, śpiewy, okrzyki, łączyły się w jeden wrzaskliwy chaos. Bachantki wyprawiały dzikie tańce, wywijając brzęczącemi tamburinami.

Na przodzie jechał na ognistym rumaku trębacz; zanim postępowała gromada bachancka — kobiety po jednej stronie ulicy, mężczyźni po drugiej. Kobiety postrojone były w suknie zielonawe, koloru morza, włosy miały rozpuszczone, przybrane kwiatem lotosu. Mężczyźni mieli poutylkane w włosach sitowie a w rękach nieśli pałki trzcinowe. Przedstawiali oni bogów rzecznych. Młodzież tańcząca poubierana była w białe, krótkie suknie, a na ramionach miała pozarzucane skóry panter.

Za tą gromadą postępowało dwóch kapłanów Izydy w białych szatach, trzymających w ręku złote, winem napełnione czary — dary miasta bogu Nilowi.

Przeszło sto dziewic i młodzieńców przygrywało na fletach i uderzało w cymbały. Za nimi wieziono jakąś w kajdany okutą poczwara z czerwonymi skrzydłami, spiczastymi rogami. Poczwara ta miała przedstawiać zarazę.

W otoczeniu gromady chłopców, młodzieży i mężczyzn postępował drugi wóz, zaprzężony w ośm karych koni. Obladowany był skórami krokodylowymi, wiązkami kłosów, daktylami, muszlami, winogronami. Na wozie tym spoczywał na posłaniu z sitowia mąż olbrzymich rozmiarów, na głowie miał wieniec ślubny. Był to

bóg Nil, którego otaczało szesnaścioro dzieci: bo 16 łokci musi woda w Nilu urosć, aby wylewem swym zażyźnić kraj.

Otaczała go gromada kapłanów, muzyka brzniała, tłumy śpiewały dzikie pieśni.

Trzeci wóz się zbliżał. Był on zaprzężony w ośm czarnych byków, przystrojonych w białe strusie pióra, sitowie i kwiaty wodne. Na wozie tym zbudowany był wysoki baldachim, przy każdym z czterech tegoż słupkach stał arcykapłan. Pod baldachimem, na tronie z sitowia i kwiatów siedziała królowa uroczystości — Nilu oblubienica. Ubrana była w suknię białą, twarz zasłaniał biały woal, włosy miała rozpuszczone, a na głowie wieniec z kwiatów lotosu *), ręce założone na kolanach, na nogach kajdanki, uniemożliwiające ucieczkę. Okiem błędnem spoglądała po tłumach w nadziei ratunku, lecz nadaremnie. Przez całą noc wzywała ratunku bogów rzymskich. Bogowie ratunku nie dali, nie słyszeli jej wołania lub byli bezsilni. Więc myślą zwróciła się do Boga, którego wyszła szukać, i modliła się do niego z całą gorącością duszy: Boże wielki, Boże prawdziwy, wybaw mnie z rąk rozszalałego tłumu. Ty nie możesz chcieć zguby twojego dziecięcia, bo choć Cię nie znam, ale kocham całą duszą. Ratuj mnie, Panie, ratuj!

Po tej modlitwie jakiś spokój zapanował w jej duszy, tak, że już bez trwogi oczekiwała dnia następnego.

Okrzykami dzikiej radości powitały tłumy dziewczę. Kapłani ujęli ją za ręce i poprowadzili na koniec pomostu, gdzie ją wszyscy widzieć mogli.

Obydwa kapłani Izydy, niosący złote czary, odprawiali głośno modlitwy; następnie wylali wino w rzekę i wrzucili w nią obydwie naczynia. Inny kapłan w długiej do ludu przemowie tłumaczył doniosłość obrzędu

*) Lotos, kwiat wodny, koloru różowego lub czerwonego. u Egipcyan w wielkiem poważaniu.

tego. Po skończonej mowie ujął rękę dziewczicy i włożył w dłoń olbrzymia, przedstawiającego boga Nila.

Kapłani pochwycili ją, aby strącić w wodę.

W tej chwili powstał ruch na pomoście. Jakiś młodzieniec ze sztyletem w ręku przedarł się przez tłumy.

— Stójcie! — zawołał. — Popelniecie zbrodnię na istocie niewinnej.

Mimowoli rozstąpili się kapłani.

— To Menes, towarzysz Unis Re — powtarzano z niezadowolaniem. — Czegoż on chce?

Na pomoście ukazała się wysoka postać starca. W ręku trzymał białą laskę, odziany był w białe szaty, a na głowie błyszczała królewska przepaska. Był to Unis Re, ostatni potomek Faraonów. Podniósł rękę w górę i rzekł głosem doniosłym:

— Egipcianie. Macie zamiar popelnić zbrodnię. Dziewica ta jest niewinną; nie wiedziała ona, że macie w czci ibisa. Nie jest winna zarazie, jaka nawiedziła miasto wasze. Również w Alexandryi grasuje straszliwa ta choroba a przywlekli ją kupcy z Arabii. Puśćcie ją wolno. Nil, owa wielka rzeka, nie żąda takich ofiar...

Krzyk oburzenia wyrwał się z tysiącznych piersi. Tłum chciwy straszliwych widowisk, dopominał się gwałtownie spełnienia wyroku.

— Spełnić ofiarę! — krzyczano. — Strącić ją w świętą rzekę!

Kapłani stali niezdecydowani. Powaga Unis Re była tak wielka, że nie śmieli mu się sprzeciwić, a z drugiej strony obawiali się utraty popularności u ludu.

Powstał więc krzyk jeszcze większy i tłum zaczął się wdzierać na pomost. Skorzystał z zamieszania Menes i rozciął cienkie kajdanki u nóg Rubiny, dając jej swobodę ruchu. W tej chwili zbliżyła się do pomostu olbrzymia łódź z rozpiętymi żaglami. Menes spojrzał na nią i ujrzał przy maszcie Markusa i Izai. Nie wątpił

już, że uda się Rubinę uratować. Podniósł ogromny krzyk, aby odwrócić uwagę od barki.

Kapłani obstąpili Unis Re i sprowadzili go z pomostu. Natlok na pomoście stał się wielki, tak że chwiać się zaczął. Olbrzym pochwycił Rubinę w ramiona, podniósł wysoko, pokazał ludowi i cisnął we wodę.

Kilkadziesiąt rąk zanurzyło się w wodzie i nieszczęśliwą wydobyto i złożono w namiocie, umyślnie na barce zbudowanym.

— Do wiosel! — krzyknął Markus. — Jeśli uratujecie córkę moją, czeka was nagroda królewska!

Dwadzieścia wiosel zanurzyło się ruchem regularnym w wodzie, wyprężyły się wiosła i barka pomknęła naprzód szybkością strzały.

Okrzyk grozy wstrząsnął powietrzem; tłum jeszcze większą siłą parł na pomost. Zatrzeszczały wiązania jego i z trzaskiem się załamał. Setki ludu wpadły w nurty rzeki. Mniejsze barki rzuciły się ku ratowaniu tonących, nikt w tej chwili nie myślał o pościgu.

Wiatr dął w żagle uciekającej barki, dwadzieścia wiosel pracowało z wyteżeniem — pościg byłby daremny.

Izai stał na przedzie barki i chustą białą wionął na pożegnanie Unis Re.

Markus usiadł przy łóżu Rubiny.

— Córkę moja — rzekł czule, biorąc ją za rękę — jakież żnienne losy. Byłaś kapłanką Westy, potem oblubienicą Nilu — cóż cię teraz czeka?

— W ostatniej chwili — odrzekła Rubina z anielskim uśmiechem — wzywałam pomocy Boga prawdziwego, którego nie znam. On mnie wysłuchał, jemu ofiaruję życie moje do ostatniego tchnienia, jego chcę być oblubienicą!...

PO ŚWIĘTYCH ŚLADACH.

Barka zawinęła szczęśliwie do Alexandryi. Tutaj wsiadli podróżni nasi na statek odchodzący do Palestyny, który ich przewiózł do miasta portowego Tyrus, kiedyś sławnego handlem.

W drodze zapoznał się Marek z Pismem św. Nowy świat oczom jego się otworzył. Prawo Boskie, polegające na miłości bliźniego, rządziło narodem, a nie kaprys rządzącego.

Z Tyrusu podążył Izai z córką Rachelą natychmiast do Jerozolimy. Gorące pragnienie ujżenia Mesjasza przyspieszało kroki jego. Marek zaś postanowił zbadać naprzód kraj, poznać jego zwyczaje i obyczaje, jego ducha. Ale i tutaj widział wszędzie upadek. Czasy Mahabeuszów, bohaterów narodu żydowskiego, minęły dawno... Na tronie żydowskim zasiadł Heród, despota i tyran, uciemiężający naród z obawy, aby nie stracić tronu. Członków Synhedrionu^{*)}; teściową swoją, szwagra, a nawet własnych synów kazał pozabijać. Upadek narodu izraelskiego był zupełny i wołał o ratunek z nieba.

Najsmutniejszym było, że naród sam rozpadł się na partye religijne i polityczne. Bogaci żydzi, nie wierzący w życie przyszłe, nazywali się Sadduceuszami. Wiedli oni życie rozkoszne, o pozagrobowe się nie troszcząc, schlebiali rządowi, bo mieli z tego korzyści materyalne i dostojęństwa.

Drugą partyą byli Faryzeusze. W przeciwieństwie do Sadduceuszów wierzyli w życie wieczne, w złych i dobrych aniołów, w nagrodę i karę po śmierci. Należeli do nich ludzie uczeni, znakomici rodem, stąd wywie-

^{*)} Synhedrion: Zasiadająca rada. Była to rada stanowiąca najwyższą instancję religijną, prawodawczą, sądowniczą i naukową.

rali wpływ wielki i królowie i areykapłani z nimi liczyć się musieli. Trzymali się oni dosłownie Pisma świętego, w wykonywaniu tegoż byli drobiazgowi. W czasach, kiedy Chrystus Pan chodził po świecie, wpływ ich był potężny. Do nich to mówił Zbawiciel, widząc ich obłudną pobożność a pychę:

„Biada wam doktorowie i faryzeuszowie obłudnicy, iż dawacie dziesięciny z mięki i anyżu i z kminku, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: sąd i miłosierdzie i wiarę. To było trzeba działać, a owego nie opuszczać. Wodzowie ślepi, którzy przedczacie komara, a wielbłąda połykacie. Biada wam doktorowie i faryzeuszowie obłudnicy, iż oczyszczacie co jest zewnątrz kubka i misy, a wewnątrz pełni jesteście drapiestwa i plugastwa. Faryzeuszu ślepy, oczyść pierwszej co jest wewnątrz kubka i misy, aby co zewnątrz jest, czystem się stało. Biada wam doktorowie i faryzeuszowie obłudnicy, iż jesteście podobni grobom pobielanym, które z wierzchu zdadzą się piękne ludziom, ale wewnątrz są kości umarłych i wszelkiego plugastwa. Także i wy z wierzchu się wprawdzie zdacie ludziom sprawiedliwi; lecz wewnątrz pełni jesteście obłudności i nieprawości“.

Słowa te Chrystusowe charakteryzują dobitnie Faryzeuszów. Nabożność ich stała się przysłowiową. Dziś nazywamy faryzeuszami ludzi pozornie pobożnych, świętoszków, obłudników, którzy przy ładzie sposobności pobożność swą wysławiają, a pod płaszczykiem religii i praktyk powierzchownych osłaniają zepsucie obyczajów, rozpustę i niegodne intrygi.

Ale i wspomniani Faryzeuszowie oczekiwali Mesjasza z upragnieniem, nie z zamilowania prawdy i sprawiedliwości, lecz aby zrzucił jarzmo rzymskie, a władzę z nimi się dzielił.

Była jeszcze trzecia partya, składająca się z ludzi pobożnych. Mieszkali oni po miasteczkach i małych wsiach. Widzieli oni nędzę i upadek narodu; byli jed-

nakże za ubodzy i bez wpływu: oczekiwali z utęsknieniem Zbawiciela i o przyjście jego gorąco się modlili.

W owych czasach rozpowiadano o człowieku, który chodził po ziemi żydowskiej, błogosławił, uczył i cudy czynił, jakich nigdy przedtem nie widziano, a bił od niego dziwny blask, twarz piękna, łagodna, spokojna. O cudach czynionych rozpowiadano w całym kraju. Dowiedział się o nich także Markus. W Naim wskrzesił ów wielki prorok młodzieńca, w Kafarnaum córkę Jaira; wstali oni i chodzą po świetle.

— Któż mógł być ten człowiek? pytał sam siebie Markus. Podpadło mu, że nie szukał on przyjaźni możliwych i wielkich, ale zwrócił się ku biednym, chorym, nędzę cierpiącym. Tych karmił, przemawiał do nich łagodnie i błogosławił.

Błogosławieni ubodzy... cisi i pokornego serca, którzy płaczą... którzy łakną i pragną sprawiedliwości... miłosierni... czystego serca... pokój czyniący... którzy cierpią prześladowanie...

Im wszystkim zapowiedział niebo i nauczył najprzedniejszego przykazania: Będiesz miłował Pana Boga twego, z całego serca twego, z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich; a bliźniego twego jak siebie samego.

Markus słysząc to wszystko, zdumiał. To było, czego szukał: miłość, litość, miłosierdzie. Nauka taka musiała zwyciężyć, świat przeistoczyć: owa miłość, prawdziwie z nieba pochodzenie mająca.

Całą noc przemyślał Markus nad słowami Proroka, którego Mistrzem nazywano. Brzmiały one w uszach jego i zwiększały pragnienie ujrzenia go. Wszyscy, którzy go widzieli, kochali go, a słowa Jego dawały ukojenie w cierpieniach, budziły do nowego życia, jak wiosną promienie słoneczne.

Markus puścił się w ślad za Mistrzem, przybył do Kafarnaum, Kawy, Magdali, Tybru — a wszędzie cpo-

wiadano mu o niezwykłych cudach, których lud wszelki był świadkiem.

W Kafernaum wstąpił Markus do domu Korneliusza, pułkownika rzymskiego, który żył w Cezarei, a którego znał, gdy przebywał jeszcze w ojczyźnie.

Ucieszył się z odwiedzin Korneliusz*), wypytywał o znajomych, o krewną swą Priscylę, małkę Pudensa, która posiadała pałac w Rzymie. Na wszystkie pytania odpowiadał Markus, gdyż byli to jego dobrzy znajomi. Rozmowa zeszła na zwykły wówczas temat, na Mistrza. Korneliusz potwierdził prawdziwość tego, co już Markus słyszał; a był to człowiek pobożny, znany z miłosierdzia w okolicy całej. Pragnieniem jego było wrócić znowu kiedyś do kraju, do swoich.

Pod wieczór pożegnał Markus Korneliusza i puścił się w dalszą drogę.

Mijały dni i tygodnie; aż pewnego razu, wskutek nieszczęśliwego wypadku, trafiony od jakiegoś złoczyńcy kamieniem w głowę, upadł Markus i zemdlał. Było to niedaleko Betanii. Służba wzięła go na ręce i niosła ku wsi; przed wsią znajdowała się studnia, a dwie niewiasty czerpały z niej wodę. Już miały odejść z napełnionymi dzbanami, gdy ujrzały ów pochód ku wsi zmierzający. Obydwie pospieszyły naprzeciw, a widząc okaleczonego Markusa, pytały o przyczynę nieszczęścia i pomoc swą ofiarowały.

— W domu naszym jest pomieszczenia dosyć — rzekła jedna z niewiast do Rubiny. — Przyjmijcie gościnnosć naszą, a nie będzie wam zbywać na opiece. Służbę i muły odesłajcie do pobliskiej gospody.

*) Korneliusz otrzymał później Sakrament Chrztu św. z rąk św. Piotra: wprowadził on Apostoła w dom Pudensa, który następnie wraz z rodziną swoją, żoną i czworgiem dzieci, przyjął Chrztost św.

— Pokój wam! — odezwały się niewiasty, gdy złożono Markusa na posłaniu w czystym, miłym pokoju; a izbę przyległą, również jasną i wesołą wskazały Rubinie jako jej pokój czasu ich tutaj pobytu.

— Pokój wam! Nie lękaj się, o ojcu twoim będziemy miały staranie.

Słowa te oddziaływały na mimowolnych gości jak balsam leczący.

Niewiasty, które pomoc i gościnę Markusowi i Rubinie ofiarowały, były to dwie siostry, a imiona, ich: Marya i Marta. Miały one brata, ale tenże złożony był ciężką chorobą. Mimo to przesłał on przez usta Maryi podróżnym pozdrowienia. Marta tymczasem przyniosła świeżej wody, czyste bandaże i balsam. Opatrzywszy ranę Markusa, podała chłodne napoje i owoce.

Tydzień upłynął, jak nasi podróżni korzystali z gościnności obydwóch siostr. Markus przyszedł już do siebie i myślał o dalszej drodze. Takiej gościnności, poświęcenia, miłości Markus w życiu swoim nie widział. Przemyślał nad tem, skąd niewiasty te czerpały tyle dobroci, tyle siły, gdzie to źródło cnót tylu?

Wynagrodzić opieki, jaką go otaczały, nie był w stanie; wiedział o tem. Mimo to ofiarował Marcie drogi kamień na pamiątkę, lecz Marta go nie przyjęła.

— Jak to, panie — rzekła — chcesz nam płacić za gościnność? Czy nie widzisz, że wam służąc, mamy w ten przyjemność?

Markus stał zdumiony.

— Jesteśmy wam zupełnie obci, cudzoziemcy?...

Marta spojrzała na niego.

— Chyba nie wiesz, że słuchamy Mistrza, który, gdy w tę okolicę przyjdzie, zawsze dom nasz nawiedza. A ja z siostrą siadamy u stóp jego, a on nas uczy. Miłuj bliźniego twego, jak siebie samego. To słowa jego, a my tylko według nich żyć chcemy. Ot. to i wszystko.

Ten, który tak uczy, a naukę jego nawet słabe niewiasty w czyn obracają, musi być potężnym, potężniejszym niż Jowisz i Mars, mędrszym niż Soion.

Markus odwiedzał codziennie chorego Łazarza i widział z przerażeniem, jak życie z niego pomalu ulatywało. Widział zbliżającą się śmierć Łazarza, lecz ani słowo skargi z ust jego się nie wyrwało.

I pewnej nocy zgasło to życie. Markus usłyszał głos Maryi, lament jej, ale nie był to głos rozpacz, ale głos ufności, wiary w potęgę Boską. Słyszał, jak głosem czystym, choć przerywanym łkaniem mówiła:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie... święć się Imię Twoje... przyjdź królestwo Twoje... bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi...

Głos jej się urwał, słysząc było ciche łkanie. Markus wstał i poszedł do łóża zmarłego, którego twarz pokryła się śmiertelną bledością, członki zeszywniały, uśnał snem wiecznym. U łóża klęczały obydwie siostry i płakały. Wzruszony do głębi, i Markus upadł na kolana. Śmierć dla Rzymianina była czymś strasliwym, a tu widział obraz zupełnie inny, spokój, wyzwolenie z więzów doczesnych.

— Nie narzekajmy — odezwała się pierwsza Marya, która była duchem silniejsza — lecz módlmy się za brata naszego i zaczęła znowu odmawiać modlitwę Pańską: Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

I Marta powtarzała półgłosem modlitwę tę za siostrą.

Zdawało się, że anioł pokoju zstąpił do komnaty i spoczął pośród nich.

— Kto was nauczył tej dziwnej modlitwy? — zapytał Markus.

— Mistrz nasz! — odrzekła Marya.

Po obmyciu ciała i odprawieniu rytuałem przepisanych modłów, złożono zmarłego w grobie, wykutym w skałę i zamknięto płytą kamienną.

Dnia piątego rozniosła się nagle wieść po wiosce, że Mistrz się zbliża. Wieść tę podawano sobie z ust do ust, usłyszał ją także Markus. Wyszedł on z Rubiną przed dom i widział, jak gromady narodu wyprzedzały Mistrza i spieszyły do grobu Łazarza. Tam stanęli w wielkiem półkolu. Gdy Markus z Rubiną się zbliżył, ustąpili mu miejsca. Mistrz w długiej szacie stał w pośrodku dwóch płaczących niewiast. Były to obydwie siostry: Marya i Marta. Podeszły w łeciech mężczyzna tracił Markusa, a wskazując palcem Mistrza, rzekł po cichu:

— To jest Jezus z Nazaretu, prorok.

I usłyszał Markus głos Jezusa:

— Odwalcie kamień!

Wtedy rzekła Marta:

— Panie, już tu leży czwarty dzień.

Kamień odwalono i podniósł Jezus ręce w górę, oczy wzniósł w niebo i rzekł:

— Ojcze, dziękuję tobie, iżśś mnie wysłuchał... A zbliżywszy się jeszcze do grobu, z którego zaduch się wydobywał, zawołał:

— Łazarzu, wynijdź z grobu!

Wszystkich oczy zwrócone były na grób, w pierśiach obecnych oddech ustał. I oto, który był umarły, wyszedł z grobu. U wejścia stanął i wszyscy mogli go widzieć. Ręce i nogi owinięte były płótnem, twarz zasłonięta białą chustą.

— Rozwiążcie go i puście, aby szedł — rozkazał Jezus.

Uczyniono, jako Pan rozkazał, a Łazarz rozszerzył ramiona:

— Pan mój! — zawołał.

Obydwie siostry przypadły do nóg brata, nie śmiejąc się do niego odezwać.

— Jam nie duch — rzekł — patrzcie i oglądajcie, że żyję. Pan rozkazał duszy mojej wrócić do ciała. O Panie, o dobry mój Panie!

Lazarz upadł do nóg Jezusa, a Jezus podniósł go i siedł z nim i siostrami do wsi.

W pewnem oddaleniu postępowała za nimi gromada. Markus zapytywał sam siebie: Któż ten człowiek, co nawet śmiereń rozkazuje? Dręszcz przeszedł po ciele jego. Było to jakoby tchnienie ducha Bożego. Czuł jakąś siłę, która go przestaczała, pchała na inne drogi, czuł wkoło siebie jakąś świętość, której zrazu zrozumieć nie mógł.

Widował odtąd codziennie Lazarza. Był to człowiek żyjący, rozmawiał z nim, ścisnął rękę jego. Twarz tylko była blada, był poważny, powściągliwy, jak człowiek, któremu dano widzieć początek i koniec wszechrzeczy.

Markus, wyleczywszy się z rany zupełnie, ruszył w dalszą drogę, goniąc za światłem i prawdą. Trudno było mu się rozstać z domem, w którym zaznał tyle przyjaźni i miłości bliźniego.

— Wróć do nas jak najrychlej — prosiły obydwie siostry, żegnając Rubinę — a wtenczas będziemy pewnie, że podobało ci się u nas.

Rubina objęła Maryę za szyję.

— Nigdy cię nie zapomnę, Maryo — mówiła rozrzewniona. — Będę myślała o tobie i będę cię naśladowała. Tyś tak pobożna, cicha, czysta, dobra. Chciałabym być taką, jak ty. Ale jak mam to czynić?

— Nie musisz mnie chwalić — odrzekła zarumieniona Marya. — W naturze jest ludzkiej, że każdy chce być dobrym. Chcesz jednak dążyć do doskonałości, to chowaj przykazania Mistrza... jam cię ich nauczyła, a ty ich już nie zapomnisz, jestem tego pewna. Bądź zdrowa, Rubino, Bóg z tobą.

Poszli. Rubina stała się zamyśloną, już nie wspominała Witeliusza, stała się obojętną na wszystko, co ją otaczało; świat jakoby nie istniał dla niej. Żyła odtąd życiem duchowem. Gdy ją smutek ogarniał, modliła

się do modlitwy, której ją nauczyla Marya: „Ojciec nasz”... i doznawała pociechy.

I Marek się zmienił. Szedł dalej skupiony w duchu. Widział własnymi oczami człowieka, którego lud nazywał prorokiem, mistrzem, widział cudy, które czynił... lecz byłże to Bóg, którego szukał? — Wyobrażał go sobie inaczej. Bóg w jego mniemaniu mógł być tylko pan, zasiadający na stolicy, z wielką władzą, przed którym świat cały drzeć powinien. A ten Jezus był tylko synem ubogiego cieśli! Zapragnął być świadkiem dalszych jego czynów, słyszeć naukę z własnych ust Jego. Nie zwlekając więc, zwrócił kroki swe ku Jerozolimie, — tam Go pewnie odnajdzie.

ŚWIĘTA DROGA.

Nieliczone rzesze ludu zdążyły do Jerozolimy, bo zbliżały się święta wielkanocne. Im więcej ku Jerozolimie podróżni nasi się zbliżali, tem większą widzieli ciżbę. Wstąpiwszy na pagórek, ujrzeli miasto w całym jego przepychu; świątynię z jej wspaniałemi kolumnami, a między niemi przechadzających się kapłanów. Miasto przybrało strój odświętny, oczekując przyścia króla i pana. Rzesza ludu coraz wzrastała i płynęła zbitą masą w ulice Jerozolimy. Prąd ten porwał także Markusa i córkę jego, którzy się za ręce chwycić musieli, aby ich nie rozłączono. Stanęli oni na wysokich stopniach, wiodących do wspaniałego gmachu, skąd mogli przejrzeć całą ulicę.

Mężczyźni i kobiety wybiegali z domów, wydawali radosne okrzyki i powiewali chustami. Tłumy tłoczące się przez bramę do miasta, wołały: „Mesjasz idzie! Zbawiciel! Król izraelski!”

A tysiączne głosy okrzyk ten powtarzają

Gromady dzieci niosły gałazki palmowe, wiewały niemi i wołały: „Hosanna Synowi Dawidowemu, błogosławiony, który idzie król w imię Pańskie: Hosanna na wysokościach!”

Nagle ucichło wszystko. W bramie ukazał się ten, którego oczekiwano. Długi płaszcz spływał z ramion jego, rękę miał podniesioną jak do błogosławieństwa, a z twarzy jego biło światło słońca.

Dzieci znowu zaintonowały: „Hosanna Synowi Dawidowemu!” a rzesze okrzyk ten powtórzyły. Zdejmowano zwierzchnie szaty i kładziono je na drogę i wołano: „Hosanna Synowi Dawidowemu!”

Był to pochód tryumfalny, jaki zgotował Mistrzowi lud, całym sercem go kochający.

Gdy przeszły ostatnie rzesze, zabrał Markus Rubinę i udał się z nią do starosty rzymskiego, Poncyusza Pilata.

Przyjął ich Pilat uprzejmie, ale z niedowierzaniem; posądzał bowiem, że byli umyślnie wysłani dla śledzenia czynów jego. Żył on w nienawiści z Herodem. Obydwaj zazdrośni współzawodnicy wiedli życie rozkoszne, urządzając ucztę prawdziwie ze wschodnim przepychem.

Miał Pilat żonę, Klaudyę Prokulę, którą dla innych miłośnic zaniedbywał. Klaudya Prokula była kobietą piękną, wyniosłą, Rzymianką z domu arystokratycznego. Bolała ją niewierność męża; nikomu się jednak nie żaliła. Wśród otaczającego dwór przepychu czuła się nieszczęśliwą. Zamknęła się więc w swoich komnatach, unikając zetknięcia się ze światem.

Gdy się dowiedziała o przybyciu Markusa i Rubiny, kazała ich do siebie wołać. Radość jej była wielka, gdy ich ujrzała. Z nimi mogła mówić otwarcie, bo byli jej przyjaciółmi i dalecy krewni.

Markus opowiedział jej, że porzucił bogów i szedł szukać Boga prawdziwego. Przyznała się Klaudya Prokula, że i ona w bogów pogańskich nie wierzy, ale

uznał Mistrza, który błogosławiąc, idzie przez ziemię judzką. Widziała ona cud sprawiony na jawno-grzesznicy, Maryi z Magdali, dzisiaj u niej mieszkającej i szczerze z nią zaprzyjaźnionej. Położył Mistrz rękę na głowę jej i uleczył z grzechu.

W kilka dni później wpadła do mieszkania Marya z płaczem wielkim, wołając:

— Pojmali Mistrza naszego i chcą go zabić! Klaudyo, spiesz do męża twego, aby go ratować.

Klaudya Prokula, owa dumna Rzymianka, poszła do męża, upadła mu do nóg i błagała, by pojmanego Mistrza z więzienia uwolnić.

Lecz Pilat obawiał się gniewu tłumu, przez kapłanów podburzonego, i wydał go w ręce ich.

Dnia następnego otoczyły pałac niezliczone rzesze ludu wołającego: Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go!

Markus oburzony był wielce na niesprawiedliwość i zmienność ludu, który przed pięciu zaledwie dniami z tryumfem wprowadzał go do miasta, a dzisiaj wołał zajadle: Ukrzyżuj go!

Równocześnie powstały w duszy jego wątpliwości: „Jeżeli Jezus z Nazaretu jest prawdziwie Bogiem, to nie pozwoli przybić się do krzyża, ale zgniecie nieprzyjacioly swoje. Jeżeli go przybiją i umrze, okaże swoją niemoc.“

Włożyli ciężki krzyż na zbolale ramiona Jezusa i prowadzili wśród szyderskich okrzyków motłochu, bicia, plwania, popychania, złorzeczenia, urągania — najświętszego, najniewinniejszego z ludzi.

Na głowie miał wtłoczoną koronę cierniową; krew zmieszana z płwocinami żołdactwa, spływała po twarzy świętej. Przez biodra przepasany był sznurem, którym szarpano, gdy pod ciężarem krzyża ustawał. Pędzono tak Zbawiciela przez ulice miasta na górę, zwaną Golgota.

Padaly razy bezustannie, a twarz Jezusa wyrażała łobroć, miłość dla swych katów.

Na skrócie ulicy stała gromada niewiast płaczących, a były między niemi Klaudya Prokula i Marya. Zbliżyły się one do Jezusa i upadły na kolana, który gdy zobaczył ich łzy, rzekł:

„Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi.“

Słyszał słowa te wypowiedziane ze spokojem i powagą Markus i wnikły do serca jego, jak głos z nieba pochodzący. W tej chwili spostrzegł, jak Jezus się zachwiał i upadł. Twarz jego krwią i potem złana, usta spieczone, a z piersi wyrwał się jęk boleści. Przez tłum przedarła się jakaś niewiasta, miała ona w ręku białą chustę. Litością zdjęta, przyłożyła chłodne płótno na twarz Jezusową, aby zetrzeć z niej pot i krew.

Wzrokiem pełnym łaskawości spojrział na nią Jezus, rozjaśniło się w duszy niewiasty, jak gdyby niebo się przed nią otworzyło.

— Panie, o Panie! — zawołała i padła na kolana, wyciągając ręce ku niemu.

Uśmiechem pełnym słodczy nagroził jej Jezus litość.

Porwali go żołnierze, popchnęli, pochód posunął się dalej.

Markus zakrył twarz płaszczem, upadł na kamień i płakał gorzko.

Już pochód minął, a niewiasta wciąż jeszcze kłęczała i wpatrywała się w chustkę, którą trzymała rozpostartą w rękach. Łzy spływały po jagodach jej, a usta szeptały: Pan mój, Mistrz mój!

Zdziwiony zachowaniem się niewiasty Markus, zbliżył się do niej, spojrział na chustę, również upadł na kolana i zawołał głosem urywanym:

— Cud! Cud się stał!

Na chuście znajdował się wizerunek Zbawiciela. Na głowie cierniowa korona, usta na wpół otwarte, w wzroku morze boleści, ale i nieskończonego miłosierdzia; po bladym czole spływały, krople krwi.

Nigdy Markus takiej twarzy, tyle boskości nie widział; uczuł, że w tej chwili w gruzy się obalą wszystkie bożyszcza i świątynie pogańskie Rzymu; a na ich rumowiskach zajaśnieje ta twarz boska, z której usta słowa miłości po wszystkie wieki płynąć będą.

Przyłożył Markus usta do chusty i ucałował ją, a wewnętrzny głos mu mówił:

— To wizerunek Boga twego; upadnij na kolana i pokłon mu oddaj.

Ukląkł starzec, schylił głowę, a usta jego zaczęły szeptać słowa modlitwy, którą słyszał w domu Łazarza: Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Niewiasta tymczasem wstała i zginęła w ulicach miasta.

Markus natomiast poszedł w ślad drogi Chrystusa, drogi krzyżowej — na Gólgotę.

GOLGOTA.

Słońce opromieniało pogodnym światłem wzgórze, na którym miano dopełnić zbrodni, jakiej większej świat przedtem nie widział, ani kiedykolwiek widzieć będzie.

Zaległy górę tłumy rozbestwionego narodu, nieustającego w okrzykach: ukrzyżujcie go!

Widział Markus kiedyś w cyrku rzymskim, jak przybito do krzyża niewolnika i jak się Rzymianie radowali. Ze wstrętem opuścił cyrk i już więcej do cyrku nie poszedł. Rzesza, wiodąca Jezusa na Gólgotę, przewyższyła tamtych dzikością, zjadłością. Ten, którego na górę wiedli, był sprawiedliwością samą, dobrocią nieskończoną. Przed pochodem postępował żołnierz, niosący tablicę, na której widniał napis:

**Jezus Nazarenus Rex
Judaeorum.¹⁾**

Gdy Markus przybył na miejsce stracenia, usłyszał uderzenia rulotem, a niedługo potem ujrzał podnoszący się w górę krzyż, a na nim rozpiętego Jezusa z cierniową koroną na głowie. Ciało jego nagie, pokryte ranami, przez biodra chustą przewiązane. Tak zawisł Bóg wśród nieba a ziemi, z rozpiętymi ramionami. Po bokach jego ustawiono krzyże z dwoma zbrodniarzami.

Przed krzyżem rozsiedli się żołnierze i rzucali kości o suknie Zbawiciela. Żydzi przechodzili gromadami, wygrażali pięściami, szydzili i złorzeczyli:

— Zstąp z krzyża, jeśliś jest Syn Boży! — odezwał się szyderczo jeden z kapłanów, a jakiś Faryzeusz dodał, śmiejąc się:

— Innych zachował, sam siebie zachować nie może.

Przystępowali inni i w podobny sposób urągali. Od razu nastała cisza. Jezus otworzył usta i rzekł głosem wielkim:

— Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią.

Markus usłyszawszy te słowa, upadł na twarz. Czy słyszał kto kiedykolwiek, aby człowiek umierający z rąk nieprzyjaciół, za nich się modlił? Uczył Jezus miłości, i naukę swoją śmiercią przypieczętował.

Przedarł się Markus bliżej krzyża; pragnął spojrzeć w tę twarz świętą. Zbliżywszy się, rozpostarł ramiona i zawołał głosem, łzami przerywanym:

— Panie, Panie, cóż Ci uczynili?

I spojrział Jezus na niego okiem łaskawem, a było to spojrzenie jak promień słoneczny, rozświetlający pomrok duszy.

Jakaś radość wstrząsnęła jego duszą, a głos wewnętrzny odezwał się w nim: jestem zbawiony, znalazłem

¹⁾ Jezus Nazareński, król żydowski.

prawdę, a tą prawdą jesteś Ty, Panie! Zrozumiał teraz konieczność tej wielkiej ofiary: umarł Jezus na krzyżu, aby ludzkość z grzechu wyzwolić i uczynić szczęśliwą. Była to ofiara dobrowolna, ofiara największa, najświętsza — boska.

Umarł Jezus na krzyżu. Gdy walczył ze śmiercią, okazała się Boskość jego. On, król nieba i ziemi, stwórciel wszystkiego świata, umarł nie jak każdy zwykły człowiek, ale w straszliwym majestacie, w którym pokazał, że wszystko w ręku jego.

Słońce stało wysoko na niebie i świeciło jasnymi promieniami; niebo było pogodne, ani chmurka nie zaciemniała jego błękitu. Zbliżyła się chwila walki ze śmiercią. Zaciemniło się nagle słońce, jak gdyby okryło się czarną zasłoną, aby nie widzieć strasznego dramatu, jaki się w tej chwili spełniał. I stała się ciemność na ziemi i po całym świecie.

— Spełniło się! — odezwał się Jezus z krzyża. — Ojciec w ręce Twoje polecam ducha mego!

Głowa Chrystusa schyliła się na piersi, Jezus Nazareński, król żydowski, oddał ducha swego.

W tej samej chwili ziemia zadrżała, zerwał się wicher, grzmot podziemny zmieszał się z grzmotem piorunów przeblyskujących po niebie; drzewa się chwiały, liście czerniały i opadały na ziemię. Natura cała odezwała się jękiem bóleści.

Mieszkańcy Jerozolimy bili się w piersi i uchodzili strwożeni do miasta. Kapłani ukryli się w świątyni. Ale niedługo wybiegli z twarzami śmiertelnie bladymi, wołając: Biada nam, biada! Zasłona w świątyni rozdarła się na dwie połowy od góry do dołu!

W pałacach Rzymian pospadały z ołtarzów posągi bogów i potłukły się.

Placz i narzekanie napelniały ulice miasta.

Skąły pękły, groby się otwierały i umarli z grobów powstałi i chodzili między żyjącymi. Cały szereg spra-

wiedliwych, proroków, arcykapłanów, od Zacharyasza począwszy, a skończywszy na Jeremiaszu, który przepowiedział zemstę Boga sprawiedliwego, przechodził ulicami.

A tam na górze Golgocie pozostał Syn Boży, zawieszony między niebem a ziemią, a z nim gromadka wiernych i straż.

A setnik, mający nadzór nad strażą, będący świadkiem wszystkiego, co się stało, zawołał, przekonany o Boskości Jezusa:

— Zaisie, Ten jest Synem Bożym!

Wszelka wątpliwość znikła w sercu Markusa, zbliżył się do krzyża, który obejmowała rękoma Maryja z Magdali, i rzekł:

— Jezu Nazarejski, i ja chcę być uczniem Twoim.

I pozostał z niewiastami i gromadką wiernych na straży najświętszego ciała.

Trzy dni leżał Jezus w grobie. A potem rozeszła się wieść: Jezus zmartwychwstał!

Grob znalazł pusty. Ukazał się Jezus Maryi Magdalenie i rzekł jej: Idź do braci mojej, a powiedz im: Wstępuję do Ojca mojego i Ojca waszego; Boga mojego i Boga waszego.

Radość wśród gromady wiernych na wiadomość tę była wielka. Zrozumieli wszyscy, że Jezus był królem, nie jak każdy inny król tego świata, ale królestwo Jego, to królestwo duchowe. Zbliżała się wielka chwila: królestwa Bożego na ziemi!

W pośrodku pogaństwa i fanatyzmu żydowskiego zaczęła nauka Chrystusowa się krzewić i coraz więcej zdobywała zwolenników.

Markus, znalazłszy Boga prawdziwego, postanowił wrócić do Rzymu i stawić się przed cezara, aby mu opowiedzieć, co widział i słyszał. Ale nie chciał wracać bez świętego wizerunku. Wizerunek ten miał Tyberjusza

przekonać, że Jezus jest Bogiem prawdziwym. Począł więc szukać kobiety, która była w posiadaniu świętego wizerunku,

PERŁA JUDEI.

U wschodniego muru Jerozolimy w pośród przelicznych ogrodów znajdował się wspaniały dom Izai. Zamieszkał on tu z córką swoją, Rachelą, którą, dla jej piękności nazwano „Perłą Judei“.

Izai przesiadywał zwykle w świątyni i starał się, przytaczając ustępy z Pisma św., przekonać kapłanów, że Jezus był Mesyaszem. Zawziętość jednak zaciemniała rozum ich. Nienawidzili oni zwolenników nowej nauki i przemysłiwali, jakby się zemścić na Rabi Izai.

Rachela pozostała w domu. Usposobienie jej było więcej światowe, niż Rubiny; lubiła stroje, drogie kamienie i perły, które wdzięki jej jeszcze podnosiły. Zakochała się ona w młodym, przystojnym pułkowniku rzymskim, Sextusie, który również miłością ku niej zapalał.

I dzisiaj ubrała się w kostyum malowniczy, na ramionach, szyi i rękach polyskiwały precudne klejnoty. Wzięła harfę do ręki i śpiewała pieśni smętne rozplakanej duszy.

Oczekiwała Sextusa, lecz Sextus nie przybywał. Choć usposobienie jej więcej było światowe, przecież i w jej sercu kielkować zaczęło ziarno nowej nauki. Gdy ojciec jej wracał wieczorem do domu, klękała przy jego boku i modliła się do Boga prawdziwego.

Już słońce zaszło i na niebie wypłynął miesiąc jasny, a promienie jego przebijały przez okna komnat i oświetlały piękną główkę Racheli. Stała ona w oknie i wpatrywała się w nocną ciszę. Jeszcze raz wzięła harfę do ręki i zaśpiewała pieśń miłosną. Ucichła i żaden

głos ciszy nocnej nie zamącił. Sextus, mimo że przyrzekł, nie przybył; także ojciec nie wracał. Mijała godzina za godziną, strach ją ogarnął; zarzuciła płaszcz na ramiona swoje i wybiegła z domu. Zwróciła kroki swoje ku świątyni, gdzie spodziewała się zastać ojca i gdzie nieraz Sextusa spotykała. Na stopniach, wiodących do głównej bramy, stał starzec i przemawiał do tłumów bramę oblegających. Jedni słuchali go uważnie, inni wygrażali pięściami i krzyczeli:

— Precz z nim! To zwolennik Nazareńczyka! Ukamienować go!

I zaczęły sypać się na niego kamienie. Uderzony w skroń, zachwiał się i upadł na ziemię. Rozwścieklony motłoch rzucił się na niego i okładał pięściami.

Rachel poznała w upadającym starcu ojca swego. Przedarła się przez tłum; objęła rękoma szyję jego, pokrywając sobą ciało jego od dalszych razów.

— Ojciec mój! — zawołała, ocierając krew z twarzy jego.

— Toś ty, córko moja? — odezwał się Izai głosem słabym. — Rachelo, dziecko moje, koniec mój się zbliża. Umieram — dla Pana niego!

A zebrawszy ostatek sił, zawołał:

— Słuchaj, Jerozolimo, i zadrżij: Jezus Nazareński jest Mesyaszem i prawdziwym wszechmocnym Bogiem!

Rachela zerwała się z rozpaczą i starała się odepchnąć barbarzyńców.

— Niegodziwcy! — wołała. — Cóż wam uczynił ojciec mój, iżście go zamordowali?

— Zabić ją! — odezwał się tłum. — I ona zwolenniczka Nazareńczyka. Zabić ją.

I rzucili się ku niej. Wśród nocy nie spostrzeżono, jak zbliżył się niewielki oddział żołnierzy rzymskich. Podniosły się miecze w górę, błysnęły w świetle księżyca i spadły na karki motłochu. Powstały jęki i krzyki roz-

paczliwe. Tłum zaczął się rozpierzchać. Znowu błysnęły miecze, znowu krew się polała.

Wtem dał się słyszeć krzyk przerażający.

— Sextus, Sextus!

Był to głos Racheli. Miecz kochanka zadał jej cios śmiertelny.

— Sextusie, mój Sextusiel...

Z wybladłem z przerażenia obliczem wpatrzył się Sextus w twarz Racheli.

— Tyś tutaj?!... O tej porze?!...

Pochwycił ją w ramiona swoje i zobaczył kosztowny strój jej.

— Oczekiwałam ciebie... a gdyś nie przychodził...

— Miałem służbę...

— Poszłam szukać ciebie. Znalazłam ojca i stanęłam w obronie... i przyszedłeś ty... i miecz twój... przebił pierś moją...

Kurczowo chwyciła Sextusa dokoła szyi.

— Trzymaj mnie... umieram... o ojcie mój!... Sextusie mój!

Sextus rozkazał żołnierzom zanieść ojca, który jeszcze dawał znaki życia, do domu; sam zaś wziął Rachelę na ręce swoje i postępował na przódzie smutnego pochodu.

Ułożył ją w komnacie, gdzie go oczekiwała. Kwiatami świeżemi ją przystroił i pozostał aż do rana.

Izai, odzyskawszy na chwilę przytomność, zapisał cały swój majątek ubogim miasta, poczem umarł śmiercią sprawiedliwego.

Klaudya Prokula i Rubina zajęły się pogrzebem Izai i Racheli.

WERONIKA.

Tygodnie upływały, a Markus nie ustawał w staraniach odszukania niewiasty.

Pewnego razu wyszedł w dolinę, gdzie pasterze pasli owce. Gdy go spostrzegli, pozdrowili go uprzejmie i prosili, by odpoczął pod ich szalasem. W toku rozmowy dowiedział się, że byli zwolennikami nowej nauki i wierzyli w Jezusa Chrystusa. Podziwiał Markus wpływ nauki Chrystusowej. Ludzie prości, rubaszni, stali się uprzejmymi, pokornymi, usługnymi. W toku rozmowy spostrzegł Markus kobietę, wychodzącą z pobliskiej chaty. Od razu poznał w niej niewiastę, która chustą twarz Chrystusa otarła. Wstał i podszedł ku niej. I ona go poznała. Na zapytanie, czy posiada jeszcze ową chustę, odpowiedziała potakująco i wprowadziła go do chaty. Pasterze poszli za nimi. Wszyscy poklékli i zaczęli się modlić, a ona wyjęła chustę, na której był wyraźny wizerunek Zbawiciela i pokazała im.

— Pan mój! Bóg mój! — odezwał się Markus głosem drżącym od wzruszenia.

Dnia drugiego udało się Markusowi przekonać Weronikę — tak ją tu nazywano — że spełni świąty obowiązek, gdy wybierze się z nim do Rzymu, aby pokazać wizerunek cesarzowi. Gdy już Weronika zdecydowała się wyjechać, niedługo z wyjazdem zwlekano.

Wybrali się w drogę Markus, Rubina, Weronika w towarzystwie blizkiego krewnego.

Po kilku tygodniach podróży wstąpił na ziemię włoską, skromnie, po cichu Bóg — tu nieznany, a prawdziwy. *

* * *

Tyberyusz siedział na swej odludnej wyspie Kaprei. Mimo podeszłego wieku oddawał się bez umiarkowania wyuzdanej, obmierzłej rozpuście, stał się jeszcze więcej posępnym, jeszcze więcej podejrzliwym i okrutnym. Był to człowiek chory na ciele i na duszy. Dreczony wyrzutami sumienia, nie znał chwili spokoju; chodził

jak oszalały po wspaniałych komnatach, wzdychał, jęczał, przeklinał i złorzeczył.

Nie mu ulgi nie sprawiało. Zapragnął poznać nowego Boga, wysłał posłańców, aby szukali Markusa, lecz wrócili, nie spełniwszy rozkazu.

Pewnego dnia zawinął statek w Neapolis, na którym przybyli Markus, Rubina i Weronika. Zawiadomił Markus o przybyciu swemu cesarza. Nie mogąc pohamować niecierpliwości, wypłynął Tyberyusz na barce, purpurą wyłożonej, błyszczącej złotem, Markusowi naprzeciw. A nikomu nie było wolno do barki się zbliżyć.

Wioślarze, służba, niewolnicy — wszyscy ukryci byli za rozpiętymi, purpurowymi kotarami. Z pod pokładu dobywały się smętne tony muzyki. Na stole ustawione było mleko mrożone i świeże owoce, jedyne obecnie pożywienie cesarza.

Na brzegu ustawiono na prędce wspaniały namiot; a na czubku jego powiewała purpurowa bandera cesarska. Tutaj spoczął cesarz i oczekiwał Markusa, mającego mu pokazać Boga prawdziwego.

Na drodze ukazała się gromadka naszych znajomych, idących pieszo ku namiotowi. Pułkownik, pełniący straż przy boku cesarza, zawiadomił go o przybyciu oczekiwanych podróżników.

Cesarz powstał z miejsca, otulił się w płaszcz.

— Nareszcie przychodzi — rzekł sam do siebie: — ów nowy Bóg. Spójrzmy sobie w oczy! Przekonam się, czy jest to rzeczywiście Bóg, posiadający władzę większą, niż królowie.

Wychudłemi rękoma szarpał kurczowo złoty sznur u szaty swojej i niespokojnemi oczyma szukał oblicza tego, którego oczekiwał.

Wszedł Markus, a obok niego niewiasta, trzymająca w rękach rozpostartą chustę. A cesarz spojrzał w oblicze Chrystusowe, pełne miłości, spokoju, dobroci, miłosierdzia, patrzył długo... długo...

Dreszcz przeszedł po ciele cesarza. Owe oczy, spoglądające z płótna na niego, to oczy Boskie, ale i sprawiedliwego sędziego. Wszystkie zbrodnie, które w życiu swoim popełnił, stały mu jako groźne widma przed oczyma.

Wzrok Chrystusowy ukazywał miłość, pokorę, darowanie win, znoszenie cierpliwe przeciwności, wyrzeczenie się rozkoszy ziemskich. Nie było to po myśli cesarza. Zaciśnął pięści, podniósł się gwałtownie i chciał w wizerunek Chrystusa uderzyć; lecz, jakby rażony siłą nadziemską, upadł z powrotem na krzesło.

Chrystus zwyciężył!

Szyderczy uśmiech przebiegł po twarzy cesarza.

— Markusie! — zawołał — głupi jesteś! Temu wizerunkowi miałbym się pokłonić? Przenigdy! Idź precz z oczu moich, idź w świat i szukaj Boga prawdziwego. — Ten nim nie jest!

Markus przystąpił bliżej do cesarza.

— Tyberyuszu — rzekł — ten ci jest Bóg prawdziwy. Po drżeniu rąk twoich i głosie twoim widzę, iżę go poznał. Od czasu, gdy Jezus spojrział z krzyża na mnie, dana mi jest łaska przejrzenia dusz ludzkich. Ty wiesz, że Ten jest Bóg prawdziwy, ale nie chcesz go uznać. Tyberyuszu, wiesz, jak jestem ci wierny i kłamać nie umiem. Każ mię męczyć, każ uśmiercić, a jeszcze w ostatniej chwili wołać będą: Jezus Chrystus — Bóg prawdziwy!

Tyberyusz odwrócił się i zasłonił twarz płaszczem.

— Idź! — rzekł głosem stłumionym — idź, dokąd chcesz, krzywdy ci żadnej nie uczynię, ale weź ten obraz, weź go precz, patrzeć na niego nie mogę!... Przyjdź, gdy cię wołać będę, bo dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek potrzeba mi przyjaciela.

Z bólem w sercu opuścił Markus z Weroniką namiot cesarski i udał się do Rzymu, aby tam nawracać i szerzyć wiarę w Boga prawdziwego.

KONIEC TYRANA.

Tyberyusz wciąż jeszcze przesiadywał na swej wyspie. Szał ogarnął go zupełny. We wszystkich widział nieprzyjaciół swoich, czyhających na życie jego.

Szał ten opanował go jeszcze więcej, gdy się przekonał, że Sejanus, przyjaciel jego, zapragnął go stracić z tronu i sam go pościć. Kazał go zamordować i od tego czasu w mordowaniu szukał jakoby uspokojenia dla swych starganych nerwów. Zbrodniarz żył zbrodnią. Kazał mordować dzieci dziewięcioletnie, przyjaciół, znajomych i nieznajomych, starców i młodzież. Wyrok śmierci zapadał, gdy kto z krewnych w bólu nad zamordowanym żał okazał.

Nikt nie był pewnym życia swego, ale w cichości gotowano zemstę.

Dnia pewnego przybił statek do wybrzeży neapolitańskich; wysiadło z niego trzech ludzi, ubranych jak kupcy. Jeden z nich był Witeliusz, dawniejszy pułkownik straży przybocznej cesarza. Po długich katuszach, przebytych w kopalniach Sardynii, udało mu się zbiedz — i wrócił, aby pomścić krzywdę mu uczynioną.

Zamieszkali oni w nieznaczej gospodzie i wywiadywali się o sposobie życia cesarza. Wszystko szło po ich myśli. Cesarz był znienawidzony, w zbrodniach nie ustawał; każdy pragnął śmierci jego.

Dnia trzeciego zabrał Witeliusz jednego z towarzyszy i wybrał się na wyspę Kapręę. Nie znalazł jednak hasła, bez którego nie wpuszczonoby go na wyspę. Zażądał więc widzenia się z prefektem, oświadczając, że ma mu ważną tajemnicę do zakomunikowania. Powiedziano mu, że prefekt mieszka w Misenum i jest przy osobie cesarza. Prefekt nazywał się Makro i był wiernym cesarzowi. W Misenum znajdował się wspaniały pałac, w którym obecnie Tyberyusz przebywał. W tej chwili siedział przy wieczerzy, która zwykle przeciągała się do późnej nocy, a kończyła się wyuzdanymi orgiami.

Makro wyszedł naprzeciwko przybyłym. Witeliusz poklonił mu się i rzekł:

— Nie patrz na suknie nasze, ale spojrzysz w oczy nam i powiedz, czy nas poznajesz?

— Czego żądacie?—zapytał szorstkim tonem prefekt. Witeliusz zbliżył się do niego.

— Jestem Witeliusz; sądząc, że powinienes mnie znać, gdyż byłem pułkownikiem w twojej straży. Makro cofnął się przerażony.

— Witeliusz? Skazany byłeś do kopalń sardyńskich — a stamtąd nikt nie wraca.

— Uciekłem, aby się pomścić. Uspokój się Makro, wysłuchaj mnie cierpliwie do końca. Wycierpieliśmy wiele, lata całe przebyliśmy pod ziemią, słońca nie widząc.

— Cóż mnie to obchodzi? Każę was okuć w kajdany i odeśle na Sardinie.

— Tego nie uczynisz. Słuchaj, miałeś brata, piękny był młodzian, a kochałeś go nad życie.

— Kwintus! — zawołał Makro. Tak, kochałem go bardzo! Czy masz wieść o nim? Pewnego dnia opuścił Rzym i już więcej nie wrócił.

— Cesarz kazał mu wylupać oko i wysłał do Sardynii.

— Kłamiesz! Nie może być!

— To obejrzyj sobie tego człowieka. — Witeliusz przyciągnął bliżej swego towarzysza. Światło księżycowe padło na bladą twarz jego; w miejscu, gdzie było oko, znajdowała się czerwona, krwią zalana rana.

— Makro! — odezwał się towarzysz. — Nie poznajesz mnie!

— Na wszystkich bogów — zawołał Makro, poznawszy głos brata — to ty, Kwintus? Tyś skazany do kopalń?... Za co?!...

— Miałem to nieszczeście, iżem się uśmiechnął, gdy senatorzy leżeli na brzuchach przed cezarem. Spostrzegł cesarz mój uśmiech.

— Czyś zawsze tak wesół? — zapytał się Dobro-
tusznie. Na zapytanie to uśmiechnąłem się znowu, on
skinął mi przyjaźnie głową. W nocy napadli mnie nie-
wolnicy jego, skrepowali, wykluli oko i zawieźli do ko-
palń sardyńskich.

— O niegodziwiec! — zawołał Makro. — Okłamał
mnie bezczelnie! Śmierć mu!

— Wstrzymaj się! — rzekł Witeliusz — miecz za
szlachetna broń na tego potwora. Uduśzę go własnymi
rękoma.

— Chodźcie — rzekł ponuro Makro — wyrok wy-
konamy.

Weszli do willi jasno oświetlonej. Niewolnicy chy-
lili się do stóp prefekta. Drzwi do jadalni były otwarte.

Na miękkiej sofie spoczywał Tyberyusz, a po bokach
dwóch pochlebców hold mu składało boski.

— Kto jest największym hogiem na ziemi? — za-
pytał cesarz.

— Tyberyusz Klaudyusz Nero! — odrzekli po-
chlebcy.

Wtem wszedł w błyszczącej zbroi Makro, za nim
Witeliusz i Kwintus.

— Tyberyuszu, czy znasz ty tych dwóch ludzi? —
odezwał się groźnie Makro, wskazując na swoich towa-
rzyszów.

— Pozwalasz sobie na żarty, Makro? — odezwał się
Tyberyusz, podnosząc się z siedzenia.

— Nie żarty to, ale przykra prawda. Oko twoje za-
mdłone lub krwią zalane, bo inaczej byś ich poznał.
Ten oto jest Witeliusz! A ten drugi Kwintus, którego
tak długo szukałem. Teraz go odnalazłem, przypatrz
mu się.

Tyberyusz pobił.

Wszyscy trzej zbliżali się po mału ku niemu.

— Tyberyuszu, służyłem ci wiernie. Krew moja
gotowem był przelać za ciebie. Tyś mnie okłamał. Go-
dzina twoja wybiła.

Zanim Tyberyusz zdołał powstać, doskoczył do niego Witellusz i wbił mu się palcami w krtań. Z piersi cesarza wydobył się krótki, stłumiony krzyk, a potem słychać było ciężkie rżenie. Przyskoczył Makro i zarzucił mu na głowę purpurowe poduszki i ostatnie charczenie zdusił.

Makro wyszedł i kazał zatrąbić. Zabrzmiała trąba przeciągłym, drżącym głosem. Zbiegli się żołnierze i stanęli w szeregach; a byli mu wszyscy wierni.

Makro dobył miecza i rzekł:

— Cezar zmarł! Niech żyje Kaligula, syn szlachetnego Germanikusa, cesarz!

— Niech żyje Kaligula! — powtórzyli żołnierze ochoczo, bo Kaligula był ich ulubieńcem.

Makro obsadził wojskiem salę, kazał wyciągnąć z pod stołów przestraszonych gości cesarza, którzy rzucili się do nóg prefektowi.

— Łaski — wołali.

— Nic wam się nie stanie — rzekł Makro. — Byliście świadkami, że cesarz udusił się ostrygą. Czy było tak? — zapytał groźnie, a oczy jego błyszczały złowieszczo. — Odpowiedzcie, czy było tak?

— Tak było, cesarz udusił się ostrygą.

— Możecie iść!

Pułkownik zbliżył się do prefekta z zapytaniem, dokąd ich wyprowadzić.

— Zwiążcie ich, zakneblujcie usta i wywieźcie do kopalń sardyńskich. A ty, Witelluszu, ubierz się w zbroję pułkownika, spiesz do Rzymu i zanieś wieść Kaliguli i całemu ludowi o śmierci cesarza.

Spełniwszy polecenia prefekta, pospieszył Witellusz do pałacu Markusa Fulwiusza, dopytując się o Rubinę.

Wyszła mu naprzeciw Rubina w białej szacie w towarzystwie ojca.

Wyciągnął ku niej ramiona.

— Witaj mi Rubino, światło oczu moich. Wolny jestem i kocham cię. Bądź żoną moją. Jestem w łaskach u cesarza, bo mu dopomogłem do zajęcia tronu!

— Ty?

— Ja! Bom uwolnił Rzym od tyrana; udusiłem Tyberyusza własnymi rękoma.

Rubina wydała okrzyk zgrozy i cofnęła się, przerażona.

— Tyś mordercą?

— Mordercą? Oswobodzicielem jestem narodu, a taki czyn nie hańbą jest, ale chwałą.

— Błada! — zawołała Rubina. — Rozłączeni jesteście na zawsze. Wyznaję wiarę prawdziwego Boga, który uczy: Nie zabijaj!

— Rubina!...

— Idź, drze przed tobą.

— Złe uczyniłeś — odezwał się Marius — popełniłeś grzech, który niech ci Bóg przebaczy. Opuść dom ten, w którym mieszkają pokój.

— Kocham córkę twoją.

— Oblubienicą ona kogo innego; wyrzekła się miłości ziemskiej. Wtenczas, gdyśmy pod krzyżem na Golgocie stali, uczyniła ślub, że odda tylko Bogu służyć będzie. Tak też i lepiej będzie. Witeliuszu. Idź w spokoju.

Opuścił dom Markusa Witeliusz, ale także i kraj; przyłączył się do wyprawy przeciwko Scytom.

Gmach pogaństwa zaczął się załamywać u samych fundamentów. Lecz liczna klasa kapłanów, starała się go podtrzymać. Budowano nowe wspaniałe świątynie, stawiano bogate posągi bożyszczy pogańskich. Rzymscy patrycyusze nie wierzyli wprawdzie w potęgę bogów, ale pozornie hołd im składali, bo w wierze tej mogli bezkarnie oddawać się rozkoszom ziemskim. Wiara ta była im wygodną.

Wszelako duch Boży zamieszkał już w Rzymie.

Markus Fulwiusz z córką żył w serdecznej przyjaźni

z Pryscyllą i jej synem Pudensem. Czas spędzali często na pogadankach i wspólnej modlitwie.

Pewnego dnia przybył posłaniec z pismem od Korneliusza, którego Markus odwiedził w Kafarnaum.

Pismo to brzmiało: „Korneliusz, pułkownik, szlachetnej Pryscylli i jej synowi Pudensowi, pozdrowienie! Weselą ogłaszam wam nowinę: poznałem Boga prawdziwego i przyjąłem Chrzest święty z rąk pierwszego Apostoła. Imię jego jest Piotr. Raduje się dusza moja, i dla was szczęścia tego pragnę. Wkrótce przybędę do Rzymu a ze mną apostoł Piotr. Wprowadzę go w dom wasz; wierzę, że go z radością przyjmiecie. On was pouczy i wskaże drogę zbawienia.

„Zdziwicie się, że wracam do kraju. Cezar szykuje się na wyprawę przeciw Germanom i ściąga do Rzymu wszystkie legiony z prowincyi. Także szósty legion, który stoi w Judei, otrzymał rozkaz stawienia się w Rzymie.

„Za miesiąc już się zobaczymy, radość nasza będzie tem większa, że się radować będziemy w Chrystusie Panu.

„Pozdrówcie wszystkich ode mnie, pozdrówcie Markusa i Rubinę.”)

Przybył Korneliusz z Piotrem do Rzymu i zamieszkał w domu Pudensa i Pryscylli przy ulicy Patrycyuszowskiej.

Codziennie śladała gromadka wiernych u stóp apostoła i słuchała jego nauk.

*) Według badań uczonego Bianchi wracał szósty legion z Judei mniej więcej w czasie, kiedy Anioł wyprowadził Piotra św. z więzienia (39 r. po Chr.) Korneliusza ochrzcił Piotr w r. 36 po Chr. i znał go od lat trzech. Jest więc prawdopodobnem, że Piotr udał się do Rzymu w towarzystwie Korneliusza.

I nadszedł dzień łaski Bożej.

W pięknie kwiatami i zielenią przybranej, kobiercami wysłanej sali w domu Pudensa klęczeli wkoło w białych szatach Pryscyła, Pudens wraz z rodziną, Markus i Rubina.

Wśród tej gromadki stał Piotr św., trzymał w ręku srebrne naczynie z wodą i pouczał o ważności chwili, o obowiązku każdego człowieka, który przyjmuje Chrztost św., o konieczności naśladowania Jezusa Chrystusa.

Potem polał głowy ich wodą i mówił: „Chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha św.“.

I zostali Chrześcijanami. Przy tej sposobności złożyła Rubina śluby służenia Jezusowi. Odtąd życie jej miało płynąć na usługach chorych i ubogich.

Pokój zamieszkał wśród pierwszych Chrześcijan rzymskich, a gromada ich coraz więcej się powiększała, nauka Chrystusowa coraz więcej się szerzyła.

Mimo prześladowań, jakie Chrześcijanie później znosić musieli, nauka Chrystusowa zwyciężyła — Chrystus zwyciężył!

ESTERA

Opowiadanie, osnute na tle dziejów
prześladowania pierwszych chrześcijan.

Opracował Antoni Stefański

Boże Izraela! Długo jeszcze odwracaś
będziesz od nas zagniewane swe oblicze!

Takie westchnienie wyrwało się z piersi
młodej dziewczyny, stojącej w portalu* wspa-
niałego pałacu, przypatrującej się świetnemu
pochodowi, który po mału przesuwał się przed
jej oczyma.

Niezliczone tłumy ludu w świątecznych
strojach wypełniały ulice, a nieustanne okrzy-
ki radości wstrząsały powietrzem. Wśród te-
go rozentuzyzmowanego tłumu toczył się
wóz tryumfalny, cały złoty, zaprzężony
w cztery pyszne rumaki. Wóz ten otaczało
rycerstwo w ślniących od złota zbrojach, a na
wozie stał rycerz, bogaciej jeszcze ubrany,
młody jeszcze — to zwycięzca, który zawojo-
wał kraj żydowski, Palestynę, który zburzył
Jerozolimę a z nią i świątynię Pańską — to
Tytus, syn Wespazyana, następca do tronu
rzymskiego. I oto wraca, po trzyletnim oble-
żeniu świętego miasta, dumny, bo nie zosta-
wił z niego nic, prócz ruin i popiołów. Ale na
czole jego nie spostrzeżesz tej dumy próżnej,
chępliwej. Nie, to duma inna, poważna, po-
łączona nieomal z żalem nad upadkiem poko-
nanego narodu. Za okrzyki radości dzięki-
wał spokojnie, bez wyniosłości. Ile razy spoj-

* Portal, główne wejście do budowli rzymskich. wygo-
dne, obszerne, podobne do hali ozdobionej słupami, a budowane
w stylu, w jakim sam dom wybudowano.

rzał na trofea wojenne, smutek, podobny do chmury, zasłaniającej na chwile słońce pogodne, pokrywał twarz jego.

Przed nim nieśli legionieści znany w historii biblijnej świecznik siedmioramienny, kielichy i sprzęty ofiarne, szaty kapłańskie i rozmaite ozdoby, zabrane z świątyni.

Tuż przed wozem pędzono okutych w kajdany synów Izraela, pędzono ich, aby cieszyli chciwych krwi Rzymian. Dziś widzi ich Rzym okutych w kajdany — za dni kilka ten sam Rzym zobaczy ich znowu na arenie cyrkowej, szarpanych w sztuki przez dzikie zwierzęta. Dwóch jeńców szczególniei zwracało na siebie uwagę, byli cni przwkuici do wozu tryumfального — to Jan i Symeon, przywódcy ruchu zbrojnego przeciw Rzymianom. Pierwszy, nieugięty, szedł z głową wzniesioną i spoglądał z pogardą na wyszydający go tłum. Drugi szedł z głową spuszczoną, bo boleść odniosła nad dumą zwycięstwo, i tał lży, których nie mógł okutemi w kajdany rękoma otrzeć.

Ten widok, łączący w sobie największą chwałę ziemską, ale też i największe pohańbienie, ścisnął widocznie boleścią serce dziewczyny, — i z nadmiernego bólu wezwała imienia Boga Izraela. Poznała świecznik z świątyni, poznała szaty kapłańskie i sprzęty ofiarne, ujrzała okutych w kajdany braci i iękneła z gniewu i rozpacz, załamała rece, a usta jej szeptały treny proroka Jeremiasza:

„Komu cię przyrównam, córko Jerozolimska? Z kim cię porównam i pocieszę cię, panno, córko Syon? bo wielkie jest jako mocne skruszenie Twoje, któż cię zleczy?... Lepiej było pobitym od miecza... Wykonał

Pan popędliwość swoją, wylał gniew zapalczywości swej i zapalił ogień na Syon i pożarł fundamenty jej...”

— A stało się to, ponieważ zgrzeszyli kapłani jego i przelali Krew Niewinnego — odezwał się głos za nią.

— Kto ty jesteś? Skąd znasz święte nasze księgi? — zapytała zdziwiona dziewczyna.

— Estero, czy mnie nie poznajesz?

Estera przetarła ręką czoło, jakoby chciała dopomódz pamięci.

— Tak... przypominam sobie... Tyś mnie pielęgnowała w chorobie, tyś czuwała nademną, twemu okrutnemu miłosierdziu zawdzięczam życie, okrutnemu, bo dziś nie cierpiałabym tyle, nie widziałabym tego, czego jestem świadkiem.

— Bóg ci rozkazał żyć, dziecko moje, więc słuchaj go.

— Ach!... Ty mówisz o Bogu, o jednym Bogu, więc nie jesteś poganą?...

— Modłę się do Boga prawdziwego, Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba.

— A więc jesteś żydówką?

— Jestem chrześcijanką.

Estera, która już wyciągnęła radośnie ręce do uścisku, cofnęła się nagle ze wstrętem.

— Córkę moja — rzekła Sulpicya — dla czego cofasz się przede mną? Biedna wygnanko, dokądże udasz się w swem smutku? Czy może do katów twej ojczyzny? lub szukać będziesz pociechy u stóp ich pogańskich bożyszczy? Ja jedna tylko mogę cię rozumieć i z tobą płakać. Opuszczona córko Syonu. biedna Estero, czy chcesz, bym ci była matką?

— Ach, matko, matko moja! Widziałam cię umierającą pod ciosem brutalnego żołdaka... Ale dlaczegoż ci to mówię! Między nami niema nic wspólnego: tyś chrześciana, ja żydówka. Bądź zdrowa, Sulpicyo, żegnam cię!

Estera, córka Safara, pochodziła z rodu Machabeuszów. Podczas oblężenia Jerozolimy rodzina jej wyginęła już to z głodu, już też od broni; matkę jej, jak już wspomniałem, zabił wojownik rzymski. Ona sama wpadła w ręce dostojnemu rycerzowi. Pawłowi Sylwiuszowi, który uderzony jej młodością i pięknnością, oddał ją żonie swojej, Lei Druzylu, jako niewolnicę. W ten sposób dostała się Estera do Rzymu. Mimo niewoli nie nie z umiejętności tej niewolnicy swojej Lea, Druzyla, kobieta dobrego serca, nie zlecała jej też prac ciężkich, lecz pozwoiliła jej haftować złotem i różnobarwnem jedwabiem na drogich perskich i egipskich materyach. Sztuki haftowania nauczyła się Estera w szkole przy świątyni jerozolimskiej. Cieszyła się z umiejętności tej niewolnicy swojej Lea, gdyż u Rzymian haft niezmiernie ceniono. W wolnych chwilach grała swej pani na harfie i śpiewała melodye żydowskie.

Tęsknota za krajem, żal po stracie rodziców i rodzeństwa nadwątlily jej zdrowie, tak że ciężko zaniemogła. Anioł śmierci zbliżał się do łoża Izraelitki. Cieszyło się dziewczę że Bóg miłosierny przerwie jej cierpienia. Wśród halucynacyi, spowodowanych gorączką, rozpoznawała jedną i tę samą osobę, która się do niej zbliżała, wlewała w nią słowa pociechy i uspokajała. A słowa jej były tak słodkie, tak łagodne, że często na jej rękach

zasypiała. Osobą tą nie był nikt inny, jak Sulpicya.

II

Dzień powrotu Tytusa do Rzymu był nie-
mniej dniem radości dla Pawła Sylwiusza i
żony jego Lei Druzyli, gdyż z Tytusem wra-
cał do kraju także najstarszy ich syn Okta-
wiusz. Matka młodego rycerza składała co-
dziennie ofiary bogom, aby go zachowali przy
życiu. W dniu dzisiejszym złożyła bogom
ofiary dziękczynne, a mianowicie Jowiszowi*
Minerwie** i Weście***. Nawet niewolnicy,
nie ukrywali radości z powrotu młodego pa-
na, z wyjątkiem Estery, której rany serca,
odniesione z powodu upadku ojczyzny, były
jeszcze zbyt świeże. Dnia następnego po
tryumfalnym wjeździe Tytusa do Rzymu i
powrocie Oktawiusza, zebrały się niewolnice
Lei Druzyli w przedpokoju. Estera była mię-
dzy niemi; smutna i zamyślona oparła się o
barierkę swoją. Lea Druzyła opuściła w tej
chwili łóżce i zaczęła się ubierać, w czem były
jej pomocne niewolnice. Po skończonej tuale-
cie wszedł do komnaty syn jej, Oktawiusz,
aby się z matką przywitać. Niewolnice umil-
kły. Po skończonej rozmowie obejrzał się
Oktawiusz ciekawie wokoło siebie i spostrzegł
Estere.

— Kto to jest owo dziewczę? — zapytał
matki.

— Która? — odrzekła Lea. — Owa blon-
dynka? To jest Galka.

* Jowisz, pan nieba, władał piorunami, rozkazywał innym
bogom.

** Minerwa bogini mądrości.

*** Westa, bogini, opiekunka ogniska domowego i niewin-
ności. W każdym domu palił się na jej cześć ogień, a w świą-
tyni nie wygasł nigdy. Dziewice, które ognia tego pilnowały,
nazywały się Westalkami.

— Nie, małko, owo dziewczę z harfą, o tak smutnym, lecz dumnym wzroku.

— To niewolnica, ojciec twój przywiódł ją z Palestyny; śpiewa bardzo ładnie. Chciałbyś ją słyszeć? Estero, nastrój harfę i za śpiewaj.

Estera usłuchała wezwania, wzięła harfę do ręki i niedługo rozbrzmiała pieśń czysta — psalm Dawidowy:

„Przecześnie, Boże, odegnał nas do końca? Rozgniewała się zapalczywość twoja na owce pastwiska twego?

Wspomnij na zgromadzenie twoje, któreś posiadał od początku: odkupiłeś pręt dziedzictwa twego, górę Syon, na którejś mieszkał.

Podnieś ręce twoje na pychy ich, na koniec: jako wiele nabroił nieprzyjaciół w świątynie.

Jako w lesie drzew siekierami wyrebowali drzewi jego pospołu; toporem i oskardem obalili je.

Zapalili ogniem świątynię twą: na ziemi splugawili przybytek imienia twego.

Dokądże, Boże, nieprzyjaciół uragać będzie? Drażni przeciwnik imię twe do końca.

Czemuż odwracasz rękę twoją z pośrodku zanadrza twego do końca?

Tyś utwierdził mocą twoją morze: pokruszyłeś głowy smoków w wodach. Tyś przerwał źródła i potoki: tyś wysuszył rzeki Ethan.

Twój ci jest dzień, i twoja jest noc: tyś udziałał zorzę i słońce.

Nie zapominaj głosów nieprzyjaciół twoich: pycha tych, którzy cię nienawidzą, ku górze idzie zawsze.

Gdy Estera skończyła śpiewać, lzy, jak perły czyste, skropiły jej lica.

— Co znaczą słowa, które śpiewała? — zapytała matka syna.

Oktawiusz przez czas wojny w Palestynie nauczył się języka hebrajskiego (t. j. żydowskiego).

— Oplakuje upadek ojczyzny — odrzekł i spojrzał wzrokiem nie bez współczucia na Estere.

— Ona zawsze taka smutna, ale potrzebna mi, bo umie pięknie haftować. Niedawno wyhaftowała mi suknię, mogącą wzbudzić zazdrość w samej cesarzowej.

Po chwili milczenia skierowała Lea Druzyla mowę na inny temat. Oktawiusz pożegnał matkę, a niewolnice na daną znak rozeszły się do swoich zajęć.

III.

Życie Estery płynęło z dnia na dzień monotonnie. Wciąż była zajęta haftowaniem na drogich materyach zagranicznych. Trzeba bowiem wiedzieć, że podbite przez Rzymian narody musiały dostarczać rozmaitych wyrobów i produktów swoim zwycięzcom, jako haracz wojenny. Widziałeś więc na stołach pańskich najrzadsze potrawy i owoce. Rzymianki ubierały się w prześliczne jedwabie i inne tkaniny, na szyjach ich błyszczały precudne perły i drogie kamienie; kosztowne naramnice zdobiły ich ramiona.

Tak więc przechodziły przez ręce Estery rozmaite tkaniny, świadczące o potęgze rzymskiej. W tej duszy wrzała nienawiść do wszystkiego co rzymskie, co pogańskie. Unikała swych towarzyszek, nie mogąc im przeba-

czyć, że zapomniały upokorzenia swego narodu, a były między niemi Greczynki, murzyni, egipcjanki, galki. Więcej niż poganek unikała Sulpicyi. Sulpicya, do lat wielu wdowa, była kiedyś piastunką Felixa Oktawiusza. Otrzymawszy od młodego swego pana wolność, nie opuściła domu jego, ale poświęciła się, będąc chrześcijanką, służbie prawdziwie chrześcijańskiej: stała się niewolnicą niewolnic, sługą sług. I ona pędziła życie samotne, ale nie wypełniała go nienawiścią, lecz miłością chrześcijańską. A wielkie było pole podówczas do świadczenia chrześcijańskiego miłosierdzia. Były to czasy prześladowania chrześcijan, czasy okrutnego niewolnictwa.

Za byłe przewinięcie spotykała niewolnika straszliwa kara. Wtenczas to Sulpicya biegła do niego, obwijając rany jego i słodkiemi słowami wlewała pociechę w skolataną duszę biedaka. Czuwała nad jego łóżem, ocierała śmiertelny pot z czoła jego, — była mu siostrą, była mu matką. Zwykle późnym wieczorem, gdy już wszyscy używali wywezasu, wychodziła pokryjomu z pałacu i udawała się do dzielnicy miasta, zamieszkałą przez najbiedniejszą ludność. Zanosila biednym potrawy i przysmaki, które z pańskiego stołu po każdej uczcie skwapliwie zbierała. We dnie wychodziła na targ, gdzie wystawiano na sprzedaż niewolników; wykupywała najniebezpieczliwych i odsyłała z powrotem w strony rodzinne.

Tak płynęły lata cała, bogate w uczynki miłosierdzia, ukryte przed okiem ludzkim, lecz zapisane u Boga.

Bolało Sulpicyę, że Estera coraz więcej jej unikała. Nie miała jednakże do niej żalu; modliła się natomiast goraco do Boskiego Zbawiciela, który płakał nad córkami jerozolimskimi, aby spuścił promień światła do jej serca.

Estera z dniem każdym stawiała się smutniejszą. Do bólów nad upadkiem ojczyzny przyłączyło się jeszcze jedno cierpienie. Spozstrzegła, że młody Felix Oktawiusz wyszczególniał ją ze wszystkich niewolnic i darzył niezwykle względami. Rozmaite domysły zaczęły niepokoić jej duszę. Nie mogła zostać żoną rycerza, bo była niewolnicą. A gdyby nawet i nią nie była, nie mogłaby nigdy złączyć się z nim węzłem małżeńskim — bo nie poślubiłaby za nic w świecie poganina. A mimo to dziwne uczucia, których nie mogła sobie wytłómaczyć, targaly jej duszą.

Pewnego wieczora, po skończonej pracy, usiadła sobie Estera w odległym kącie pałacu i oddała się smutnym myślom swoim. W tem usłyszała w pobliżu szelest. Zbliżyła się do uchylonych drzwi, wiodących do niewielkiej celi i ujrzała leżącą na słomie w podsztych już latach niewolnice. Przyniej klęczała Sulpicya i obmywała ropiącą się ranę. Estera stała w niemym podziwieniu i śledziła każdy ruch Sulpicyi. Widziała, jak po obmyciu rany, obandażowała ją, jak wzruszyła i poprawiła słomę, aby chorej nie uciskała, jak głaskała ją dobrotliwie po głowie i pocieszała. Potem wstała i przyrzekła jeszcze raz tego wieczora zajrzeć. Nieszczęśliwa niewolnica zdołała jej tylko podziękować wdzięcznym wzrokiem.

U drzwi czekała Estera.

Gdy Sulpicya wyszła, podchwyciła ją gorączkowo za ręce i zawołała:

— Powiedz, kto ci daje tę siłę?

— Córkę moją — odrzekła łagodnie Sulpicya — oto Ten!...

To mówiąc, wyjęła krzyżyk, który nosiła na piersiach i pokazała go.

— Estero — mówiła dalej żywo — to jest Ten, którego oczekiwali patriarchowie, którego przepowiadali prorocy, Mesjasz, Syn Boży, pocieszyciel strapiionych! Oto jego wizerunek! Umarł umęczony, jako przepowiedział prorok Izajasz, bo wziął grzechy nasze na siebie i umarł za nas dla naszego zbawienia. Odepchnęli go od siebie ojcowie twoi, i Bóg ich od siebie odepchnął. Ściągnął Pan Bóg karzącą rękę na naród izraelski i rozproszył go. Otwórz oczy, córko Machabeuszów, córko męczenników! Nieszczęście twego narodu niech cię przekona o boskości ukrzyżowanego Zbawiciela.

— Tego kapłani nam nie mówią...

— Tytus sam to przyznał, bo gdy chodził wśród ruin jerozolimskich, rzekł pamiętne słowa, że jest tylko narzędziem w ręku karzącego Boga.

— O gdyby twój Chrystus mógł złagodzić cierpienia moje...

— Czy wątpisz?... On daje spokój, daje życie. Jego przykazanie, to przykazanie miłości, jego słowa — źródło żywy. Weź tę książkę i czytaj. Odziedziczyłam ją w spuściznie po jednym z naszych męczenników: na kartach tej księgi są jeszcze ślady świeżo przelanej krwi jego. Weź, czytaj i porównaj co przeczytasz z przepowiedniami waszych proroków.

To mówiąc, podala Sulpicya Esterze Piśmo święte.

— Proś Boga, by oświecił umysł twój.

Estera wzięła księgę i oddaliła się. Sulpicya, wznosząc oczy w niebo, dziękowała Bogu.

Modlitwa, owa święta siła, zadająca gwałt Bogu, sprawiła, że Bóg spojrzal okiem łaskawem na biedną sierotę i przynusił do łaski swojej.

Wieczorami siadywała Estera nad Piśmem świętem, czytając je skwapliwie, pragnąc więcej uspokojenia duszy, niż docieczenia prawdy. Najwłótej ulgi doznawała w czytaniu ksiąg Joba. Jego żale były wyrazem i jej cierpień. I ona pragnęła, jako ów patriarcha, Zbawiciela. Czula całą swą niedolę, jako żydówka, jako sierota, wygnanka, niewolnica pogan. Jako żydzi w niewoli babilońskiej, tak i ona tęskniła za wolnością, która miał dać przyobiecany narodowi wybranemu Mesyas. Nareszcie otworzyła Księgi Nowego Testamentu...

Nad ranem spostrzegła ją Sulpicya, siedząca jeszcze nad księgą. Siedziała blada od wzruszenia i niewywezasu. Sulpicya stanęła niepostrzeżenie we drzwiach.

— Niech cię Matka najświętsza ma w swojej opiece, córko moja — odezwiała się łagodnie.

W tej chwili zerwała się Estera, — nie ta sama dumna żydówka, ale cicha i pokorna — padła Sulpicyi do nóg i całowała jej ręce.

— Sulpicyo, matko moja, czy i mnie Chrystus przygarnie jako dziecię swoje, córkę narodu, który popełnił na nim zbrodnię?

— O, nie wątpij o tem!

— A więc wskaż mi, co mam czynić. —

IV.

Odtąd chodziła Estera pilnie na naukę religii. Ziarno padło na dobrą glebę i niedługo przyjęła z rąk biskupa rzymskiego, św. Linusa, chrzest święty.

Nowe wstąpiło w nią życie. Za przykładem Sulpicyi czyniła miłosierdzie, pielęgnując przedewszystkiem chorych. Jalmużny rozdzielać nie mogła, bo jako niewolnica była bez środków ku temu.

Żywa wiara w Chrystusa i ufność w opiekę Najświętszej Panny ukoili jej boleść; nie zapomniała jednak o Oktawiuszu i w każdym pacierzu modliła się za niego, aby i jego Pan Bóg oświecić raczył.

Także Oktawiusz w ostatnich czasach zmienił się do niepoznania. Unikał hucznych zabaw; strój jego dawniej świetny, dziś skromny; nie zdobił już więcej głowy wonnemi kwiatami; nie uczeszczał ani na igrzyska rycerskie ani do cyrku. Znikła wesołość z twarzy jego, a chodził w zadumie. Matka jego, Lea, była bardzo tym stanem duchowym syna zaniepokojona. Starala się go rozweselić, dowiedzieć się przyczyny smutku; lecz wszelkie w tym względzie usiłowania pozostały bez skutku. Oktawiusz tem więcej stawał się milczącym i coraz to więcej unikał domu rodzicielskiego.

Nasze dwie przyjaciółki, Estera i Sulpicya, wychodziły częściej tajemnie w nocy na nabożeństwo do domu, w którym kiedwś apostoł narodów, św. Paweł zagrzewał wiernych do wytrwania. Tam słuchały słowa Bożego

i krzepiły dusze swoje Sakramentami świętymi. Jakkolwiek podówczas nie było już tak wielkiego prześladowania chrześcijan, jak za czasów Neronu, to jednakże niebezpieczeństwo zagrażało zawsze wielkie. Chrześcijaństwo, który wstrząsał posadami pogaństwa, był zawsze u Rzymian znienawidzonym. Czuli oni siłę nauki chrześcijańskiej, nakazującej miłość bliźniego, wyrzeczenia się próżności świata. I oni, używający w całej pełni rozkoszy, jakie świat tylko dać może, stali w zupełnem przeciwieństwie do tej nauki i nienawidzili jej i jej wyznawców. Jeszcze posądzenie podpalenia Rzymu, jakie rzucił na wyznawców Chrystusa Neron, nie wygasło w pamięci rzymian, jakkolwiek wtajemniczeni, wiedzieli dobrze, kto był sprawca pożaru, że był nim sam Neron.

Było to w pogodną noc czerwcową. Gromadka chrześcijan zebrała się na nabożeństwo w domu rekodzielnika Palladiusza, aby uczcić pamięć św. Piotra i św. Pawła, których rocznica męczeńskiej śmierci, a właściwie tryumfu, dnia tego przypadała. Pobożne hymny i wspólne modlitwy wznosiły się do stóp tronu Pana nad pany. Wszyscy zgromadzeni przyjmowali tej nocy Przenajśw. Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej. Właśnie trzymał kapłan kielich z najdroższą Krwią Zbawiciela w ręku, gdy nagle rozerwano drzwi i do wnętrza wtoczyła się zgraja żołdactwa.

Wierni nie okazali najmniejszego zaniepokojenia, — byli zawsze na śmierć gotowi, spodziewali jej się codziennie. Przywódzca przeczytał rozkaz prefekta aresztowania znajdujących się na modlitwie chrześcijan. Roz

Każ ten nie zdołał ani na chwile wzbudzić w zgromadzonych niepokoju. Matki zbliżyły się do córek swoich, mężowie do żon, a Sulpicya objęła za szyję Estere, klęczącą jeszcze u stołu Pańskiego. Wszyscy podawali dobrowolnie ręce w kajdany. Estera i Sulpicya znajdowały się między aresztowanymi i w niespełna godzinę wtrącono je do mamertyńskiego więzienia.

Więzienie to, w którem siedziały Estera i Sulpicya, było także kiedyś więzieniem pierwszych naszych apostołów — św.św. Piotra i Pawła. Ta okoliczność niemal podnosiła odwagę naszych chrześcijanek. Z upragnieniem oczekiwały chwili, kiedy miał im być przeczytany wyrok śmierci. Lecz upływały dnie i tygodnie, a położenie ich w niczem się nie zmieniło. Czyżby o nich zapomniano?

Pewnego dnia zgrzytnęły zasady i drzwi się otworzyły. Otóż i chwila radości oswobodzenia z więzów tego świata a przejścia do szczęśliwości niebieskiej się zbliża, pomyślały obie. Przedzierający się przez okienko promień słoneczny oświecił postać mężczyzny, który co dopiero wkroczył do celi. Był nim Felix Oktawiusz.

— Synu mój! — zawołała Sulpicya, która go pierwsza poznała. — Ty tutaj?

— Tak, to ja jestem — odrzekł Oktawiusz — Estero, czemuż i ciebie tu spotykam?... Tyś chrześcijańką?...

— Jestem chrześcijanką, gotowa poświęcić życie doczesne dla życia wiecznego, zamienić niewolę na wieczną wolność i szczęśliwość.

— Czy i ty, synu mój, jesteś chrześcijaninem? — zapytała Sulpicya.

— Jesteś bratem naszym w Chrystusie? — dodała Estera.

— Nie, nie jestem chrześcijaninem — odrzekł z pogardą Oktawiusz. — Całopalenia nie składam żadnemu bogu, żadnemu nie palę kadzidel... Nienawiść do Tytusa wtrąciła mnie do więzienia. Niedługo, a spadnie głowa moja.

— Cóż ci Tytus uczynił?

— Zburzył Jerozolimę, zniszczył kraj żydowski, a naród podał w niewolę, jest przyczyną i twego nieszczęścia, Estero. — Wzrok Oktawiusza, pełen smutku, spoczął na twarzy dziewczęcia. — Czyż to niedosyć przyczyn, abym go nienawidził? Utworzyłem spisek przeciw niemu. Rzuciłem życie moje na szalę — spisek się nie udał...

— Synu mój! Tak ci to przyszło umierać w kwiecie wieku! — zawołała Sulpicya, zalamując ręce.

Estera spuściła smutnie oczy, a łzy jak perły czyste spłynęły po jej wybladłej twarzy.

— Umrę z chęcią, przestanie bić to serce przepelnione boleścią.

— Umrzesz bez wiary, bez nadziei w przyszłe życie.

— W kogo, w co mam wierzyć? W bogów na Kapitolu, albo w bogów egipskich? Od dawna uczeni nasi wykazali śmieszność takiej wiary... Czy chciałabyś, abym wierzył w Boga chrześcijan? Ten nieznany nam Bóg, którego uczniami byli ludzie podrzędni, pospolici, nie może być Bogiem szlachetnego rzymianina.

Teraz podniosła Estera wzrok i spojrzała na Oktawiusza; a w wzroku tym było tyle łagodności i niewinności, że i najtwardsze serce pod wpływem jego stopniechy musiało.

— Oktawiuszu, umrę przed tobą i tam w niebie będę błagała Boga, w którego ty nie wierzysz, aby zbawił duszę twoją.

— Żegnam cię — odrzekł Oktawiusz, wzruszony do głębi duszy — żegnam cię na zawsze.

— Żegnam cię — powtórzyła, łkając Estera — lecz nie na zawsze: zobaczymy się w życiu przyszłym.

Wyszli i drzwi, które przed chwilą stróż przekupiony otworzył, znowu się zamknęły. Sulpicya i Estera upadły na kolana i modliły się gorąco o męstwo dla siebie, o łaskę Bożą dla Oktawiusza.

Trzy dni później zostały wprowadzone do sali sądowej.

— Wolicie więc raczej ponieść śmierć niż oddać pokłon Jowiszowi i uznać go bogiem? — zapytał sędzia.

— Ojcowie nasi ponieśli śmierć męczeńską, nie chcąc jeść mięsa, które leżało na ofiarnych ołtarzach bożków: pójdę więc ich śladem.

— Nierozsądna dziewczyno! — zawołał sędzia, a zwróciwszy się do Sulpicji, rzekł: — Zwracam się do ciebie, Sulpicjo, jesteś starszą i rozsądniejszą, więc radź jej, aby nie czyniła szaleństwa, bo Chrystus od śmierci jej nie wybawi.

— Prawda, że pomrzemy, bo nikt od śmierci się nie wyprosi, lecz umrzemy śmiercią męczeńską, aby żyć wiecznie z Tym, dla

Którego życie nasze z radością w ofierze składamy.

— Prababka moja — wtrąciła Estera — patrzała na śmierć męczeńską swoich siedmiu synów, a wszystkich zachęcała do męczeństwa. O, jakaż jej boleść była! A ja bym miała wyrzec się Chrystusa?

— A więc odmawiasz?

— Chrystus jest panem moim, jemu winnam posłuszeństwo i jemu oddam życie.

Zapadł okropny wyrok śmierci.

Oktawiusz, przekupiwszy znowu stróża, oczekiwał je w celi, aby się dowiedzieć o wyroku. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał w ich wzroku dziwną, niebiańską radość. Obydwie kobiety dziękowały Bogu za łaskę, że je wkrótce przyjmie do Królestwa swego i polecą się opiece Najśw. Maryi Panny.

— Jakaż to siła, która daje mestwo słabej niewieście — rzekł — która uczy ją gardzić śmiercią? Jeśli ta siła z Boga waszego pochodzi, powiedzcie mi, kto on?

Wzruszenie ogarnęło wszystkich trojga, padli sobie w ramiona i trwali w niemych uścisku.

Ponieważ do święta Saturnalii*), w którym to dniu pragnął Wespazyan zabawić wspaniałymi igrzyskami rzymian, było czasu jeszcze trzy tygodnie, przeto mógł Oktawiusz przychodzić codziennie, za przyzwoleniem stróża, na nauki religii. W jednej z pobliskich cel siedział więzień pewien przywiedziony dopiero od dni kilku — także chrześcijanin.

* Saturnalia, święto u pogańskich rzymian na cześć bożka Saturna, obchodzone bucznemi biesiadami przez trzy dni z rzędu, od 17 do 19 grudnia.

W przededniu mającego spełnić się wyroku, poprosił Oktawiusz stróża, ażeby i owemu więźniowi było wolno przybyć do celi, a w nagrodę za to ofiarował mu kosztowny pierścień.

Stało się, jako sobie więźniowie nasi życzyli. Ach, jakaż była ich radość — więźniem był kapłan. W celi więziennej w obecności Estery i Sulpicy przyjął Oktawiusz z rąk jego sakrament Chrztu św. — Ostatnie uściski, ostatnie pożegnanie.

Dnia następnego spotkali się raz jeszcze w bramie więziennej. Tutaj drogi ich się rozłączyły.

Estere i Sulpicyę poprowadzono do amfiteatru na pożarcie dzikim bestyom. Oktawiusza na rusztowanie.

Chrystus z wami! — Chrystus z tobą! To były ich ostatnie słowa pożegnalne.

W chwili, kiedy Oktawiusz miał poddać głowę pod młecz kałowski, zawołał donośnym głosem, wznosząc wiarę w Chrystusa:

— Jestem Chrześcianinem!



Tak przemija chwała tego świata

Obrazek z ostatnich dni Pompeji.

Opracował Antoni Stefański

Było to 24 sierpnia 79 roku po narodzeniu Chrystusa Pana. Słońce piekło straszliwie; takiego skwaru nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Kampanii. Powietrze było przytem parne, jak to zwykle bywa przed wielką burzą.

Tylko mieszkańcy miasta Pompeji byli jakby nieczuli na ów nieznośny upał. Na ulicach roily się ciżby narodu jakby w jakiś dzień świąteczny. To Kajus Fufecyusz Pansa urządził igrzyska dla swoich współobywateli: walki gladyatorów, trwające już od trzech dni. Setki ofiar padło, aby zabawić o skorumpowanych naturach Rzymian.

Nieco zdala od tego tłumu, zapelniającego drogi do teatru i łaźni, w bocznej alei, szło dwóch chłopczyków. ubranych jak zwykle synowie patrycyuszów, w towarzystwie swego nauczyciela. Starszy z chłopczyków liczył może lat czternaście, młodszy dwanaście. Suknie ich były białe z purpurową dokoła obwódka. Nauczyciel ich miał ubranie z grubego materyału, koloru ciemnego: nioś on tablice i rylce uczniów swoich i kilka zwojów pergaminowego papieru; twarz i głowa jego ogolone; dokoła szyi miał żelazną obręcz, a

na niej czytać mogłeś napis: „Jestem niewolnikiem K. Fufecyusza Pansy.“

Człowiek ten, noszący tak bardzo poniżający napis, musiał być duchem silny, umysłem przewyższający tych, którzy mu szyję w obręcz zakuli; poznać to było po jego wzroku, godności zachowania, a szczególnie w rozmowie z uczniami. Obydwaj chłopcy szli naprzód, a nauczyciel za nimi.

— Nie, Celzusie i Licyniuszu, — kontynuował nauczyciel rozmowę — tak nie było, jak sądzisz. Greckie zastępy nie były równe rzymskim legionom. Racja jest, że w szyku bojowym — tak u greków, jak i u rzymian, w środku szła piechota, a po skrzydłach jazda. Jednakże u greków liczba ciężko zbrojnych była jeszcze raz tak wielka, jak lekko zbrojnych; u rzymian natomiast wynosił legion 3000 ludzi pieszych a tylko 300 jeźdźców: liczba pieszych była dziesięć razy większa od jeźdźnych; a to przecież wielka różnica...

— Która — dodał żywo Licyniusz — nie przeszkodziła orłom naszym w zwycięstwie nad zastępami Grecyi.

— Nie zapalaj się zbyt, bracie — odrzekł spokojnie Celzus. — Jeżeli mówisz o zwycięstwie rzymskiego oręża, to nie zapominać także o klęskach. Wspomnij także Hanibala 1); czy nie zadał nam ciężkich klęsk? A Jugurta 2)! czy nie wziął on w niewolę pretora Aulusa z całem wojskiem?

1) Hanibal, wódz Kartagińczyków, zaprzysiął ojcu swemu Amilkarowi zemstę rzymianom, przeciw którym walczył z początku bardzo szczęśliwie; później go jednakże szczęście opuszcilo. W r. 181 przed Chrystusem odebrał sobie sam życie, otruwszy się.

2) Jugurta, król Numidy, walczył bronią i przekupstwem; mawiał, że Rzym jest do kupienia, że upadnie, jeżeli się znowo kupić.

— Ale w końcu jednak zwyciężyliśmy i Kartaginę³⁾ w perzynę obróciliśmy.

— A szkoda było miasta, jak nam Teofil wczoraj opowiadał. Czyś już zapomniał, co nam mówił?

— Nie zapomniałem, ale nazwij mi choćby jednego nieprzyjaciela, któregośmy nie zwyciężyli i nie ujarzmili.

— Mówmy o czem innem — odrzekł Celzus. — Powiedz nam, Teofilu, — zwrócił się do swego nauczyciela — w jaki sposób stało się, że jesteś niewolnikiem? Musisz pochodzić z możnego rodu, że posiadasz tak wielkie wiadomości; przeciętni niewolnicy ich bowiem nie posiadają.

— Ach tak! — dodał żywo Licyniusz — opowiedz nam cośkolwiek z młodości swojej; jeszcze nam bowiem nigdy o tem nie mówiłeś. Toć nie zawsze byłeś niewolnikiem?

— Nie, nie byłem nim; ale na cóż mam poruszać dzieje mojej młodości? Niewolnik, gdy zostanie niewolnikiem, traci wszystko, traci nawet nazwisko rodzinne, bo mu pan inne nadaje — według swego upodobania. Dość wam wiedzieć, że nie pochodzę z niskiego rodu, jakkolwiek nie nosiłem togi rzymskiego patrycyusza, i że jestem chrześcianinem.

— Tyś grek, prawda Teofilu? — przerwał Celzus.

— Grecya jest ojczyzną moją.

— A bogowie greccy nie zdołali cię od niewolnictwa ochronić? — zauważył Licyniusz. — Ale któż oprze się potędze naszej?

3) Kartagina, było to miasto handlowe, założone 800 lat przed Chrystusem przez Fenicyan na wybrzeżach półn. Afryki; było one bogate i ładne, liczba mieszkańców wynosiła 700 tysięcy.

Toć i bogowie wasi nie mogli się jej oprzeć i dziś zdobią świątynie rzymskie.

— Miły Licyniuszu, bogowie greccy są ci sami, co rzymscy, tylko rzymianie inaczej ich nazywają. Wiesz jednakże, że nie wierzę ani w jednych ani w drugich; wierzę natomiast w Boga chrześcijańskiego, który stworzył niebo i ziemię i wszystkiem rządzi.

— Ale czemuś ty w Boga chrześcijan uwierzył? Ten, który ci o nim opowiadał, to tylko prosty rybak!

— Tak jest, rybak to tylko, ale apostoł Pański. Wiara nową przyjąłem, bo to jedynie wiara prawdziwa. Ale nie mówmy o tem, bo wiecie, że ojciec wasz tego nie lubi.

Rozmowa zeszła na inne tory. Tak z sobą rozmawiając, doszli do domu, budowanego w czworobok i jak inne domy w Pompeji, posiadającego jedno piętro. Gmach był to obszerny; po prawej jego stronie sprzedawał handlarz owoce i ciasta, nawołując głosem ochryplym przechodniów do kupna; po lewej stronie znajdowała się winiarnia, w której przebywali przeważnie gladyatorzy. Wejście do domu zdobily dwie kolumny. Na posadzce było wypisane mozaikową robotą słowo: *Salve!* — witaj! na ścianie zaś: *Cave canem!* — Strzeż się psa!

Niewolnik, uwiązany na łańcuchu, a strzeżący wejścia, zbliżył się, o ile łańcuch na to pozwalał, i otworzył drzwi do atrium. Chłopcy poklonili się posagom bogów opiekuńczych, które poumieszczane były w niszach i poszli za dwoma niewolnikami, przydanyimi im do osobistej usługi.

Nauczyciel ich natomiast zwrócił swe kroki do biblioteki; złożył tamże tablice, rylca i zwoje pergaminowe, a wzięwszy dzieła Ho-

mera, poszedł do ogrodu, gdzie usiadł na ławce i zatopił się w czytaniu. Niedługo potem zjawił się przed nim niewolnik.

— Jakże to pięknie — odezwał się przybyły — być nauczycielem: można wtenczas czytać sobie i usnąć przytem, a chociaż do pracy wołają, nie słyszeć.

— Czyż mnie wolano?

— A z pewnością; więcej niż cztery razy wołałem, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi: Kajus Fufecyusz żąda ciebie.

Natychmiast powstał Teofil i pospieszył do tryklinium, t. j. jadalni, gdzie też zastał pana swego.

Kajus Fufecyusz odpoczywał na niskiej kanapie; przed nim stał stół trójnogi, przy którym siedzieli obaj jego synowie. Od czasu, jak Fufecyusz złożył urząd pretora, stał się zwolennikiem zasad epikurejskich, innemi słowy zasady, która powiada: „używaj świata w całej pełni, niczego sobie nie odmawiaj!“ I używał też w całej pełni wszystkiego, czego serce i dusza zapragnęły, o ile u niego o duszy mogła być mowa, bo o duszę nie dbał wcale, tylko o wygodę i rozkosze ciała. Uczty u niego przechodziły wspaniałością wszelką wyobraźnię, stały się przysłowiowe. Cukiernikowi swemu, który piekł ciasta i sporządzał rozmaite słodczyce, kazał uciąć język, aby ich wprzód nie smakował. Piekarz jego musiał nosić maskę, aby oddechem swym nie zatrul ciasta. W czasie rozpustnych uczt występowały tancerki, a gladyatorzy wzajemnie się zabijali.

Teofil chciał się zbliżyć, lecz Fufecyusz wstrzymał go pogardliwym ruchem ręki, jakoby chciał powiedzieć: nie zbliżaj się, gdyż zanieczysz oddechem swym powietrze;

Jam obywatel rzymski, a tyś niewolnik, mniej wart, niż mój koń lub pies.

Teofil stanął przy drzwiach i czekał rozkazów.

— Niewolniku! — odezwał się Fufecyusz głosem, zwiastującym nieszczęście — Niewolniku, dlaczego pozwalasz chłopcom moim chodzić w takim skwarze po ulicach miasta? Dlaczego nie poszedłeś z nimi do teatru lub kąpielni? I czego ty ich uczysz?

— Uczę ich tego, czego, panie, uczyć rozkazałeś.

Teofil odpowiedział tylko na ostatnie pytanie, na pierwsze nie dał żadnej odpowiedzi. Zapachy drogich perfumów, rozchodzące się w tryklinium, tłoczyły pierś jego i tamowały oddech. Z współczuciem spojrział na uczniów swoich, którzy również zapachów tych znieść nie mogli.

— Mają się oni nauczyć czytać i pisać, na to cię kupiłem. Ale zakazuję ci, abyś im opowiadał o Chrystusie, jakkolwiek Neron chciał go już policzyć w poczet półbogów. Takich głupstw im nie pleć. Również nie nabijaj im głowy bajkami Ezopa i pieśniami waszego ślepego Homera. Starczy, jeżeli poznają Wergila Bukolikę, utwory Owida, a przede wszystkim zasady boskiego Epikura. Od dziś dnia będą siadali do stołu ze mną; sam chcę kierować ich wykształceniem, a ty będziesz mi pomocnym. Pracuj w tym kierunku i w tym duchu, a obdarzę cię wolnością.

— Kajusie Fufecyuszu! — odrzekł Teofil, — Piękna jest wolność; prawdziwą wolność nazywamy złotą; z chęcią czyni niewolnik wszystko, co jest w jego siłach, aby ją uzyskać; a jednak nie mogę uczynić tego, czego ode mnie żadasz.

— A to jest?

— Nie mogę ich zapoznać ze złubnemi zasadami Epikura ani niemożliwemi utworami Owida. Nie mogę tego uczynić, bo to jest postępienia godne, a dzieci twe kocham.

— Czy może to, co ja czynię, jest niegodne?

— Nie jest dobrem, panie!

Fufecyusz pobił z gniewu, a pochwyciwszy oszczep, rzucił nim na Teofila; ale gniew odebrał mu pewność rzutu i broń mordercza minęła ofiarę i uderzyła w amforę, napełnioną winem, która się rozprysła, oblewając posadzkę słodkim płynem.

Obydwaj chłopcy padli ojcu do nóg, błagając o litość dla nauczyciela.

— Nie czyni mu nic złego, ojcie! On taki dobry dla nas!

— Dobry?! Zniewieściejecie przy nim, ale na to jest rada: krew musicie widzieć, krew płynącą! Szkoda, że nie mam innego nauczyciela, gdyż naprzód jego krew byście widzieli. Gladyatorów przywołajcie! Nie wolnicy, czterech gladyatorów! Czego stoicie i nie ruszacie się? W tej chwili przywołajcie czterech gladyatorów, albo was śmiercią pokarzę!

— Ojcie — błagali chłopcy — pozwól nam pójść do ogrodu, to widok straszliwy.

— Wy się lękacie widoku krwi? Dla was to będą walczyli gladyatorzy, abyście krew płynącą widzieli, abyście byli mężami, a nie babami.

— Kajusie Fufecyuszu! — odezwał się Teofil — pozwól nam wyjść, gdyż to, co zamierzasz uczynić, jest niedobre i nie powinno kazić oczu synów twoich. Dał ci Bóg dzieci i zażąda kiedyś od ciebie rachunku. Jakże

odpowiesz za nich za skazanie ich niewinnej duszy?

— Milcz o Bogu twoim! Jakież to Bóg, który wisiał na krzyżu między dwoma zbrodniarzami! Nikt mu, prócz kilku rybaków, nie wierzył.

— Mylisz się, panie. Nietylko rybacy w niego uwierzyli, ale także uczeni w Piśmie stali się Jego uczniami. Ale w tem właśnie jest cudowność nauki Chrystusowej, że głosili ją biedni rybacy, a wobec tej nauki nie mogli ostać się uczeni pogańscy, bo prawda jest w tej nauce i dlatego zwycięża.

— Rzekniesz jeszcze choć jedno słowo, niewolniku, a każę cię ukrzyżować, jak to się stało twojemu Bogu i jak to uczynił Neron Piotrowi. Natychmiast wypijesz czarę wina na cześć Jowisza i wyznasz głośno, że Jowisz jest najwyższym bogiem. Niewolnicy, napełnijcie czarę winem i podajcie Teofilowi.

Uczyniono, jak pan rozkazał. Teofil czarę odtrącił.

— Panie — rzekł — nie spełnię tej czary, bom chrześcijanin. Gdybym Bogu stał się niewiernym, jakżebyś chciał, abym był wierny tobie?

W tej chwili weszli gladyatorzy.

Obydwaj chłopcy zwrócili się ku drzwiom, ale ojciec kazał ich zatrzymać.

— Macie być mężczyznami, a nie kobietami. Teofila przywiążcie do słupa, aby widział również krew płynącą, zanim jego popłynie.

Pochwycono Teofila i przywiązano do filaru podtrzymującego złożony sufit tryklinium.

— Najmłodszy z was — odezwał się Fufecyusz do gladyatorów — niechaj wystąpi.

I wystąpił naprzód młodzieniec silny, barczysty.

— Dwaj starsi niechaj pochwycą go za ramiona, a mocno, aby się nie wyrwał; jeśli się wam wyrwie — śmierć wam! A ty — zwrócił się do czwartego — wtłoczysz mu miecz między żebra. a będziesz wtłaczał pomalu, zupełnie pomalu.

— Panie, nie czyn tego! — błagał Teofil. — Nie odbieraj życia człowiekowi niewinnemu! Pamiętaj, że tylko Bóg jest panem życia i śmierci człowieka.

— Znowu mi pleciesz o swoim Bogu? Pokażę ci, kto panem życia i śmierci: potem na ciebie kolej!

Na dany znak pochwycił gladiator miecz i począł go pomalu wtłaczać w pierś młodzieńca; strumień krwi trysnął i oblał ręce kata. Biedna ofiara zasłepienia ludzkiego wyla się z bóleści. Celzus upadł zemdlony, a Licyniusz stał błądy z przerażenia. Nawet trzymający ofiarę gladiatorzy, przyzwyczajeni do podobnych widoków, odczuwali współczucie dla nieszczęśliwca. Jedyńy, który tym widokiem się bawił, był Kajus Fufecyusz. Cóż znaczy dla niego jedno życie ludzkie? On, obywatel rzymski, uważał niewolnika za przedmiot, za rzecz, którą może rozporządzać według swej woli. Na to istniały prawa pogańskie, i rzymianie w całej pełni z nich korzystali. Cesarz Augustyn kazał powiesić niewolnika, bo mu zjadł przepiórkę; jakiś rzymianin kazał upiec żywcem kucharza, bo mu podał nie-dobrze przyprawione mięsiwo.

Dopiero chrześcijanizm, głoszący zasady miłości bliźniego, zwyciężył i zniósł niewolnictwo. Chrześcijanizm pouczył, że wszyscy jesteśmy ludźmi, stworzonymi od Boga, a

przeznaczeni dla jednego celu, dla życia wiecznego, dla powiększenia chwały Boskiej.

— Wolniej tłocz! — zawołał Kajus Fufecyusz. — Chcesz mnie pozbawić przyjemności, psie podły?

W tem wpada gromada niewolników, białych od strachu, a wrzaski ich przygłaszają jęki konającego gladyatora.

— Panie, panie! — wołali wystraszeni.

— Czego chcecie? Kto wam pozwolił tu wejść? Batem was jak psów wypędzę.

— Panie, twoja i nasza godzina się zbliża....

W tej chwili odezwał się głuchy grzmot, którego głos jakoby skały urwiste powtarzały tysiące razy.

— Wezuwiusz wybucha ogniem i zasypuje Pompeje!

— Tchórze! — krzyknął Fufecyusz. — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale mu głos zamarł w piersi. Nowy huk, ziemia zadrziała, mury się zachwiały, świeczniki się poprzewracały, kamień spadający z sufitu, uderzył go w samo czoło i zabił na miejscu. Gladyator wepchnął miecz ofierze po samą rękojeść, aby skrócić cierpienia, niewolnicy rozbiegli się na wszystkie strony.

Teofil starał się uwolnić z więzów, aby dać pomoc swym uczniom, lecz nie zdołał przerwać sznurów. Dopiero gdy Celzus przyszedł do przytomności, ujął pozostawiony miecz i porościnał sznury, krępujące nauczyciela.

— Teofilu — odezwał się — to pewnie kara twego Boga. Nieraz nam opowiadałeś, że gdy się miara złego przebierze, Bóg za grzechy karze. Bóże chrześcianin, bądź nam pomocnym.

— Boże, ratuj nas! — zawołał Teofil uwolniony z więzów. — Uchodźmy, chłopcy, stąd, bo tu grozi nam zagłada. — Wybiegli na ulicę. Tłumy narodu biegały jak szalone, nie wiedząc dokąd uciekać. Nad miastem unosiły się chmury koloru ołowianego, z których sypał się gorący popiół i do białości rozpalone kamienie. Coraz mniej światła, coraz mniej oddechu: niema ratunku! Wrócił Teofil z chłopcami do atrium.

— Ogólna zagłada — rzekł, ale w głosie jego nie było rozpacz. — Umarzeć musimy, niema ratunku. Ale w śmierci jest radość, gdyż połączymy się z tym, który umarł dla nas na drzewie krzyża. Mówilem wam nieraz o Chrystusie, który powiedział, iż On jest żywo! wieczny, a kto w niego wierzy, nie zginie.

— Nauczycielu nasz! — odezwali się chłopcy. — Wierzymy we wszystko, coś nam opowiadał: twój Bóg jest prawdziwym Bogiem, twoja wiara prawdziwą wiara, i w tej wierze pragniemy umrzeć.

Uradowany Teofil wznosił oczy w niebo i dziękował Bogu za łaskę. Następnie zapytał uczniów swych, czy chcą być ochrzczeni, a otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, wziął miseczkę z czystą wodą, a kazuwszy im ukleknąć i modlić się, ochrzcił ich w imię Ojca i Syna i Ducha św.

Uciekł gwar na ulicach, a grzmiący Węzuw sypał coraz większą mogiłą dla tysięcy narodu. Gdy się uspokoił i słońko znowu zaświeciło, nie było już widać ani śladu tak bogatego da niedawna i ludnego miasta.

W naszych dopiero czasach zaczęto odkopywać Pompeję; dziś możemy chodzić po ulicach tego miasta umarłych i podziwiać zabytki sztuki i sposobu życia obywateli rzym-

skich. Na niektórych domach widnieją napisy: *Hic habitat felicitas* — tu mieszka szczęście. O jakże one znikome; znikło w przeciągu kilku godzin, a palec Boży napisał nad miastem, pogrążonem w rozkoszach: *Sic transit gloria mundi* — tak przemija chwała świata,



POKÓJ WAM

Powieść osnuta na tle prześladowań
chrześcijan za czasów Domicjana.

Opracował Antoni Stefański.

I.

Mrok zapadał, pokrywając różowawą obłoną Rzym i jego okolice.

W pięknym ogrodzie, w bliskości marmurowego basenu, gdzie kwitły precudne, pełne woni kwiaty, siedziała z złożonemi rękoma, z wzrokiem utkwionym w lasur niebieski Tulia Maxima. Siedziała nieruchoma, podobna do wykutej z kamienia statuy, w którą artysta wlał życie, myśl... Z wyrazu jej twarzy wyczytasz, że duch jej zajęty jest czemś bardzo ważnem, bardzo wzniosłem, że chwila ta — to może najważniejsza w jej życiu... Siedzi samotna w głębokiej zadumie, sama — z swojemi myślami; a dokoła uroczysta cisza, jak gdyby natura cała chciała samotność tę uszanować.

Włosy miała jasno-złotawe, oczy szafirowe, usta koralowe — Tulia była skończoną pięknością, a jednak była skromną, niestającą się podnieść swych wdzięków środkami sztucznymi, tak bardzo wówczas w Rzymie używanymi, nie tylko przez kobiety, ale także przez mężczyzn. W niczem nie naśladowała swoich rówieśniczek, które w próżności swej stawały całemi godzinami przed zwierciadłem, zdobiły się klejnotami, otaczały się grotem niewolnic, obowiązanych spełniać najmniejsze ich skinienia. Ubiierała się zawsze skromnie, a mimo to, kiedy przechodziła przez

poczekalnie domu ojca swego, bogatego i wielce poważanego patrycyusza, Aureliusza Sextusa, prefekta sycylijskiego i ulubieńca Cezara, czekający tamże na posłuchanie goście składali przed nią głowy z niezwykłą czcią, gwarry cichły, a wszyscy w milczeniu czekali, aż salę opuściła.

Był to czar, bijący z jej postaci, to czystość, słodycz, które więcej nad dostojęństwa nakazywały szacunek — nawet najwięcej zuchwałym.

A wszystko, co ją otaczało, nosiło znamie owej niezwykłej czystości: statuy, zdobiące tablinum (sala recepcyjna — do przyjmowania gości) i atrium (przedpokój) nie razily i najniewinniejszego oka. Obrazy w trichinium (jadalni) przedstawiały same ptaki i kwiaty... Aureliusz pragnął, aby niestosowne malowidła nie kazily wzroku jego jedynej, ukochanej córki.

W pałacu, w którym się chowała, wyrosła niewinna, jak lilia, zdala od burzliwego życia wielkiego świata; niewolnice kochały ją, bo i ona miłością je darzyła, dla każdej miała słowa pociechy, dla każdej szczodra rękę.

Zauważono, że od niejakiego czasu z jeszcze większem poświęceniem zaopiekowała się losem niewolinic, jak gdyby pragnęła, aby zapomniały, w jakim żyją poniżeniu.

Zajmowała się także biednymi i chorymi; odwiedzała w towarzystwie swej starej piastunki, Laodicei, chaty biedaków i niosła pomoc tam, gdzie bieda była największa; nawet zakaźne choroby nie zdołały jej powstrzymać w spełnianiu miłosierdzia.

Nigdy Aureliusz nie odmawiał córce, jeżeli go o co prosiła; nie żądał obrachunków

z wydanych pieniędzy, którymi hojnie szałowała, bo wiedział, że używała ich zacnie.

A jednak Tulia z dniem każdym stawiała się poważniejszą; często siadała na osobności z złożonemi rękoma, a wargi jej poruszały się z dziwną, niewysłowioną słodyczą.

Pewnego razu, kiedy w tak głębokiem siedziała zamyśleniu, zbliżyła się ku niej niespodzianie Laodice i rzekła:

— Pani moja, przyszedł ojciec twój, Aureliusz Sextus, a z nim Wirginiusz Fabiusz. Tulia zadrżała.

Wirginiusz!... szef wojsk kraju eisalpejskiego*, narzeczony Tuli!... Już trzy lata minęły, jak go straciła z oczu; po raz ostatni widziała go w świątyni Junony. opiekunki małżonków, gdzie mu zaprzysięgła, że zostanie jego żoną.

Usta jej drżały z przerażenia, a nogi, gdy powstała, chwiały się pod nią.

Zaledwie zdołała opanować wrażenie, Wirginiusz już stał przed nią, ubrany w tunikę i peplum (suknia rzymska), bogato haftowane.

Dokoła rozchodziła się woń perfumów, bardzo u Rzymian używanych; włosy jasne, posute złotawym pudrem, bo taką była wówczas moda; rysy jego twarzy szlachetne, nie bez pewnej wyniosłości, wyrażały energię, stanowiąc pewien kontrast do elegancji w stroju, świadczącej o zniewieściałości. Skłoniwszy się, rzekł:

— Aureliusz Sextus raczył mi pozwolić pozdrowić cię dzisiejszego wieczora. Od lat

*) Casalpejski, t. j. z tej strony gór alpejskich, od strony Rzymu.

trzech obraz twój towarzyszył mi. gdziekolwiek się obróciłem... Dzisiaj wracam do Rzymu z nowymi nadziejami... Cezar przyrzekł mi tytuł szefa wojsk rzymskich...

Tulia słuchała w milczeniu. W duszy odczuwała chłód, — kiedyś kochała go. a może i dzisiaj mogłaby go kochać, lecz niestety, rozdzielała ich przepaść nie do przebycia. Myśl, że ma go poślubić, przerażała ją.

Aureliusz, widząc zaambarasowanie córki, wyręczył ją i rzekł:

— Tulia, to dziewczę skromne, niezdolna ci odpowiedzieć, ale uradowana jest z twego powrotu — brak jej jednakże słów na wyrażenie ci tej radości. Przebacz jej... i pożegnajmy ją, senator Pomponiusz oczekuje nas, bo chce ostatecznie zwycięstwo twoje uczcić wspólną ucztą. Przechodząc przez triclinium, spostrzegłem, że klepsydra (zegar piaskowy) wskazuje drugą godzinę nocy (t. i. siódmą wieczorem), czas więc pośpieszyć.

Młody patrycyusz oddalił się natychmiast; twarz jego pokryła się chmura niezadowolenia, bo spodziewał się innego przyjęcia ze strony swej przyszłej żony, pani domu.

Z pierwszego tego spotkania wniósł wrażenie, którego nie mógł sobie wytłómaczyć; przeczuwał jakieś nieszczęście, tem więcej umysł jego przygnębiające, że nie wiedział, jakich rozmiarów być ono może.

Aureliusz pozostał chwilę jeszcze w domu

— Bardzo go chłodno przyjęłaś — odezwał się do córki, głaszcząc ją po twarzy. — Biedny Wirginiusz wyszedł bardzo rozgoryczony. Jutro pójdziemy do świątyni Jowisza na Kapitolu, bądź więc więcej uprzejmą.

— Ojcie, przebacz, że wam towarzyszyć nie będę...

Aureliusz spojrział na córkę wzrokiem niespokojnym... Tulia nie знаła kaprysów, czyżby była cierpiącą?

— Nie chcę cię do tego zniewalać; przecież zauważyłem, że od niejakiego czasu stronisz od świata, nigdzie nie wychodzisz, lubujesz się w samotności i przebywasz najczęściej w towarzystwie niewolnic... czy to jest godnem córki Aureliusza?

— Ojcie drogi, kocham je — owe biedne dziewczęta, niemające oprócz mnie nikogo na świecie, ktoby się ich losem zaopiekował. Ojcie mój, proszę cię, nie odmawiaj mi łaski, o którą cię błagam...

— I jakaż to!...

— Pozwól, że dam im wolność.

— Wolność? Ależ to szaleństwo!

— Ojcie, żaden człowiek niema prawa uważać bliźniego swego za swą własność!

— To ty tak sądzisz... Ponieważ nie umiem ci niczego odmówić, więc czyń, jako chcesz... Wirginiusz czeka na mnie, gotów się zanudzić, idę do niego.

— Ojcie drogi, dziękuję ci, Bóg ci za to błogosławić będzie...

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem cichym; zginęły one w fałdach peplum, którem nakryła usta.

Aureliusz nie zwrócił na nie uwagi.

Gdy Tulia została sama, zawołała głosem łagodnym:

— Laodice!

Stara piastunka wyszła z za kolonady, gdzie stała gotowa na zawołanie swej pani.

— Zawołaj niewolnice... chciałabym z nimi pomówić...

Jedno jedyne uderzenie w dłonie starczyło, aby wszystkie niewolnice się zjawily. Były między nimi niektóre bardzo piękne, o oczach czarnych, inne niebieskich, młodsze i starsze, pochodzące ze wszystkich zakątków świata — z Lygii, Tracyi, Bosforu, Kapado-cyi i t. d., świadcząc o zwycięskim pochodzie orłów rzymskich. Jedna z nich niosła pochodnię, oświecając drogę przez ogród.

— Moje miłe — rzekła Tulia — kazałam was zawołać, aby wam zwiastować wesolą nowinę: od dnia dzisiejszego przestajecie być niewolnicami... jesteście wolni!

Wszystkie dziewczęta padły na kolana.

— O pani, nie odpychaj nas od siebie, zatrzymaj nas, nie oddalaj nas... cóżby się stało z nami bez ciebie?

— I serce moje krwawiłoby się również, gdybym z wami miała się rozstać, ale odtąd będziecie mi siostrami...

Tulia zbliżyła się do nich, a biorąc każdą z osobna w objęcia, serdecznie ucałowała.

Pod gorącym jej pocałunkiem podniosły czoła, uczuły w sobie przemianę, że są również ludźmi. Wzrok ich, palający wdzięcznością, wypowiadał więcej, niż najpiękniej dobrane słowa.

Na dany przez Laodice znak opuściły komnatę.

— A teraz — odezwała się Tulia — czas, abyśmy poszły; noc bowiem zapadła.

Następnie weszła do komnaty mozaikowej, gdzie zwykle sypiała pod opieką swej starej piastunki. W narożniku stała pięknie rzeźbiona statua bogini Diany. Zbliżyła się

do niej, wzięła w rękę, przypatrzyła jej się i bez wahania rzuciła ją na posadzkę. Figura rozbiła się w drobne kawalki, głowa odpadła osobno, korpus, podstawa — wszystko się rozprysło.

Tulia nie długo się zastanawiała nad owem dziełem zniszczenia; zdjęła z szyi krzyżyk, który miała ukryty pod tuniką i powiesiła go na ścianie w bliskości łóżka; następnie podniosła ręką kotarę i wróciła do Laodicy.

Po chwili wyszły obie cicho na ulice miasta. Kiedy opuszczały próg domu, dreszcz niepokoju przebiegł po członkach Tulii, — nad miastem noc roztoczyła swe skrzydła, tylko gwar dolatywał jej uszu, coraz się wzmagający, świadczący, że miasto wrze życiem. Głuchy ryk lwów Domicyana, wydłozonych a czekających niecierpliwie nowych ofiar, mających im być rzuconych na pastwę, mieszał się z gwarem tłumów miejskich.

II.

Uczta, którą wydał Pomponiusz na cześć młodego zwycięzcy Ligurów*), miała się ku końcowi; uczestnicy, uwiencześni kwiatami róż i powoju, wodzili pijanym wzrokiem; nie już ich nie zajmowało, ani przedstawienie wyjątków z Iliady**), ani krwawe zapasy gladyatorów. Siedzieli nasyceni i pełni wina.

Tylko Aureliusz i Sextus i Wirginiusz Fabiusz zachowali zupełną przytomność umysłu. Pierwszy z nich odczuwał wstręt do uciech, jakim oddawali się patrycyusze, skłaniał się więcej do ideałów swej ukochanej Tulii. Nazywano go w Rzymie filozofem,

*) Ligurowie, naród, który zamieszkiwał północne Włochy.

**) Iliada, słynne dzieło Homera, uczonego greckiego.

ponieważ lubował się w naukach Sokratesa, Platona i Seneki: a jednak mimo starannych studyów nie znalazł w ich pismach owej prawdy, której szukał... Jeżeli szedł do świątyni Jowisza, czynił to więcej z szacunku dla wiekowych tradycji, niż z przekonań religijnych, gdyż i tutaj dręczyły go wątpliwości, i tutaj widział te same zbrodnie, będące właściwością owego wieku...

Innemi myślami był zajęty Wirginiusz: marzył o dostojenstwach, fortunie, laurach, które go czekały.... Cezar mu powiedział: jeszcze raz doświadczę wierności twojej... Jeżeli mi będziesz służył wiernie, uczynię cię szefem wojsk moich w Rzymie! I widział się już w swoim pałacu, otoczony strażą honorową, tłumy cisnących się do niego o protekcję, a obok niego Tulię, pania domu i serca swego... Wprawdzie dzisiaj przyjęła go chłodno, bardzo chłodno; ale czyniąc tak, czy nie uczyniła tego, jak to nakazuje zacność panieństwa?...

W tej chwili wszedł do sali liktor (posłaniec cezara) a skłoniwszy się przed Wirginiuszem, rzekł:

— Rozkaz od cezara dla Wirginiusza Fabiusza — i wręczył mu woskowe tabliczki. Zawierały one rozkaz, aby Wirginiusz przybył natychmiast do pałacu.

Podniósł się więc z miejsca, poprawił ubranie i opuścił, bez zwrócenia na siebie uwagi współbiesiadników, salę. Strugi wina, porozbijane amfory, połamane kwiaty, kawałki połamanej broni, leżące na ziemi, świadczyły o hojności Pomponiusza.

Aureliusz pozostał sam, lecz postanowił także po cichu wyjść i rozważał w duchu, jak-

by to uczynić, żeby tego nikt nie spostrzegł, gdy wtem jeden z jego najwierniejszych niewolników zbliżył się ku niemu.

— Panie, chciałbym z tobą mówić.

Aureliusz wyszedł za nim na terasę, z której rozciągał się widok na Rzym. Powietrze było czyste... gwiazdy świeciły na niebieskim firmamencie... przygluszony odgłos baletu dochodził ich uszu...

— Cóż się stało?

— Panie, nie mamy ani chwili do stracenia... Wirginiusz Fabiusz udał się dzisiejszej nocy z rozkazu cezara na połów chrześcian zgromadzonych w kamieniołomach.

— I dlaczego to mi mówisz?... Wiadomo, że chrześcianie są to ludzie niebezpieczni, śpiewają bezbożne pieśni i oddają się brzydkim praktykom.

— Panie, ten, kto tobie to powiedział, nieprawdę mówił... Chrześcianie są dziećmi Boga i zachowują najzupełniejszą czystość. Dowiodę ci tego przykładem: Tulia Maxima, ukochana nasza pani, znajduje się dzisiejszej nocy wśród nich...

— Córnka moja!... Ty majaczysz!...

— Nie, panie, nie majaczę... Znajduje się ona wśród nich w towarzystwie Laodicy; a gdy żołnierze cezara przybędą, pochwyca ją wraz z innymi. Jutro odbędą się zabawy w cyrku: Domicyan potrzebuje chrześcian.

— Ergasile, doprowadzasz mnie do rozpaczy... Gdzie gromadzą się chrześcianie?

— Niedaleko stąd, panie; zaprowadzę cię.

Wyszli...

Przez niewielkie drzwi wychodziło się na wąską uliczkę; przeszli więc przez nie i znaleźli się wnet na miejscu zupełnie odosobnio-

nem. skąd było widać wejścia do kamieniołomów. dawno już opuszczonych.

Ergasile szedł śmiało naprzód, iak człowiek, który zna drogę dokładnie; nachylił się, aby wejść do podziemia; droga była z początku wązka, później się rozszerzała, sklepienie stawało się, nim szli dalej, coraz to wyższe; po lewej i po prawej stronie zarysowały się jakieś dziwne kształty. Aureliusz dotknął ich machinalnie ręką, i zimny pot wystąpił mu na czoło: były to trumny...

Zdawała się dołatywały śpiewy, tak dziwnie łagodne, harmonijne, że można było powiedzieć, iż ci, którzy śpiewają, to duchy czyste; głos ich nie miał w sobie nic ziemskiego.

Ergasile pochwycił nagle pana swego za rękę.

— Stańmy tutaj; stąd możesz, panie, wszystko widzieć, sam nie widzian.

Stanęli w cieniu ogromnego, nieforemnego filaru. Aureliusz spostrzegł teraz przed sobą wielką salę, oświetloną pochodniami. Wielki tłum narodu wypełniał ją po brzegi, inni szli w procesyi droga, kiedy wprowadził Ergasile swego pana: byli tam starcy i młodzieńcy, były dziewczęta, były dzieci, byli niewolnicy, byli żołnierze cesarza wszelkiego stopnia i rozmaitej broni. Wszyscy poklekli, zwróciwszy twarz do ołtarza, na którym stał krzyż. Nastąpiła chwila oczekiwania, mimo niezliczonego tłumu, zaległa świątynię głęboka cisza. Po stopniach ołtarza wszedł z niemalą trudnością starzec, siwy jak gołabek, rozpostrzał nad tłumem ręce jak do błogosławieństwa i rzekł:

— Pax vobiscum!*)

*) Pax vobiscum — Pokój wam.

Na wszystkich twarzach, zwróconych ku starcowi, osiadł jakiś niebiański pokój, ów Boski pokój, który ociera łzy nieszczęśliwych, wypogadza czoła strapionych, posila słabych i chorych, nowem napelnia życiem zemdlałych.

A oczy obecnych pałały dziwnym, pełnym zachwycenia blaskiem.

Aureliusz szukał wzrokiem córki; nareszcie ją zoczył: podniosła się i szła z wolna ku stopniom ołtarza; ręce miała złożone, a błogi uśmiech krasił jej usta.

Ojciec porwał się i chciał biedz ku niej, lecz Ergasile go powstrzymał.

— Jeszcze nie! — wyszeptał, — Jezus woła ją do Siebie!... A z Jezusem nie targuj się, panie, o duszę!...

Nogi wypowiedziały patrycyuszowi posłuszeństwo, członki jego drżeć poczęły — i opadł na ziemię.

Starzec o długiej, białej brodzie, zbliżył się ku córce jego, klęczącej na stopniach ołtarza obok innych niewiast i mężczyzn, biednie ubranych, i rzekł:

— Tulio Maxima, czyś dobrze rozważyła?... Masz majątek, masz znaczenie... my nie, prócz cierpień i śmierci, na tej ziemi ofiarować ci nie możemy; ale w niebie czeka cię korona chwały, jeśli będziesz służyć Bogu, jak Pan przykazał...

— Chcę Bogu służyć! — odezwała się Tullia głosem uroczystym; a wśród ogólnej ciszy zdawało się, że wysokie sklepienia przybytku słowa jej potęgowały.

— A więc wolisz raczej śmierć ponieść, niż kłaniać się fałszywym bogom?

— Tak jest, ojcze; śmierć nie jest mi stra-

szna, bo przez nią połączę się z Jezusem, którego dałeś mi poznać i nauczyłeś kochać.

— Jesteś więc, córko moja, dobrze przysposobiona... Chrzczę cię w Imie Ojca i Syna i Ducha świętego.

W ten sposób postąpił starzec i z innymi neofitami i neofitkami.

Nikt z nich nie zawahał się w odpowiedzi.

Gdy skończył, mówił o Jezusie Chrystusie, który umarł na krzyżu dla naszego zbawienia, że trzeciego dnia zmartwychwstał własną mocą Bożą; że miał Apostołów, którzy wyszli w świat uczyć narody nauki Mistrza swego; że to, co mówił, słyszał z ich własnych ust; że poszli bez wszelkich zasobów, ale umocnieni Duchem św. — jako jagnięta między wilki, gotowi każdej chwili ponieść dla Boskiego Mistrza śmierć męczeńską. Mówił im o nieskończonem miłosierdziu Boskiem, o błogosławieństwie Bożem tym, którzy płaczą i narzekają, którzy pragną sprawiedliwości, którzy są miłosierni, którzy są czystego serca, a przede wszystkim, którzy prześladowanie cierpią dla Jezusa. Tłómaczył im, że trzeba przebaczać nieprzyjaciółom: Miłujcie nieprzyjaciół waszych... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i prześladują...

W krótkich słowach streścił Żywot Pana Jezusa, pełnych zapалу i miłości ku Zbawicielowi. Po wszystkich twarzach spływały z wzruszenia łzy, a na samo wspomnienie męki Boskiego Zbawiciela z piersi zebranych wydobył się jęk boleści.

Na zakończenie zmówiono wspólnie „Ojcze nasz“, a modlitwa ta płynęła spokojnie ku niebu; Aureliusz klęczał, serce jego stopniało jak wosk, było mu miło, było mu dobrze. —

chciałby tak słuchać noc całą, codziennie — wszystkie noce do końca żywota.

Modlitwa ucichła, — Aureliusz klęczał jeszcze; jakaś niewidzialna siła trzymała go w tem upokorzeniu samego siebie.

Już nie chciał wyrwać córki z tego „niebezpiecznego“ zgromadzenia; zapomniał o rozkazie cezara; dusza jego wzniosła się ponad ziemię, w niebieskie stropy...

Znalazł prawdę, której szukał daremnie w autorach starożytnych, którą przeczuwał, której się domyślał. A oto jest ona prawda, jedno tylko słowo zajmowało i oświecało umysł jego: Jezus!

Jezus — to Prawda! Znalazł Prawdę — bo znalazł Jezusa.

Ergasile tracił go po ramieniu, budząc z zachwyty, w którym się znajdował. Aureliusz spojrzał nań okiem błędnem.

— Panie, czas najwyższy — spieszmy!

Ale już było zapóźno... Z kurytarzy dołatywały głosy męskie, — to rozkazy dowódców i szezęk broni wojsk, które otoczyły katakomby.

III.

Ale chrześciance nie ruszyli się z miejsca. Poraz wtóry wyciągnął ponad ich głowami kapłan ręce i rzekł głosem spokojnym:

— Pax vobiscum.

Wirginiusz, który w tej chwili wkroczył na czele wojsk, zatrzymał się, zdjęty mimowolną czcią...

Błyszczący hełm i purpurowa, złotem haftowana tunika, odbijały dziwnie od biednych ubrań zebranych w podziemiach chrześcian,

Co mówi ów starzec... Głosi słowa pokoju w chwili, gdy cesarz śle mu śmierć.

Chrześcianie odwrócili się ku niemu, ale bez trwogi, bez broni, szli z hymnem świętym na ustach, którego głosu pełne było skłębienie.

Wirginiusz spodziewał się, że chrześcijanie będą się bronili rozpaczliwie; lecz gdy ujrzał, że wyciągają ręce, podając je dobrowolnie w łańcuchy, odczuł wstręt do spełnienia rozkazu cesarza.

W tejże samej chwili jakiś mężczyzna przedarł się przez tłum i upadł obok kobiety, klęczącej jeszcze na stopniach ołtarza.

Okrzyk zdziwienia i zgrozy wydarł się z piersi młodego patrycyusza:

— Aureliusz!

Tak, to on był... Aureliusz... odwrócił się twarzą w stronę Wirginiusza, a w objęciach trzymał ukochaną córkę.

— Tulia tutaj?! — zawołał Wirginiusz. Na wszystkie bogi, uciekajcie!

Ale Tulia dała mu do zrozumienia, że nie będzie korzystała z pozwolenia ucieczki i zrobiła znak Krzyża świętego.

— Nie — rzekła — jestem chrześcianką i będę dzieliła los braci moich...

— Aureliuszu, błagam cię... uprowadź ją!

Ale Aureliusz nie dał odpowiedzi...

— Nie mam prawa nią rozporządzać — odrzekł spokojnie nareszcie — należy ona do Boga...

— Jakto? To ty tak mówisz?...

— Tak jest, ja tak mówię, ja, Aureliusz Sextus, bo i ja jestem chrześcianinem!

Z okrzykiem radości rzuciła się Tulia

ojcu na szyję, a śliczna jej główka spoczęła na szerokiej jego piersi.

— O mój Boże! — wyszeptała — nigdy nie przypuszczałam, aby można tyle szczęścia zażyć na ziemi.

— Tulio! — zawołał Wirginiusz, zbliżywszy się ku niej — w imię Junony, pod której opieką odbyły się nasze zaręczyny, błagam cię, miej litość nade mną!...

— Wirginiuszu, nie wymawiaj w tym świętym przybytku, gdzie tylko Bogu prawdziwemu cześć się oddaje, imion bogów fałszywych.

— Tulio, wypowiedz jedno tylko słowo, a żołnierze moi przepuszczą cię.

— Tego słowa nie wypowiem, gdyż musiałabym zaprzeczyć się Pana naszego Jezusa Chrystusa. Wirginiuszu, czyń, jako ci rozkazano, bez względu na nas... Nie miej obawy o życie nasze... Wobec wiekuistej nagrody, którą zgotował Bóg wszystkim tym, którzy Go miłują, niema ono dla nas znaczenia.

— Tulio, mówisz, jakbyś postradala zmysły...

— Nie, Wirginiuszu, nam przyświeca Światło... To wy chodźcie w ciemnościach, ale będę błagała Boga, aby i ciebie do Siebie przyciągnął... Jesteś godzien, byś Mu służył. On jest, który zbawia i który leczę.

Tymczasem w kurytarzach poczęło żołdactwo szemrać. Dlaczego szef ich zwleka? Dlaczego nie każe tych „psów chrześcijańskich“ wiązać?... Czyżby chciał zawieść zaufanie cezara?

— Zdrada!... Słowo to doleciało uszu Wirginiusza; pod wrażeniem tej obelgi rzucił

się jak zwierzę ukąszony i głosem wściekłym z gniewu zawołał:

— Żołnierze, wiażcie wszystkich, którzy tu są.

IV.

Na krwią przesiąkłym piasku cyrkowym leżały syte lwy i tygrysy, lizące czasem od niechcenia nagie kości. Cezar sam siedział znużony...

Zanim opuścił łóżę, kazał przywołać do siebie Wirginiusza, ażeby mu wyrazić swoje zadowolenie i oznajmić nominację na szefa wojsk w Rzymie; ale wysłani liktorzy szukali go daremnie.

Nie mogąc uratować tej, która kochała nad życie, uciekł daleko od obrzydzenia wzbudzającego cyrku; okrył się płaszczem niewolnika i poszedł nasamprzód do pałacu, w którym wczoraj witał swą narzeczoną...

Wszystkie drzwi były otwarte, ale w pałacu ani żywej duszy. Przeszedł ogród, otwiera... nie spotkał nikogo. Niewolnice rozbiegły się jako ptaszki spłoszone srogą nawałnicą.

Wiedziony instynktem, skierował Wirginiusz kroki swoje na prawo i wszedł do sali mozaikowej — była to komnata Tulii. Na posadzce leżały kawałki marmuru... obejrzał się dokoła i wzrok jego padł na błyszczący nad łóżkiem krzyżyk. Znak ten już widział — na ołtarzu w katakombach, w opuszczonych kamieniołomach, gdzie pochwycił chrześcijan; ten sam znak uczyniła Tulia na czole, piersi i ramionach i zdaje się, że biedna męczennica w znaku tym czerpała siłę i męstwo.

Czyżby to miał być środek leczący wszystkie cierpienia? Nagłym ruchem ręki zerwał

Wirginiusz krzyżyk ze ściany i począł uciekać iak złodziej, obawiający się ujęcia...

Dokąd spieszył?... Sam nie wiedział. dokąd!... Gdy się zatrzymał, spostrzegł, że stoi przed otworem, wiodącym do podziemia. To miejsce opuszczone... owe kamienie... kurytarz... już je widział... Żaden głos z wewnątrz go nie dochodził, postanowił więc wejść...

Sala była pusta, tylko przed ołtarzem klęczał starzec siwowłosy... Był to Klemens, biskup rzymski, trzeci z rzędu następca Piotra św., widoma głowa Kościoła św., ten sam, który wylał wodę święconą na głowę Tulii...

Mimo że prosił, aby go także zahrano, żelazstwo pozostawiło go w przybytku, gardząc jego słabością...

Na szelest zbliżających się kroków odwrócił się, — Wirginiusz leżał już u stóp jego.

— Ojcie! — rzekł, jęcząc z bólu — jam zbrodniarz: porwałem ci najlepsze z twej owczarni owieczki.

— Poznaje cię.

— I przeklinasz mnie...

— Nie, lecz lituje się nad tobą!...

— Ojcie mój, ileż ja cierpieł... Siły mnie opuściły, nie mam odwagi do życia. I rzuciłbym się w fale Tybru, gdyby nie miał o Tulii... mówiła mi o „Świetle“ które zbawia i które leczy... Ojcie mój, skąd pochodzi światło, które kładzie uśmiech słodyczy na usta tych, którzy w największych umierań męczarniach?... Chciałbym się tego dowiedzieć... A może nie jestem godzien, abym poznał naukę, ja, który przelałem krew niewinną...

Klemens położył rękę na czole młodzieńca, u jego stóp klęczącego.

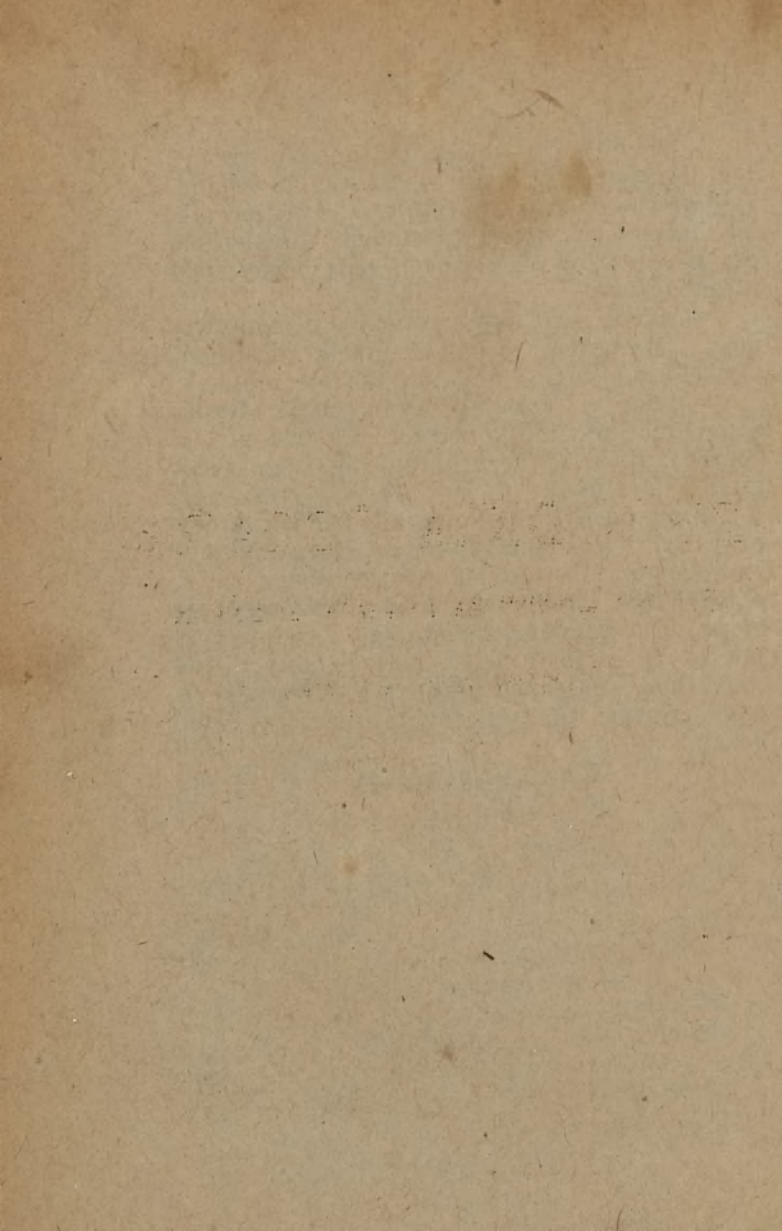
— Synu mój — pocieszał go, a z wzroku jego biła święta radość — Szawel prześladował wierne dziatki Chrystusowe, a jednak Jezus uczynił go Swoim apostołem. Miłosierdzie dla grzeszników, żalujących za grzechy, jest nieskończone.

— Ojcie mój, jęczę złamany u stóp twoich... Marzyłem o zaszczytach, dostojenstwach, miłości... a oto wszystko pierzchło...

— Bóg ci pozostał, synu mój! Boska wszechmoc jest nieskończona, miłość Jego bez granic... Rycerzu cezara, oto będziesz rycerzem Chrystusa...

I na pochyloną głowę młodzieńca, który przyszedł z rozdartą duszą do Boga mu nieznanego, jako do lekarza leczącego rany, położył ręce, a potem podniósł je w górę, obejmując tym ruchem i miasto całe i świat cały, jak gdyby zwrócił się do niewidzialnych duchów, napelniających przybytek, i wwrzekł te same słowa, któremi powitał wczoraj sierpacy;

Pax vobiscum.



ZBRODNIA CEZARA

Powieść historyczna z czasów Domicjana.

Opracował Antoni Stefański,

Skończyły się igrzyska. Dzikie bestye, syte krwi ludzkiej, wracały leniwie do swych klatek umieszczonych w podmurowaniach rzymskiego Kolosseum. 1)

Wszystkiemi bramami cisnęły się tłumy ludu upojonego widokiem rozlanej krwi niewinnych ofiar. Zmieszane głosy tej kilkudziesięciotysięcznej rzeszy zlewały się w głuchy pomruk, który było słyhać daleko poza murami miasta. Dobywwszy się z murów Kolosseum, rzesza ta rozlewała się w rozmaitych kierunkach. Nagle wśród tłumu zrobił się ruch; wszystkich oczy zwróciły się w jedną stronę i poczęto się cofać jakby pod parciem jakiejś olbrzymiej siły. Oddział uzbrojonych w fascety liktorów 2) rozpychał w brutalny sposób lud, sposobiac wolne przejście.

Niedługo ukazała się lektyka przystrojona drogiemi, szkarłatnemi materyami, niesiona przez ośmiu olbrzymich murzynów. Siedział w niej, oparty niedbale na łokciu, cesarz Domicyan. 3)

Na ustach jego osiadł uśmiech zadowolenia i pogardy. Wszyscy przejęci bojaźnią, cofali się; chylili się głowy, jak kłosa na polu, gdy po nich wicher przeleci.

Ażali to potomkowie owych walecznych, wolnych Rzymian z czasów Katonów i Graków, 4) dzisiaj podobni do stada niewolników, korzących się pod srogą pięścią tyrana?

Nie samo pospólstwo ugięło przed ciemieczą kolana; czyniły to i osoby z rodów

znanych w historii i z zasług, patrycyusze, których bogactwa czyniły niezależnymi, senatorowie, uczeni, — wszyscy bili czołem, już to z obawy, już też w własnym, lecz źle zrozumianym interesie.

Cesarz podniósł się nieco z siedzenia i rozkazał głosem krótkim niewolnikom swoim, aby przyspieszyli kroku; ręka jego, którą podniósł, aby wydać rozkazy, wypieszczona, przyozdobiona naramiennikami, opadła jakby ze znużenia na miękkie, jedwabne poduszki.

Duszne po dniu upalnym powietrze, było niezawodnie przyczyną znużenia cesarza, gniewał go gwar tłumu, gladyatorzy nie walczyli z takim zapalem, jak zwykle; nawet zwierzęta afrykańskie nie rozszarpały swych ofiar ze zwykłą dzikością. Krótco powiedziawszy, Domicyan się nudził.

Wodził wzrokiem dokola siebie i nie nie udało zająć jego uwagi. Wszędzie widział korzących się ludzi, a w oczach ich czyta niezmierzony przestach.

Wolałby prawie usłyszeć wybuchy nienawiści, zemsty, ujrzeć wymierzony w piersi swoje sztylet spiskowca, byleby cośkolwiek udało rozerwać znużony jego umysł.

To spowodowałoby przynajmniej jakieś wstrząśnienie.

Człowiek ten, syt uciech światowych, znieczulony już na nie, niepohamowany w nadużywaniu swej władzy, przemyślał nad czemś nowem, coby mogło jego nerwy podrażnić.

Gdy się zbliżył do palacu, służba, spostrzegłszy gniewny wzrok jego, brwi ściągnięte, usta skurczone, drżała z przerażenia. Strach przejmował wszystkich, poczynawszy od ostatniego niewolnika aż do panów i senatorów.

rów, którzy przybyli w największym pospiechu, aby wracającemu z cyrkowych przedstawień cesarzowi złożyć czołobitność swoją.

Spostrzegłszy, jakie wrażenie sprawił na całym swoim otoczeniu samem tylko pochmurnem wejrzeniem, przybrał wyraz twarzy łaskawszy, uśmiechnął się i skinął ręką na młodego patrycyusza, aby się zbliżył, by mu okazać łaskawość i wyjaśnić przyczynę swego niezadowolenia.

— Wśród otaczającego mnie przepychu — odezwał się cesarz — czuję się znudzonym. Mówią, że młodość ma polot i siłę: wymyśl więc coś, coby mnie mogło zainteresować.

— Panie, wojna przeciw zdradzieckim Seytom lub bezczelnym Germanom, wojna zakończona chwałą oręża twego, czyżby nie rozpędziła nudy twojej? — odrzekł młody patrycyusz, który należał przypadkowo do nielicznych naówczas wyjątków młodzieży rzymskiej jeszcze niezaputej.

Cesarz wzruszył lekceważąco ramionami, co stojący w oddaleniu świadkowie tej sceny uważali, że sprawa młodzieńca, potomka sławnych w bojach Marcellusów, wzięła dlań zły obrót.

— Wojna?... Dzieckiem jesteś, pomyśl to wcale nie nowy — odezwał się z politowaniem Domicyan. — Jakież niespodzianki może dać wojna temu, kto szerzył wśród nieprzyjaciół postrach, bił ich na głowę i święci bezustannie tryumfy zwycięstw? temu, który wyrwał Rzym z rąk obrzydliwego żołdaka z Bedriacusu, który pierwszy wkroczył do miasta po drgających jeszcze ciałach poległych i kazał Witeliusza i dumną Galeryę, na pół żywych z przestrasza, ukrytych w łożu oddźwiernego, w obecności swojej udusić?

Marcellus, onieśmielony, milczał.

— A więc nie innego, prócz wojny, nie umiesz wymyślić? — pytał Domicyan dalej tonem szyderczym. — A, niezgrabny z ciebie dworzanin. Na dworze trzeba być również obrotnym jak w bitwie i zawsze mieć nowy plan w pogotowiu. Jeżeli jeden zawiedzie, trzeba szybko front zmienić i postępować według innego. Ale oto Licyniusz, zręczniejszy od ciebie, z penością będzie umiał poradzić.

Zagadnięty z nienacka Licyniusz, uczynił niski pokłon — może dlatego, żeby ukryć zambarasowanie, albo, żeby zdobyć czasu do namysłu.

— Licyniuszu — zawołał Domicyan nieco zniecierpliwiony — czemu milczysz, jak statua Morfeusza, który od lat wielu śpi obok tego filaru z palcem na ustach... Sądziłem, że posiadasz więcej przytomności umysłu. Mogłeś zdobyć sobie łaskę moją... nie umiałeś wyzyskać okazji.

Domicyan odwrócił się plecami do przełkniętego senatora i stanął naprzeciw trybuna legionów, który stopień ten uzyskał z pewnością nie na polu walki, ale w przedpokojach cesarskich. Przemawiało zatem uniżone zachowanie się jego, nie będące właściwością synów Marsa. 5)

— Najjaśniejszy panie — odrzekł przebiegły trybun. — Życie w polu nie może zerwać szlachetnego umysłu cesarza. Powiem krótko i węzłowato: pewnego dnia, kiedy przypadnie uroczyłość ludowa i tłumy narodu zalegać będą ulice Rzymu, natenczas każ otworzyć klatki w Kolosseum i wypuścić zgłodniałe zwierzęta na ulice miasta. Rozpocznie się

niezwykła gonitwa, której można będzie przy-
patrzeć się z tego tu balkonu.

Usta cesarza nieco się uchyliły i lekki
uśmiech osiadł na nich.

— Myśl twoja, Formionie, nie zła — wy-
cedził od niechcenia — ale niewykonalna.
Lwy i tygrysy wypuszczone na wolność, nie
zechcą same do klatek wrócić, zagnieżdżą się
w lasach i staną się plagą kraju...

— Niechaj i tak będzie — pochwycił For-
mion — lecz czyż nie możnaby w tych ogro-
dach wznowić świeczników Nerona?

— Zapominasz, że Neron nie mógł pozo-
stać do końca „uroczystości“ z powodu wy-
ziewów, jakie wydobywały się z palących się
ciał ludzkich, smoły i siarki, któremi skazań-
ców oblepiono. Zresztą nie chcę nikogo na-
śladować, ale tworzyć „nowe dzieła“.

Nikt nie zdołał go zadowolić. Zapano-
wała głucha cisza, przygniatająca umysł;
wszyscy stali w milczeniu, lękając się gniewu
tyrana.

Domicyan stał zamyślony. Widma ofiar,
rzuconych drapieżnym zwierzętom na pożar-
cie, popalonych, pomordowanych, stawały
pewnie przed oczyma jego i wzywały kary
nieba na tego potwora w ludzkim ciele, któ-
ry będąc jeszcze pacholęciem, już dawał do-
wody okrucieństwa dręczeniem małych zwie-
rząt, jak owadów, ptaszków itd.

To dało powód dowcipnemu Wibiuszowi
Priscusowi, zapytanemu, czy nikogo niema
u cesarza Domicyana, do żartobliwej odpo-
wiedzi:

— Niema ani muszki...

Dowcip ten przypłacił życiem.

Priscus był nieodstępny towarzyszem
Domicyana. Aż dotąd prześladował cesarz

tylko nieprzyjaciół swoich; od tej chwili, jak gdyby grzechy pchały go w coraz większą przepaść, stał się niecznośnym, podejrzliwym, prześladowającym w równej mierze tak przyjaciół, jak i wrogów. Zstąpiwszy na tak pochylą drogę, nie zdołał się już cofnąć, ale co raz to dalej brnął w złem. Nikogo nie szczędził — ani dworzan, ani senatorów, ani przyjaciół, ani krewnych nawet. Najmniejsze przewinienia, — niebaczne słowo, gest, uśmiech źle zrozumiany, karał pozbawieniem dóbr, albo wygnaniem z kraju, albo — i to najczęściej — śmiercią.

Wszyscy spoglądali bojaźliwie po sobie, oczekując z drzeniem, jaki krwawy dramat w głowie tyrana się wylegnie.

Nagle rozległ się głośny śmiech i odbił się echem o marmurowe ściany sali. Dworzanie zadrżeli, nie rozumiejąc naglej wesołości cesarza. Przestrach ich jeszcze więcej go rozweselił

— Na wszystkich bogów! — zawołał Domicyan. — Mówią, że robię na was wrażenie głowy Gorgony.⁶⁾ Czyżbyście się obawiali igrzysk, jakie proponował Formion? Gotów jestem się założyć, że widzicie już płonący Rzym, pogorzeliska domów waszych, a nad tym obrazem — mnie laurami uwienconego, z lirą w rękę, natchnionego, wyśpiewującego treny nad ruinami miasta.

Lecz nie lękajcie się: nie lubię dymu i nie jestem poeta, jak Neron — obrzydliwy komedyant. Nie chcę więcej krwi rozlewu. Powiedziałem już wam, że to mnie znużyło i wzbudza we mnie wstręt. Nie bawią mnie już igrzyska cyrkowe ani widok umierających bez walki chrześcijan. — Pragnąłbym w tej chwili zapytać pastucha w polu, dzień

ki wiejskiej przy żniwie, skąd u nich ta wesołość? Chciałbym użyć tej rozkoszy, którą brat mój Tytus cenil ponad wszystkie inne, t. j. czynić dobrze wszystkim, widzieć dokoła siebie ludzi szczęśliwych, wesołych, kochających się miłością bratnią. Na Jowisza, 7) to jest myśl nowa! Domicyan powlókł wzrokiem po twarzach obecnych, a widząc ich zdziwienie, niepozbowione jeszcze lęklivości i nieufności, wyciągnął ku nim ręce i głosem wzruszonym tak dalej mówił:

Bądźcie wy pierwsi, na których łaska moja spłynie; bądźcie mi wiernymi przyjaciółmi. Ciebie, waleczny Marcellusie, podnoszę o stopień w randze i przyłączam do pretoryanów (gwardyi przybocznej). Ciebie, Licyniuszu, dotknąłem boleśnie, lecz nie omieszkam ci to wynagrodzić tak, abyś wyrządzoną ci krzywdę zapomniał.

Zgromadzeni patrycyusze nie wierzyli własnym uszom; oddychali ciężko, jak ktoś, co tylko cudem Boskim uszedł niebezpieczeństwu śmierci.

Widzieli w marzeniach świetną swą przyszłość; Marcellus pieścił się myślą, że stanie na czele pretoryanów, Licyniusz widział się już na innym wysokim urzędzie, niemniej Formion, chociaż cesarz już drugi raz do niego się nie odezwał: ale kto chce widzieć dokoła siebie ludzi szczęśliwych, tylko dobrodziejstwa świadczyć może.

Nazajutrz widziano patrycyuszów z twarzami promieniejącymi radością, a na ich czele Formiona i Licyniusza — wszystkich cesarz obdarzył dobrodziejstwami. Wieczorem zaprosił ich na wspólną wieszercę do wili Tibur, położonej w przecudnych ogrodach,

słynnych z prześlicznych tamże hodowanych kwiatów.

Gdy się zbliżyła wyznaczona godzina, patrycyusze w liczbie trzydziestu przybyli do wili. Domicyan już ich oczekiwał.

Podczas, gdy przysposobiano stoły do uczty, oprowadzał Domicyan zaproszonych gości po wspaniałych ogrodach tegoż ustrońia. A jakież to były ogrody — słynne na świat cały, prawdziwy labirynt najśliczniejszych alei; wspaniałe klomby, plantacye, zwolna w formie tarasy się schylające, pełne najcudowniejszych róż.

Lecz sądzićby można, że horda Wandaków przeszła przez owe pola różami kwitnące i pozbawiła krzewy kwiecica. Nigdzie ani dostrzedz kwiatu, gdzie niegdzie tylko leżała na ziemi różyczka, jakby w pośpiechu zgubiona, świadcząca o barbarzyństwie czynu.

Wszystkie krzewy róż bez kwiecica? — zapytał zdumiony Marcellus.

Domicyan się uśmiechnął.

— Kazałem je pozrywać — rzekł — niedługo je zobaczycie.

I dyskretnie szepnął Formionowi do ucha:

— Sprawię wam pod koniec uczty niespodziankę...

Formion, niedosłyszawszy nawet dobrze, w głębokim pokłonie wyraził cesarzowi wdzięczność swoją.

Już słońce zaszło, gdy się zbliżyli do wili. Białe jej filary odbijały się wesoło na ciemnem tle zapadającego zmroku.

Sala, przeznaczona na ucztę, była okrągła. Sklepienie jej spoczywało na filarach z porfiru (rodzaj krzemienia) mieniącego się rozmaitemi barwami.

Na znak cezara zajęli goście miejsca za stołami, siedząc na pół okrągłych łożach.

Była to uczta, przewyższająca kosztownością nakryć i podañ uczty Lukulusowe. 8)

Domicyan i goście rozkoszowali się potrawami, jakie sztuka kucharska zdołała wymyśleć. Zaspokoivszy pierwszy głód, poczęto swobodnie rozmawiać.

Krażyły kielichy; nieznana dotychczas w towarzystwie cezara swoboda, zamieniła się wkrótce w ogólną, niczem niehamowaną wesołość.

Sam Domicyan brał żywy udział w dysputach, rozwijał plany przyszłych reform w państwie, jakby kraj uszczęśliwić i pozwolić mu używać w spokoju owoców swoich zabiegów.

Wspomniał o planach zmarłego swego brata Tytusa, którego kraj dotąd oplakiwał; postanowił je obecnie wykonać i tym sposobem uczcić pamięć jego i zjednać sobie serca ludu.

Krażyły puhary coraz częściej a Domicyan zachęcał bezustannie do picia. Wino ma tę właściwość, że rozwiązuje języki, pobudza do wesołości; lecz użyte nad miarę, sprowadza znużenie.

Owe znużenie opanowało i towarzystwo nasze. Domicyan siedział milczący, a i goście stali się mniej rozmowni — przecież pito dalej.

Nagle spojrzeli goście zdziwieni po sobie. Miejsce, gdzie siedział Domicyan, było opróżnione; kiedy i jak opuścił salę, nikt nie wiedział. Lecz w tej samej chwili poczęły ze sklepienia spadać przepyszne róże, pozbawione zielonych listków.

— Oto zapowiedziana przez cesarza nie spodzianka! — zawołał uradowany Formion.

Spodziewano się powrotu Domicyana. Wszyscy poeci sposobili się do wygłoszenia na cześć jego improwizacyi; lecz Domicyan nie wracał.

Wnet pokryła się posadzka różnobarwnymi różami.

— Na Hebe! 9) — zawołał jeden z gości, w którego puhar wpadł ponsowy kwiat róży. — Oto poezya! Boski nasz Domicyan, sądząc, że już niezdolni jesteśmy wrócić do domów naszych, sposobi nam pod swym gościnnym dachem łożę z kwiatów.

— Oby cię tylko te kwiaty zbyt nie uciskały — odezwał się jeden z potomków Fabiusza, który, czując niemoc członków, spowodowaną nietyle nadużyciem wina, jak raczej usypiającą wonią kwiatów, przecierał niecierpliwie ręką czoło.

Zbyt długo trwający deszcz róż i nieobecność cezara poczęły niepokoić gości; nikt jednak nie chciał dać poznać po sobie trwogi, dlatego poczęto żartować i bawić się na nowo.

— Patrzenie — zawołał jeden z gości — Formion już śpi. Hej. Formionie, czy podobna, abyś już się upił, nie wychyliwszy do ostatniej kropli boskiego nektaru? Życie jest krótkie, tracisz drogi czas. Kto śpi, nie używa życia.

Trybun podniósł kilka róż, ułożył je sobie w formie wieńca na głowie i rzekł:

— Uwieńczmy skronie kwiatami róż, bo nam, młodzieży rzymskiej, kwiaty świeże przystoją. Życie ludzkie jako te kwiaty — odcięte od macierzy, wnet więdną...

I rozemiał się, lecz nikt mu nie odpowiedział. Głucha cisza zaległa salę. Spojrzał dokoła siebie i ujrzał stojącego pod filarem

Marcellusa, na którego tunica pouczepiały się ponsowe róże.

— Tyś blady, Marcelluszu, czyś chory?... Silna woń kwiatów mdli cię pewnie... może-
byśmy wyszli

— Chciałem wyjść — odrzekł przez zaciśnięte zęby Marcellus — lecz jesteście uwięzieni, nigdzie wyjścia niema.

Jakkolwiek po cichu słowa te wypowiedział, usłyszeli je wszyscy.

Z niezmiernym krzykiem rzucili się ku drzwiom, któredy weszli. Cofnęli się jednakże przerażeni, gdyż nie znaleźli ani śladu drzwi... Obchodzili wokoło sali, szukając wyjścia, albo przynajmniej śladu, gdzieby się mury schodziły. Bezowocne poszukiwania... Wszędzie, gdziekolwiek dotykali rękoma, czuli zimny marmur, nigdzie niespajany.

Nastąpiła okropna scena.

Ludzie ci, widząc niechybną swoją zgubę, poczęli biegać jak szaleni; wyciągali pięści w górę, grożąc tyranowi; chwyтали kwiaty, będące przyczyną zbliżającej się ich śmierci i ciskali je o ziemię.

Przeklinali własną łatwowierność, jeden drugiemu ją wyrzucając; przeklinali tyrana za jego zdradę, rozkoszującego się niezawodnie gdzieś w ukryciu widokiem ich powolnej śmierci.

Nagle spostrzegł Licyniusz człowieka, stojącego spokojnie w kącie, opartego o mur.

Dał ręką znak, aby się zbliżył. Radość błysła w oczach jego, gdyż poznał w nim niewolnika, usługującego wraz z innymi do stołu.

— Znasz tę wilę... możesz nas stąd wyprowadzić... spiesz więc!

Niewolnik uśmiechnął się smutnie.

— Nie jestem w stanie tego uczynić.

— Kłamiesz! krzyknął Licyniusz. — Nie chcesz zdradzić tajemnicy, ale wyrwę ci ją z piersi!

I pochwycił ciężką amforę, mierząc nią w głowę niewolnika.

Lecz to go nie ustraszyło, stał spokojnie, nie chroniąc się bynajmniej ciosu.

W tej chwili doskoczył Marcellus i wstrzymał rękę senatora.

Gdyby ten człowiek wiedział, kędy wyjść, samby z pewnością uszedł. Tracisz, Licyniuszu, przytomność umysłu.

— Zamknęto mnie wraz z wami, czy umyślnie, czy też przez nieuwagę — tłómaczył głosem łagodnym niewolnik, po którym niebyło znać ani śladu trwogi. — Cesarz sam zna tylko tajemnicę, jak się te mury otwiera lub zamyka; jeśli nas tutaj zamknął, to na to tylko, abyśmy pomarli.

— Milcz! — przerwał mu Formion — nie mów o śmierci... Może jest jeszcze nadzieja!...

Jakżeby ludzie ci, w kwiecie wieku będący, pragnęli wydobyć się z tej klatki, ujrzeć pogodne niebo, odetchnąć świeżem powietrzem. Daremne pragnienia.

Jakaś ręka niewidzialna sypała bezustannie kwiaty, coraz to gościej; pokryły one posadzkę tak wysoko, że już goście tylko z trudnością chodzić mogli. Zapach stawał się coraz silniejszy, coraz więcej odurzający; światła się przyemiły, rozpacz ogarnęła wszystkich biesiadników. Spokojnie stał tylko biedny niewolnik. Marcellus, widząc odwagę jego, zbliżył się mimowolnie ku niemu, aby upadającego ducha u tego prostego człowieka pokrzepić.

— Nie lekabym się śmierci na polu bitwy

— rzekł drżącym głosem — ale umierać tak nędznie, to okropnie!

— Śmierć nie minie nikogo — odrzekł niewolnik spokojnie. — Mniejsza o to, jaka kogo śmierć czeka, byleby nam otworzyła bramy do wiecznej szczęśliwości. Chrystus Pan chwały, Syn Boga żywego, umarł na krzyżu śmiercią uważaną za najpodlejszą, na jaką skazywano tylko zbrodniarzy...

Żywa rozmowa rozpoczęła się między niewolnikiem a senatorem, w której pierwszy był nauczycielem, drugi uczniem.

I gdy ciała biesiadników leży wśród rozpaczliwych krzyków na miękkiej pościeli z róż, Marcellus poznał już tajemnicę prawdziwej wolności, której nie zdołają ujarzmić ani kajdany ani mury więzienne.

Na drugi dzień zeszedł Domicyan do sali, którą zamienił na grób dla trzydziestu młodzieńców z najdostojniejszych rodów. Niepomniernie się zadziwił, gdy wśród zwłok z powykrzywianemi od nienawiści i strachu twarzami spostrzegł dwie postacie w bratnim uścisku, a na twarzach ich ujrzał słodki uśmiech i niebiański spokój. Były to zwłoki senatora Marcellusa i biednego niewolnika — chrześcijanina, który go pouczył, jak trzeba umierać.

***) objaśnienia.**

1.) Kolosseum, sławny amfiteatr rzymski. Amfiteatr jest to budynek bez dachu, przeznaczony na przedstawienia teatralne i rozmaite igrzyska. Największym amfiteatrem było rzymskie Kolosseum, którego budowę rozpoczął cesarz rzymski Wespazyan a dokończył syn jego Tytus. Wspomniane Kolosseum było w przecięciu 85 metrow długie a 150 metrow szerokie; wewnątrz wolny plac w kształcie elipsy t. j. spłaszczonego koła, nazywał się areną. Dokoła wznoszącego się muru, który otaczał arenę, było siedem

sily się stopniowo miejsca dla widzów: na najwyższym stopniu stał rząd filarów z konsolami, na których umieszczano maszty i rozpinano kosztowne ko-bierce dla osłony od słońca lub deszczu. Pod areną były kurytarze. Cała budowa spoczywała na mocnych fundamentach a dokoła w podmurowaniach znajdowały się klatki dla zwierząt drapieżnych. Kolosseum to mogło pomieścić 80 tysięcy osób, według nowszych obliczeń 50 tysięcy.

2.) Liktorowie, byli to słudzy cesarscy, którzy torowali cesarzowi wśród tłumów drogę i pilnowali, aby mu należną cześć oddawano. Nosili oni »fascēs«. Fascēs jest to po łacinie »wiązki«. Owe więc »fascēs« były to wiazki różg, w których sterczał topór. Takie wiazki różg z toporami nosili przed cesarzem lub urzędnikiem, mającym »imperium« czyli najwyższą władzę, gdy się na ulicy pokazywał, liktorowie. »Fascēs« było symbolem najwyższej władzy.

3.) Domicjan, cesarz rzymski, syn cesarza Wespazjana a brat Tytusa. Objął tron po bracie swoim w. r. 81 po narodzeniu Chrystusa Pana. Początkowo panował umiarkowanie, pragnąc zjednać sobie zaufanie ludu. Gdy to mu się udało, zrzucił maskę obłudy i począł w najokrutniejszy sposób prześladować tych, którzy przyczynili się do ubezpieczenia mu tronu i sprawowania rządów.

4.) Katonowie, Grakowie, imię zasłużonych rodów rzymskich z drugiego wieku przed Chrystusem. Byli waleczni i dbali o czystość obyczajów i hart ducha, podnieśli kulturę w kraju. itd.

5.) Mars był to u Rzymian bóg wojny, dlatego nazywamy żołnierzy synami Marsa.

6.) Jowisz albo Zeus, najwyższy pogański bóg starożytnych Greków i Rzymian, pan jasnego nieba, władał piorunami, rozkazywał innym bogom itd.

7.) Lukulusowa uczta. Tak nazywają urzędę obfitą, i wystawną, według rzymskiego wodza Lukulusa który żył w I. wieku przed Chrystusem a urządzał ucztę kosztowne i wyszukane.

8.) Hebe nazywała się grecka bogini młodości, podająca napoje bogom.



ZNAK Z NIEBA

Powieść historyczna z czasów Domicjana.

Opracował Antoni Stefański.

Bojownicy Chrystusowi.

Purpurowem światłem oblalo wschodzące słońce mury wiecznego miasta. Cała wokoło natura budziła się do życia. Ptaszęta wychylały ciekawie główki z gniazdek, a widząc, że już dnieje, opuszczały je, i siadając na najbliższych gałązkach, witały wesolym szczebiotem dzionek Boży.

Podobnie i w samym Rzymie z dnia brzaskiem budziło się życie, a nim wyżej słońko wschodziło na niebie, tem żywszy ruch uwidoczniał się w mieszkaniach i na ulicach miasta. Liczni niewolnicy, pełniący służbę, uwiązali się w gorączkowym pośpiechu.

Przy jednej z najpiękniejszych ulic znajdował się pałacyk skromny, ale elegancki. Był on tak zbudowany, że w środku mieścił ogród otoczony kolonadą. Kolonada ta była pokryta dachem, tak że mieszkańcy, używający w ogrodzie świeżego powietrza, mogli w razie niepogody schronić się pod nią. Z każdego pokoju wychodziły na kolonadę osobne drzwi; posadzki pokoiów wyłożone były przepysznymi malaturami i rzeźbami. Umeblowanie składało się z foteli bez poręczy, łóżek z brązu i stołów z drzewa klonowego, których nogi były z kości słoniowej, artystycznie rzeźbione.

Z przedsionka, ozdobionego również przepysznymi freskami i rzeźbami, wchodziło się do „atrium”¹⁾. I tu,

¹⁾ Atrium, tak nazywał się u starożytnych rodzaj krytego portyku, złożonego z dwóch szeregów kolumn, tworzących trzy długie sienie, jedną szerszą w środku, a dwie po bokach węższe.

gdzie tylko rzucisz okiem, wszędzie spostrzeżesz dzieła sztuki. Naprzeciw wejścia znajdował się salon gościnny. Wchodzącego uderzał natychmiast fresk alegoryczny: „Przyszłość“ zakryta osłoną, którą „Czas“ odsłaniał końcem swego skrzydła.

Na prawo znajdowała się komnata do odpoczynku, na lewo pokój konwersacyjny, dalej znajdował się salon przeznaczony na ucztę, a stąd można było widzieć w głębi ogrodu kapliczkę, w której dawniej ofiarowano bogom. Dziś stała ona pusta, bo właścicielką domu była Estera, wdowa, wyznająca Boga chrześcijan.

Już słońce wzeszło wysoko na niebie; niewolnicy wnieśli do salonu jadalnego stół zastawiony potrawami. Do stołu zasiadła Estera z dwojgiem dzieci. Wyraz jej twarzy majestatyczny, łagodny, rysy piękne, zmieniły je nieco troski i smutki, mniej zęb czasu. Aureliusz, syn jej, usiadł z jednej, Marya, córka, z drugiej strony.

Podczas posiłku, składającego się z miodu, jaj, ciast i owoców, odczytywał jeden z niewolników ustępy z Sofoklesa⁴⁾. Po śniadaniu zajęła się Estera ręczną robótką. Marya wzięła lutnię do ręki, grała i śpiewała matce najulubieńsze jej pieśni. Twarzyczka jej blada, bez najmniejszego rumieńca, włosy jasne, spadające w bujnych splotach na białe jak alabaster ramiona, oczy niebieskie, rzęsy długie, czyniły ją podobną do anioła, przebywającego na ziemi w służbie Pańskiej.

Wśród miłego zajęcia nie zauważyła Estera, iż nicbo się zachmurzyło, a głuchy pomruk grzmotu zapowiadał zbliżającą się burzę. Błyskawice poczęły pruć powietrze, ciężki grzmot wstrząsnął murami pałacyku. Aureliusz wybiegł niepostrzeżenie do ogrodu, aby przypatrzeć się wspaniałemu wídownisku. Bo jakież wspaniałszy może być widok nad rozszałalą burzę, kiedy niebo całe drga jakby w płomieniach, a huk grzmotu wstrząsa posadami ziemi!

⁴⁾ Sofokles, największy poeta grecki.

Jeżeli wszędzie i każdej chwili, gdzie tylko spojrzymy, mamy sposobność podziwiać i wielbić Boga, który i w najdrobniejszych rzeczach daje nam dowody swej dobroci a zarazem wszechmocności, to w czasie burzy, gdy niebo gorze, potęga Boska, trzymająca na uwięzi rozszalałą naturę, w szczególniejszej przedstawia nam się wielkości. Patrzymy na niebo z uwielbieniem dla Pana i Rządcy świata i szepcemy cicho modlitwy o odwrócenie szkód, jakieby burza sprawić mogła.

Z uwielbieniem spoglądał na niebo Aureliusz, w którego duszy zaszczepiła matka głęboką miłość Boga.

Pierwsza spostrzegła nieobecność Aureliusza Marya i czempredzej wybiegła do ogrodu, aby go upomnieć, by wrócił.

W tem oślepiający błysk przeszył powietrze i grom uderzył w słup, stojący o kilka kroków przed Maryą. Biedna — chce iść dalej, chwytając dookoła siebie rękoma, nie może kroku zrobić — i pada zemdlona na marmurowe stopnie.

Gdy odzyskała przytomność, otaczali ją już wszyscy domownicy: Estera, Aureliusz, piastunka jej, Faustyna. Ostatnia tuliła ją w swoich ramionach i obsypywała pieśczołami. Niestety, anioł boży zamknął jej powieki — nie widziała. Daremnie starała się biedna otworzyć oczy; a wyciągając błagając ręce w stronę jakiegoś niepochwytanego przedmiotu, zawołała głosem bolesnym: „Boże mój, jakaż ciemność wokoło mnie! Matko moja, otwórz mi oczy!”

W tej chwili pojęła Estera cały ogrom nieszczęścia: — Ach! — zawołała — córka moja niewidoma!

Zachwiały się pod nią nogi, zsunęła się na kolana, a chyląc głowę ku zimnym marmurom, błagała Boga o uzdrowienie córki.

Daremnie! — niezbadane są drogi Opatrzności.

Od chwili owego nieszczęśliwego wypadku poświęcił się Aureliusz jedynie siostrze swojej. Razem z nią

przebywał, wyprowadzał ją na przechadzki, chodził, gdy noc zapadła, do katakumb¹⁾ na nauki — i tak wzrastali pod czulą opieką matki w łasce u Boga. Marya stała się coraz piękniejsza, coraz więcej anielską — niestety, żadna sztuka ludzka nie zdołała wrócić jej wzroku.

Nieszczęście nigdy nie chodzi samo, powiada przysłowie. Nowy cios miał spotkać Maryę i Aureliusza. Ta, którą nazywali matką swoją, ciężko zaniemogła. Kiedy wszelkie zabiegi lekarzy okazały się daremnymi i poznała Estera, że koniec ziemskiej jej wędrówki się

¹⁾ Katakumby są to podziemia, pieczary. Pod całym Rzymem, a miejscami i pod Kampaniją rzymską, rozciągają się przestronne podziemia, z których wydobyto jeszcze przed erą chrześcijańską ziemię wulkaniczną. Pierwsi chrześcijanie znaleźli więc już owe wewnętrzne ziemie kryjówki i już za czasów Nerona chronili się do nich — tak dla uniknięcia prześladowań, jakoteż dla odprawiania tajemnic swych obrzędów. Rozprzestrzenili oni powoli te podziemne przechody, stworzyli labirynty sobie tylko znajome i przeznaczyli je nie tylko na miejsce schadzek i nabożeństw, ale i na miejsce spoczynku dla swoich umarłych. Pogański zwyczaj palenia ciał nie zgadzał się z zasadami chrześcijańskiej wiary, a że niebezpiecznie by było oczom pogan pokazywać nagrobki z chrześcijańskimi godłami, więc część tych ciemnic posłużyła na cmentarze, a tak podziemne miasto ukrywało w swem łonie zarówno żywych jak umarłych. Duch bratniej miłości, jaki pierwotnie gminy chrześcijańskie ożywiał, nie pozwalał rozdziału nawet poza ziemskim życiem. Każda z gmin wspólne miała groby, a węzeł, łączący rodzinę chrześcijańską, nie kończył się ze śmiercią. Chrześcijanin przechadzał się w katakumbach z myślą, że tu, gdzie za życia szukał schronienia, gdzie dusza jego pokarm duchowy i siły czerpała, i ciało kiedyś znajdzie spoczynek. Ta ciągła obecność grobów miała podczas krwawych prześladowań wielki wpływ i znaczenie. Wciąż uobecniona pamięć zabitych i okrutnie pomordowanych, była dla żyjących bodźcem i siłą do wytrwania w wierze, za którą tylu śmierć męczeńską poniosło. W pieczarach, piętrzących się jedne nad drugimi, przy zwłokach męczenników, którzy ponieśli śmierć krwawą, stawiono flaszczykę z ich krwią. Pod starożytnymi ulicami: Apijską, Lawikańską i Prenestyńską znajdują się katakumby, rozchodzące się na rozmaite stro-

zbliża. przywołała dzieci swoje i kazała im usiąść przy swem łożu.

— Bóg miłościwy — odezwała się głosem słabym, podobnym do szeptu — powoła mnie niedługo do siebie. Błogosławiłabym tę chwilę, gdybym was nie zostawiała wśród świata tak bardzo zepsutego. Mam jednak nadzieję w Bogu, że was nie opuści, że z nieba wysokiego będzie otaczał was swoją świętą opieką i poprowadzi kroki wasze do pewnej przystani. Znoście cierpliwie wszelkie cierpienia; wiedźcie, że wszystko, co Bóg na was dopuści, nie jest bez przyczyny. Opatrzność Boska ma swoje cele. Życie ziemskie, to szkoła, w której mamy się przysposobić do życia wiecznego. Pragnęłabym w ostatniej tej chwili w jak najwymowniejszych słowach przedstawić wam szczęście, jakie daje Wiara św.; lecz anioł śmierci już się zbliża; oczy moje znużone już się zamykają do snu długiego, który nazywamy śmiercią, a jest to tylko przejściem do życia wiecznego. Bóg miłościwy raczy mi przebaczyć, że ostatnią tę chwilę życia mego wam poświęcę. Aureliusz i ty, Maryniu, nie jesteście dziećmi moimi, ani ja matką waszą.

— Pewnego razu, kiedy wracała z nabożeństwa, a była wienczas noc ciemna, usłyszałam nagle w bliz-

ny: św. Wawrzyńca, św. Agnieszki, św. Sebastjana i św. Kaliksta. Liczba męczenników, pochowanych w dwóch tylko katakumbach, św. Sebastjana i św. Kaliksta, wynosi 147 tysięcy, a pomiędzy nimi 46 papieżów. Wielką liczbę nagrobków i innych pamiątek z katakumb złożono w muzeach chrześcijańskich w Rzymie. Najdawniejsze nagrobki chrześcijańskie nie mają na sobie żadnych znaków, ni rzeźby, tylko napisy zazwyczaj krótkie, a zawsze wzruszające swoją prostotą. Zasada chrześcijańska: życie po śmierci i spokój na łonie miłosiernego Boga, wyrażają się tu nieustannie. Imię Zbawiciela wyrażone najczęściej dwoma pierwszymi literami. Jednocześnie pojawiają się na nagrobkach palmy, godło zwycięstwa męczenników, kotwice, godło nadziei, dalej rybki, pod którymi rozumieją się dusze chrześcijańskie, według słów Zbawiciela do apostołów wypowiedzianych: zrobię was rybołówcami ludzi.

kości płacz dziecięcia. Zatrzymałam się na chwilę, a potem udałam się w miejsce, skąd mnie głos dochodził. Chłopczyk, liczący około lat trzech, siedział na odlamie przewróconej kolumny — a było to miejsce puste, ustronne — i płakał rzewnie; drugie dziecko leżało obok niego na ziemi i spało. Biedna Maryniu, twój oddech na mokrej, zimnej ziemi, był również spokojnym, jak niemowlęcia u piersi matki. Od Aureliusza nie mogłam się nic więcej dowiedzieć, jak tylko, że mu zimno, że się boi, że niedobry sługa wyprowadził was z domu i pozostawił w tem odludnem miejscu, przyrzekając wnet wrócić. Deszcz padał drobny, przenikliwy; nie czekając więc powrotu sługi, wzięłam Marynię na ramię, a ciebie, Aureliusz, za rączkę i zaprowadziłam do siebie. Przez kilka dni z rzędu oprowadzałam cię po mieście, spodziewając się, że ktośkolwiek cię pozna i doniesie rodzicom. Daremne były moje zabiegi. Straciwszy nadzieję odnalezienia rodziców waszych lub jakichkolwiek krewnych, przyjęłam was za dzieci własne. Byłam wdową, nie zależałam od nikogo, tylko od samego Boga, to też Bogu was poświęciłam: kazałam was ochrzcić i dałam wam imiona: Aureliusz i Marya. Pierwsze słowo, które usłyszałam z ust Maryni, było „mamol“ O jakże byłam szczęśliwa, jakże się rozkoszowałam, słysząc tak słodki wyraz. Marynia powtarzała go częściej, wyciągała do mnie rączkę, a ja ją jako matka pieściła.

Tutaj zatrzymała się na chwilę Estera, aby odechnąć; a potem z mozołem wsparła się na lokciu i wyjęła z pod wezglowia małą szkatułkę. Znajdował się w niej medalionik z drogiego kamienia, a na nim był portret kobiety, a pod portretem podpis Laodicea. Medalionik ten wisiał na złotym łańcuszku.

— Otóż, Maryniu — mówiła dalej Estera — medalionik ten wisiał na twojej piersi i może przy pomocy tegoż uda wam się dowiedzieć, kto są rodzice wasi. Zbliź się do mnie, dziecko, niechże zawieszę na

piersi twojej portret prawdopodobnie twej prawdziwej matki.

Dobywszy ostatnich sił, przełożyła łańcuszek przez główkę Maryni, a czyniąc w powietrzu znak krzyża świętego, dodała głosem urywanym:

— Boże, bądź im ojcem i opiekunem.

Głowa jej opadła na poduszki, ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi, ręce i nogi kurczowo się wyprężyły — a dusza czysta uleciała przed tron Najwyższego.

— Matko nasza! — zawołały dzieci razem i rzuciły się ku niej, obsypując pocałunkami.

Ale matka ich już nie słyszała, już im nie odpowiedziała. Zostały biedne dzieci sierotami, same na tym świecie. Mimo licznej służby, która, przez pamięć na dobrą panią, została wierną i dzieciom, pusto było w pałacyku. Nieraz nasłuchiwała Marynia, ażali Matka nie idzie — napróżno...

II.

Dyoklecyan — oto jedno z tych imion, które krwawemi zapisały się głoskami w dziejach chrześcijaństwa. Pochodził on z niskiego rodu, był synem niewolnika, którego pan, senator Aureliusz, udarował wolnością. Zaciągnął się za młodu do wojska pod imieniem Doklesa, — nazwisko od dalmackiej wioski Doklia, skąd pochodziła matka jego; później zwał się Dyokles, a ostatecznie Dyoklecyan. Przybrał nadto przydomki Waleryusza, Aureliusza, przez próżność i chęć szczytowania się przodkami, których nie miał. Postępował wnet w stopniach wojskowych, aż został dowodzącym gwardyi cesarskiej w chwili, gdy umarł cesarz Numeryon, zabity przez własnego teścia. Wojsko okrzyknęło Dyoklecjana cesarzem. Początkowo rządził rozamnie i sprawiedliwie, ale był to tylko płaszczyk dla pozyskania sobie umysłów poddanych. Późniejsze lata były pasmem zbrodni, a mianowicie rozkaz prześladowania

chrześcijan. Jakież to było okrutne prześladowanie! Rzeź prawdziwa, krew niewinna lała się strumieniami! Inaczej działo się w cesarstwie rzymskim, kiedy powstawało do życia. Chwały szukał rzymianin na polu walki z wrogami, a bawił się w zapasach rycerskich. Dziś duch rzymian przygnieciony brzemieniem wieków, zniewieściał, znikczemniał, bawił się widokiem umierających a bezbronnych chrześcijan, ginących od szpon drapieżnych zwierząt. Przekładali chrześcijanie życie wieczne nad doczesne i szli na śmierć z radością jak tryumfatorzy.

Od czasu śmierci Estery żyła Marya zupełnie odosobniona od ludzi i świata. Mimo nieszczęścia nie oddawała się rozpacz; Chrystus, Zbawiciel świata, przez niewdzięczny lud bity, cierniem ukoronowany, na krzyż przybity, żółcią napojony — był jej wspomogieniem w niedoli. O jakże pragnęłaby żyć w tym czasie, kiedy Chrystus Pan chodził po ziemi, i usłyszeć z ust Jego słowa: uzdrowionaś, córko moja, iżeś uwierzyła. Gdy jej takie pragnienie w duszy się odezwało, schylała główkę z poddaniem się woli Bożej i przypominała sobie naukę matki, że życie doczesne, to szkoła, w której mamy przygotować się do życia wiecznego.

Pewnego razu, gdy wróciła do domu z nabożeństwa w katakumbach, oparta na ramieniu niewolnicy, zastała przed domem rozpaczającą Faustynę.

— Panienczko! — wołała Faustyna, szlochając głośno — nieszczęście!... przyszli słudzy cesarza i zabrali Aureliusza!... Gdyby panienczka tutaj była, z pewnością ją też wzięli. Uciekaj, panienko, z tego przekłętogo miasta! Oto spakowałam wszystkie kosztowności — uciekaj!

— Nie, dobra Faustyno, nie ucieknę! — odezwała się ze spokojem Marya. — Albo uwolnię brata mego, albo jego los podzielenę. Zabierz się i chodź ze mną, Faustyno!

— Dokąd?

— Do cesarza...

III.

Był to dzień Saturnalii. Uroczystość to rzymian na uczenie bożka Saturna, za którego rządów, jak podanie głosi, były błogie czasy dla ludzkości; panowała wówczas równość i wolność powszechna. Przypadała uroczystość ta na 17 grudnia i trwała trzy dni. Saturnalie były jedną z największych uroczystości w roku, podczas której wszyscy bez wyjątku — tak panowie, jak niewolnicy — niepomiernej oddawali się radości i zabawom. Wówczas przymus i różnice stanów nikły, oraz wszelkie ustawały czynności i sprawy publiczne. Wielkie wyprawiano biesiady i uczty, podczas których niewolnicy wraz z panami zasiadali do stołu. Straszliwe to było święto, odznaczające się bezmiernem pijaństwem i wyuzdaniem.

Na ulicach Rzymu roilo się od pijanych winem tłumów; kobiety biegaly zdziczone, z rozrzuconym włosem. Dzikie wrzaski rozlegały się daleko poza murami miasta. Wśród tego tłumy szła Marya, postępując wolno i pytając o drogę do pałacu cesarskiego, szła sama, bez Faustyny, od której ją tłocząca się rzesza ludu rozdzieliła. Spostrzegło ją grono artystów i poetów i patrzeli z podziwem na jej piękność.

— Jakże ona piękna! — zawołał jeden z nich.

— Bogini, nie kobieta — zawtórował drugi poeta.

— Znam ją! — odezwał się ktoś z ubocza. To chrześcijanka...

— Nie! — obstawał przy swoim poeta — to bogini, prawdziwa bogini.

— Jest chrześcijanką, niewidomą od dzieciństwa, córką Estery.

— Kłamstwo! — wtrącił jeszcze ktoś inny.

— Jeżeli nie jest chrześcijanką, niech ofiaruje bogom! — odezwało się kilka głosów naraz.

W tej chwili zaczęły się tłumy rozstępować, aby zrobić miejsce lektyce, niesionej przez niewolników. W lektyce siedziała patrycyuszka. Kazała stanąć niewolnikom, a widząc tłumy, wygrażające Maryi, wstała się za nią i prosiła, aby nie czyniono jej krzywdy; lecz tłum, rozgniewany milczeniem dziewicy, począł krzyczeć coraz natęczywiej:

— Chrześcijkanką jest! Niech ofiaruje bogom, albo umiera!

Instynktem wiedziona, zbliżyła się Marya do lektyki, jakoby się spodziewała od matrony opieki. Nowe krzyki powstały.

— Do cesarza z nią! — wołano i tysiąc rąk wyciągnęło się ku niej, aby ją pojmać. Ktoś chwycił drżącą ręką za medalion wiszący na jej piersi i urwał wraz z złotym łańcuszkiem. Porwał ją tłum, żądny wrażeń, i niósł ją raczej, niż wiódł przed pałac cesarza — rzekłbyś: pochód tryumfalny.

— Cezar! Cezar! — krzyczały tłumy.

Dyoklecyan ukazał się na balkonie. Uciszyła się rzesza, lecz nie na długo. Powstały nowe wrzaski:

— Oto chrześcijanka! Przywiedliśmy ją tobie, abyś ją sądził.

Wprowadzono ją do pałacu, przed cesarza.

— Dzieckiem jeszcze jesteś — rzekł Dyoklecyan — Żal mi ciebie... służ bogom naszym, a daruję ci życie.

— Cesarzu! — odrzekła Marya. — Nie przyszedłem błagać cię o życie moje, które jest w rękach Boga przedwiecznego, ale przyszedłem upomnieć się o mego brata. Błogosławiony Bóg, który sprawił, że tłumy te narodu przywlokły mnie przed ciebie. Wiem jednak, że nie wrócisz mi brata; pozwól mi więc razem z nim umrzeć.

— Wróć ci brata, jeżeli zechcesz ofiarować bogom. Namysł się, powiedz słowo, a brat twój wolnym będzie. Ale również słowo nierozważne, będzie dla niego wyrokiem śmierci.

— Gdybym za tę cenę miała okupić uwolnienie brata mego, zasłużyłabym na jego pogardę a gniew Boży. Nie odstąpię Boga mego, wolę raczej z bratem moim umrzeć.

— Odprowadźcie ją! — zawołał Dyoklecyan gniewnie.

W tej chwili przedarła się jakaś kobieta przez tłumy, w rękach trzymała kurczowo medalion z łańcuszkiem, upadła do nóg cesarza i wołała głosem pełnym rozpacz:

— Łaski! łaski cesarzu! Błagam cię — łaski! Jestem Laodiceą, należąca do dworu cesarzowej, a dziewczyną tą, to córka moja — Agata.

— Córka twoja! Któż to poświadczy? Nigdy jej w twojem towarzystwie nie widziałem.

— Kiedy była niemowlęciem, porwał ją sługa, słusznie ukarany, ze zemsty i wraz z bratem uprowadził. Mieszkałam wówczas w okolicy Rzymu. Dzisiaj kazałam się ponieść w lektyce po ulicach miasta; w tem spostrzegłam, jak tłum otoczył dziewczynę, a jak poznałam, z rodu arystokratycznego; kazałam niewolnikom stanąć, aby się dowiedzieć, co się dzieje: a oto poznałam na szyi jej ten oto medalion, który kiedyś jej zawiesiłam.

— Córka twoja jest chrześcijanką?

— Nie jest chrześcijanką, urodziła się w wierze naszej.

— Jestem chrześcijanką — odezwiała się ze spokojem Marya. — Ja i brat mój zostaliśmy ochrzczeni i wyznajemy Boga prawdziwego.

— Precz z nią z oczu moich! — zawołał cesarz.

I wyprowadzono ją, gdy tymczasem matka leżała u stóp Dyoklecjana i oblewała je gorącymi łzami.

Boleść Maryi w więzieniu nie miała granic. Spotkała swą matkę, nie mogła jej nawet widzieć, nie wolno było jej uściśnąć, przytulić do serca. Spotkała ją, aby

stracić na zawsze. Ukojenia duszy doznawała w gorących modłach do Boga o wytrwanie w cierpieniach i o zbawienie duszy matki. Matka poganka — ta myśl niepokoiła ją i sprawiała niezmierne katusze.

Pewnego dnia, kiedy Marya klęczała i gorąco się modliła, uchyliły się drzwi więzienia.

— Agato! — odezwał się głos pełen słodyczy.

— Któż mię woła? — odezwała się Marya, podnosząc głowę. — Imię i głos mi znane...

— Agato, imię to twoje, a głos — matki twej!

— Matko moja! Droga matko moja! — zawołała Marya, biegnąc ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Pochwyciła ją Laodicea i tuliła do serca i obsypywała pocałunkami.

— O moje dziecko, moje drogie — szeptała Laodicea — wydarto mi ciebie, kiedyś była jeszcze dzieckiem; wydarto z dostatków, przepychów, na jakie mało kto zdobyć się może; a dziś, dziś widzieć cię muszę w więzieniu — niewidomą! O biedne, nieszczęśliwe dziecko moje!

— Szczęśliwe, powiedz raczej, matko: Bóg użycza mi łaski, że mogę dla niego umrzeć.

— Nieszczęśliwe dziecko — powtórzyła Laodicea. — Jakaż ona w nieszczęściu swem wyniosła!

— Nie jestem wyniosła, matko moja, ale stała w postanowieniu. Ach, gdybyś wierzyła w Boga prawdziwego, zrozumiałabyś, jaka to rozkosz — dla Boga żyć i umierać.

I Marya zaczęła opowiadać o Prorokach, o Matce Boskiej, o Chrystusie Panu, o świętych Apostołach i Męczennikach. Nie zdołała wprowadzić przekonać matki swej, ale rzuciła ziarno, a padło ono na dobrą glebę.

Opuściwszy celę więzienną Maryi, udała się Laodicea do syna swego. Przywitanie się matki z synem było również czułe, jak z córką. Nazywała go Teofanem, bo takie mu imię dała. Również Aureliusz był

stałym w wierze świętej. W celi swej, w której nie było można rozróżnić dnia od nocy, spędzał czas na modlitwie. Nieraz miał widzenia, jakoby duchy świętych Męczenników z nieba zstępowały i radował się szczęściem niebieskiem; to znowu słyszał przecudny śpiew chórów anielskich, śpiewających chwałę Panu.

Jeszcze raz zaprowadzono Maryę i Aureliusza przed sąd. Twarze ich blade, ale tem więcej wyrzyła się na nich stałość i rezygnacya. Lud obecny zachowywał się spokojnie, patrzył na nich z pewnym podziwem a może i litością.

— Siostró moja! — zawolał Aureliusz — cierp, cierp ochotnie, bo cierpienie otwiera bramy niebios. Oto Zbawiciel czeka nas, spieszmy więc!

Laodicea klęczała u stóp sędziego, a zalamując z rozpaczny ręce, błagała litości. Lecz zaślepieney nie znają litości, i wydano wyrok śmierci, bo Rzym chce się bawić, a „waleczni“ rzymianie szukają tryumfów w zwycięstwie nad bezbronnyimi. Odprowadzono więźniów. Opróżniła się sala sądowa; na marmurowej posadzce pozostała zemdlna kobieta, z włosom rozpuszczonym — Laodicea.

Nadszedł dzień wykonania wyroku; a był to dzień tak pogodny, tak piękny, że zdawało się, że Bóg przysposobił świat na wielką uroczystość, która się dokonać miała w niebie.

Biegło pospólstwo na krwawe widowisko i zajęło wyższe miejsca w amfiteatrze; kobiety-patrycyuszki, przybrały się w jak najpiękniejsze stroje i kazały się nieść w lektykach; panowie pędzili wozami, błyszczącemi srebrem i złotem. Gwar w cyrku od wesółych rozmów, mężczyźni żartowali, kobiety się śmiały. — Senatorzy zajęli miejsca swoje. Ryk umyślnie głodzonych zwierząt rozlegał się po cyrku i było go słychać daleko poza murami Rzymu. Obeznani wiedzieli, że to zapowiedź wielkiej „uroczystości“.

Oddział pretoryanów wprowadził chrześcijan. Szli oni spokojnie, cicho, ze złożonemi na piersiach rękoma. I stanęła gromadka ta bezbronných, świętych ludzi na środku areny cyrkowej, a między nimi Aureliusz i Marya. Ucichł gwar; z podziwem patrzano na nich; dla pięknej Maryi i Aureliusza, ubranych w białe suknie, zaczęła się budzić litość w sercach kobiet.

Już miano dać znak, aby rozsunięto kraty i wypuszczono zwierzęta, gdy oto wpada na arenę kobieta; włosy jej rozrzucone, twarz biała, oczy palające ogniem suknie w nieładzie, w rękach trzyma bożyszcza domowe, które zabrała ze swej komnaty. Była to Laodicea.

— Rzymianie! — zawołała głosem donośnym, pokazując im bożyszcza. — Ewangeliczna cnota dzieci moich przekonała mnie o prawdziwości wiary chrześcijańskiej. Nie chcą one żyć ze mną w wierze waszej, więc umrę z niemi w wierze ich. Błagam boskiego Zbawiciela, aby dopuścił mnie, nowicyuszkę, choć nie ochrzczoneą wodą, przed tron majestatu swego. Bóg jest sprawiedliwy! Jego jest przyszłość! Duch chrześcijański owionie świat cały i zniweczy bogi wasze. Precz z nimi!

Domawiając słów tych, ciskala bożyszcza jedno po drugim, które z trzaskiem rozbiły się o łóżę senatorską.

— Niech ginie! — zaryczała rzesza. — Znieważyla bogi nasze, ściaga gniew ich na nas! Niech ginie!

Wśród tego tumultu dał się słyszeć głos czysty, słodki, melodyjny:

— Dzięki Ci, wszechmocny Panie, iżśś pozwolił poznać prawdę matce mojej. Umieram szczęśliwa, bez obawy, gdyż zbawiona dusza jej. Bądź błogosławiony, Chryste, który otwierasz nam bramy niebios!

Tak modliła się Marya.

W tem powstała wielka jasność, bo oto anioł Boży, którego widzieli tylko chrześcijanie, zstąpił z niebios. W jednej ręce trzymał palmę, w drugiej kubek. Zbli-

żywszy się do Maryi, umaczał czubki palców w płynie, mieszczącym się w kubku, i dotknął oczu dziewczycy. Podniosły się jej powieki i przejrzała.

— Boże mój! — zawołała Marya, podnosząc ręce do ocz. — Tyś chciał, abym przed śmiercią widziała jeszcze oblicze matki mojej. Chwała Tobie, Panie!

Uczynił się jakoby lekki powiew od skrzydeł anioła, który wznosił się w obłoki i zginął z przed oczu chrześcijan. Upadli oni na kolana i chwalili Boga.

Coś stało się nadzwyczajnego; to uczucie ogarnęło wszystkich widzów i cisza zaległa w cyrku. Dopiero, gdy Marya powstała i rzuciła się w objęcie matki, zaczęto wołać:

— Ona widzi— ona widzi! Nigdy niewidomą nie była!

Inni znów uwierzyli w cud.

— Cud, cud prawdziwy! — wołali — Chrystus z Nazaret zstąpił na ziemię i uzdrowił ją.

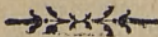
Wreszcie odezwał się głos Dyoklecjana:

— Wyprowadźcie tych troje chrześcijan; wzburzają nam cały naród!...

I wyprowadzono ich, i wybiegli za nimi z cyrku ci, którzy uwierzyli, i całowali szaty Maryi, wielbiąc w jej uzdrowieniu wielkość Boga chrześcijan.

Kiedy gromada ludu odprowadzała ich do mieszkania, straszliwe ryki dzikich zwierząt rozdzierały powietrze: w tej chwili padały pozostałe w cyrku ofiary zaślepienia ludzkiego.

Uklękła Marya, modląc się za umierających od szpon zwierząt, a z nią poklékli wszyscy, którzy jej towarzyszyli — nowi wyznawcy Chrystusa, nowi bojownicy Chrystusowi.



NA PRZEŁOMIE

Powieść historyczna z czasów Domicjana.

Opracował Antoni Stefański.

Słońce jeszcze nie wzeszło; zaledwie pierwsze blaski rozjaśniały wschód nieba, rozspędzając czarne ciemnie, otulające ziemię. — W mglistej osłonie rysowały się niewyraźnie mury wiecznego miasta.

Mieszkańcy, po hucznych ucztowaniach, zasypiali jeszcze snem twardym, składając ofiarę przyjemną i sobie i Morfeuszowi¹⁾. Straże nocne zmieniały posturki, a miarowy ich krok odbijał się głuchem echem. Zaledwie jednak wychyliła się nieco tarcza słoneczna, jak purpurowy ogień na krańcach nieba, a oto rozbudziło się życie na Via sacra (ulica święta).

Senatorzy, rycerstwo, lud prosty, wszystko spieszyło w stronę góry palatynskiej, aby, gdy otworzą się wrota palacu cesarskiego, mógł stanąć przed oblicznością cesarza. Był bowiem wówczas zwyczaj, że cesarz udzielał posłuchania z chwilą wschodu słońca.

Laskawe spojrzenie cesarza, uśmiech, przyjazne skinienie, ważono sobie jako szczęście nadzwyczajne. Dlatego spieszyli do palacu wszyscy pochlebcy, obludnicy; a nigdzie nie było takiego upodlenia, płaszczenia się przed siłą, jak w starożytnym Rzymie²⁾.

¹⁾ U pogańskich Greków bóg snu i sennych marzeń.

²⁾ Rzym starożytny był zbudowany z lewej strony rzeki Tybru, na siedmiu pagórkach, z których góra palatynatu (na której się znajdował pałac cesarski, palatium) była w środku; dokoła zaś inne; na zachód wzgórze kapitołińskie, dalej na północ kwirinałskie.

Kiedy tłum się cisnął ku bramie, z góry Laterańskiej¹⁾ schodził starzec ubrany w długą, ciemną tunikę i poważnym krokiem szedł w stronę kościoła w bliskości Koloseum, który dziś nazywamy bazyliką św. Klemensa. W pewnej odległości za nim postępowało z uszawaniem kilku duchownych. Już ołtarz żarzył się światłem świec, a kościół przepelniony był wiernymi.

W owych czasach nie miał Kościół katolicki równouprawnienia z innemi wyznaniami. Chrześcijanie nie doznawali opieki państwa i z nabożeństwem swoim musieli się ukrywać. Dyoklecyan był pobłażliwszy, tem więcej, że żona jego Walerya i córka Priska były chrześcijankami.

— Pokój wam! — odezwał się Papież Kajus, wchodząc do kościoła, a zbliżywszy się do stopni, ukląkł, wznosił oczy ku wizerunkowi Zbawiciela i modlił się a z nim lud cały.

Wtem zatętniły na dworze kopyta końskie i po chwili wszedł do kościoła rycerz zbrojny. Gdy spostrzegł u ołtarza Kajusa, zgiął kornie kolana, głowę pochylił i powtarzał po cichu słowa modlitwy. Powstał dopiero, gdy Papież odwrócił się i do zebranych wygłosił naukę. Słuchał jej w nabożnem skupieniu ducha.

Nie przedłużał Kajus nabożeństwa, gdyż wielu było takich, którzy żyli z pracy rąk i musieli spieszyć do swych zwykłych zatrudnień. Udzieliwszy wszystkim

¹⁾ Na placu Laterańskim, otoczonym ogrodem, pobudował senator rzymski, Lateranus, pałac. Neron kazał właściciela prawego zamordować, a majątność jego zabrał. Konstantyn Wielki ofiarował pałac laterański Papieżowi, św. Sylwestrowi. Przy pałacu znajduje się kościół Zbawiciela, zwany też św. Jana Laterańskiego.

Zbudował go Konstantyn Wielki. Nad chrzcielnicą umieszczono obraz św. Jana Chrzciciela; a że to w kościele Laterańskim, więc kościół nazwano kościołem św. Jana Laterańskiego. W kaplicy naprzeciwko kościoła znajduje się scala santa czyli schody o 28 stopniach, przeniesione z domu Piłata, z Jerozolimy.

Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej, zstąpił ze stopni ołtarza a po drodze błogosławił tych, co byli najbliżej. Centurion ukląkł znowu na marmurowej posadzce i wzrokiem prosił Papieża o osobne błogosławieństwo.

— Bóg z tobą, synu mój! — rzekł Kajus, kładąc rękę na głowie rycerza — i niech błogosławi sprawom twoim.

Centurion podniósł się.

— Czy mnie nie poznajesz Ojczy święty?

Błogi uśmiech spoczął na twarzy starca.

— Starzeją się oczy moje, iż nie zaraz poznaję tych, których kocham. Tyś to, mój Gallus.

— Tak jest, Ojczy.

— Sądziłem, że służysz w legionach nad Renem; a oto widzę cię nagle tutaj! Zmienileś się bardzo, zmężniałeś, wyprzystojniałeś! Oczywiście, czas bieży w rączym biegu, dzieci dorastają, mężowie starzeją! Cieszę się, widząc ciebie między nami. Czy chciałbyś zamienić zbroję na toge?

— Smutne wieści przywiozłem, Ojczy święty. One mnie tudąd przygnały. Narody powstają, aby zrzucić jarzmo cesarów; cała Galia chwyciła za broń. Wysłano nas, abyśmy Dyoklecjana powiadomili o niebezpieczeństwie. U Milwijskiego mostu odłączyłem się od naszych, aby smutną tę wieść tobie, Ojczy święty, naprzód zakomunikować.

— Synu mój, nie mnie mieszać się do spraw politycznych. Władza moja nie z tego świata.

— Słusznie, Ojczy; ale okoliczności tak się składają, że będzie może potrzeba twego współdziałania. Powstanie Bagaudów spowodował ucisk wykonywany przez wojsko i urzędników. Ludowi wzięto wszystko; nie zostaje mu nic innego, jak ginąć z głodu, albo paść z bronią w rękę. Urzędnicy i grabieżcy żołnierze składają winę powstania na chrześcijan i wszystko złe im przypisują. W Galii mamy dużo chrześcijan, a także w legionach. Jeśli cesarz uwierzy niesumiebnym zau-

sznikom, nastanie krwawe prześladowanie, krwi rozlew, którego końca przewidzieć trudno.

Papież słuchał z uwagą opowiadania, a sprawę uznawał za ważną. Po chwili odezwał się z spokojem:

— Dyoklecyan patrzy jasno na sprawy; nie pozwoli się zwieść kłamliwemi podszeptami. Dotąd zajmuje wobec chrześcijan stanowisko przyjazne i nic nie zapowiada, aby miał się zmienić.

— Ojczy, Dyoklecyan pochodzi ze stanu niskiego; a tacy, gdy się wybiją na wysokie stanowiska, czy nie najłatwiej dają posłuch podszeptom?

— Prawda, że jest synem niewolnika z Dioklei¹⁾, rozpoczął karierę swoją od prostego żołnierza i postępując z stopnia na stopień, został w Chalcedonii²⁾ przez dowódców okrzyknięty cesarzem. Dowodzi to jego zdolności. Nie sami tylko uczeni są zdolni dokonać dzieł wielkich. Poznał on niedomagania ustroju państwowego, jak żaden inny przed nim, i poczynił odpowiednie zarządzenia. Jeżeli nas jawnie nie popiera, to też nie stawia nam zapor, pozwala budować kościoły. W jego najbliższym otoczeniu znajdują się chrześcijanie i nie czują prześladowczej ręki. Żona jego Walerya i córka Priska są chrześcijankami; a wobec mnie jest usposobiony przyjaźnie. Wróć spokojnie do towarzyszy swoich. Będę prosił Boga, aby twoje obawy okazały się płonnemi. A gdyby nowe nieszczęścia na Kościół spaść miały, dołożę wszystkich sił, aby je odwrócić, a przynajmniej złagodzić.

— Maxymian!... — wyszeptał Kajus po odejściu centuriona, a twarz jego pokryła się smutkiem.

— Maxymian, Maxymian... — powtarzał półgłosem, — to zły duch Dyoklecjana. Również pochodzi z niskiego rodu, obydwaj waleczni, przyjaciele; niedawno

¹⁾ Miejscowość między dzisiejszą Dalmacją a Czarnogórą.

²⁾ Chalcedonia, miasto w Azji mniejszej, naprzeciw Konstantynopola.

mianował go cesarz współregentem i córkę oddał mu za żonę. Maxymilian... nie cofnie się przed żadną zbrodnią... Chrześcijan nienawidzi... Dyoklecyan mieni się bogiem... czy pewnego dnia nie uzna, że chrześcijaństwo są mu na zawadzie?...

Żywo stanęły starcowi przed oczyma obrazy z czasów Nerona. Wzruszony do głębi zawrócił się i ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się gorąco; wstał potem i opuścił kościół. Wolnym krokiem przeszedł obok Koloseum¹⁾, zmierzając w stronę góry Palatyńskiej.

Już słońce weszło wysoko na niebie i oświeciło ogromne miasto rozłożone na pagórkach. Z pośród szeregu domów wystrzeliwały w górę ogromne świątynie bogów pogańskich, wspaniałe gmachy publiczne, bazyliki²⁾ na forach³⁾. Kościołów katolickich było wówczas bardzo mało.

Kajus spojrzał na świątynię Jowisza na górze Kapitołńskiej, której złoty dach promieniał w świetle porannego słońca. Przystanął na chwilę, przetarł ręką czoło i wyszeptał: „Gallus wzbudził we mnie obawę, której nie mogą się pozbyć. Moc Dyoklecyana opiera się na pogaństwie, a w sobie jednoczy władzę świecką i kapłańską. Sam siebie ma za boga i każe sobie oddawać cześć boską. A że my, chrześcijanie, uznajemy tylko jednego Boga, w takim razie rychlej czy później przyjdzie do starcia; a stanie się to o tyle wcześniej, o ile wiara w bogów pogańskich będzie zanikała, ustępując miejsca

¹⁾ Koloseum, największy i najwspanialszy cyrk w Rzymie, który mógł pomieścić 80 tysięcy widzów. Dziś jeszcze istnieją jego ruiny, które w podziw wprowadzają podróżnych.

²⁾ Bazylikami nazywano budynki, w których odbywały się sądy. Później nazywano tak kościoły większe, o trzech nawach.

³⁾ Forum. Tak nazywano rynek, na którym odbywały się targi, sądy i zebrania ludu. Stąd przysłowie: wywleć coś przed forum publiczne.

wierze w Boga prawdziwego. Boże nasz, miej nas w swojej pieczy."

Pomalu doszedł Kajus do Porta Mugunia, gdzie Romulus, zakładając miasto Rzym, pobudował świątynię Jowisza. U bramy stało na straży dwóch żołnierzy z dobytymi mieczami; u drzwi gmachu zaś dwóch urzędników, przeglądających ubrania tych, którzy do palacu się udawali, aby snąć ktoś nie miał przy sobie broni. Obawiano się zamachu na cesarza, tem więcej, że wielu było niezadowolonych, że cesarz pochodził ze Wschodu i z niechęcią swoją do Rzymian nie tail się. Kajus jednak miał wstęp wolny, gdyż cesarz znał jego zacność.

Jeszcze kilka kroków, a znalazł się przed pałacem zbudowanym z lśniącego marmuru. Na obszernym placu i w bocznych kurytarzach pałacowych znajdowało się około tysiąca żołnierzy strzegących osoby cesarza. Pościągani oni byli z najrozmaitszych krajów, ze wszystkich części świata. A im więcej cudzoziemsko wyglądali, tem więcej objawiała się potęga Rzymian. Cesarze chlubili się tą różnorodną i różnobarwną rzeszą wojsk swoich, z chęcią wystawiając ich na widok przybywającym tu dotąd książętom, aby odeszła im chęć wyzwolenia się z pod jarzma rzymskiego. Ujrzałeś tam czarnoskórców z krajów tropikalnych Afryki, Egipcyan, Persów, Gallów, Germanów, Brytów itd.

Kajus wszedł po schodach z lśniąco białego marmuru do hali, w której senatorzy, rycerstwo, obywatele, oczekiwali przybycia cesarza. Wszyscy cisnęli się w stronę marmurowego tronu, ustawionego między dwoma frontami, a pilnowanego przez dwóch murzynów trzymając srebrne drażki w ręce i temiż wzbraniających bliższego przystępu. Kajus stanął skromnie w tyle i przypatrywał się pięknym filarom zdobiącym halę i posągom bogów.

Smutne myśli tłoczyły umysł jego. Bogi pogańskie zajmowały wszędzie pierwsze miejsce, w pałacu cesarskim, w gmachach publicznych. Wizerunek Boga

chrześcijan mieścił się zaledwie gdzieś w ukryciu i w kościołach.

Wszyscy rozprawiali dość głośno o sprawach, z którymi przybyli. Wielu oddawało prośby piśmienne marszałkowi, składając je na srebrny talerz, który trzymał w ręce. Poeci i filozofowie prosili, aby cesarz raczył okiem łaskawem spojrzeć na ich pracę; obywatele o urzędy, oficerowie o wywyższenie w randze; ubodzy i uciśnieni o wymiar sprawiedliwości. Znakami dawali do zrozumienia marszałkowi, ile mu zapłacić gotowi, jeśli prośba ich będzie wysłuchana. Rzecz nie do zrozumienia; uczeni, których imiona sływały na świat cały, obywatele słynący z niezmiernych bogactw, kłaniali się do ziemi wyzwolencowi, nieledwie stopy jego całowali.

Nagle cisza zapanowała w hali. Na trybunie ukazało się dwóch jak węgiel czarnych Etyopczyków. Ramiona i nogi ich ozdobione były złotymi obręczami, suknie kolorów jaskrawych. Stanąwszy po obu stronach drzwi usunęli jedwabne portyery; a przytrzymując w rękach złote kiście, upadli na kolana.

Otoczony urzędnikami dworu, ukazał się Dyoklecjan we drzwiach i spojrzał po zgromadzonych pokornie chylących głowy. Postąpił kilka kroków naprzód i usiadł na tronie.

Obecni upadli na kolana, oddając cesarzowi cześć boską. Tylko Kajus stał spokojnie, patrząc na to upodlenie. Podnieśli się dopiero na znak dany srebrną łaską przez marszałka.

Cesarze przed Dyoklecjanem ukazywali się na audyencyach zwykle w togach¹⁾; tylko Neron, który nie chował żadnych zwyczajów, ukazywał się w tunice²⁾.

¹⁾ Toga, suknia zwierchnia, kształtu półokrągłego, 6 łokci długa, odpowiednio szeroka; obrzucano nią z tyłu lewe ramie, a z przodu przeciągano pod prawem ramieniem, tak że prawa ręka była jakby w zawiciu.

²⁾ Tunika zwierchnia była to suknia sięgająca kolan bez rękawów.

Wprawdzie Dyoklecyan ubrany był także w togę, ale zdobną złotem, perłami, drogimi kamieniami. Także senatorzy porzucili dawniejszą skromność z czasów republiki i naśladowali cesarza. Przykład z góry to niejako rozkaz dla podwładnych. Dobry król wychowuje dobrych obywateli, zły — złych. Jaki pan, taki kram.

Na znak cesarza, ledwo dostrzegalny, przedstawił marszałek cesarzowi obecnych dostojników według porządku dostojęństwa, każdego przyprowadzając przed tron. Byli tam książęta i dygnitarze jako reprezentanci wszystkich krajów.

Dyoklecyan rozmawiał z każdym. Podniósłszy się z tronu, przeszedł szeregi pozostałych; niektórym skinął przyjaźnie głową, z innymi porozmawiał. Nareszcie spostrzegł w dali Kajusa, przyspieszonym krokiem zbliżył się ku niemu.

— Niech ci bogowie błogosławią — rzekł.

— Błogosławieństwo Boga wszystkim potrzebne — odrzekł Kajus.

Dyoklecyan zdawał się nie słyszeć, że Kajus wspominał tylko o jednym Bogu.

— Jakże to się dzieje, że nigdy żadnej łaski ode mnie nie żadasz, gdy inni o nią codziennie żebrzą? — zapytał.

— Bo niczego mi nie trzeba. Dość mi, że pozwalasz nam, chrześcijanom, budować kościoły i żyć w naszej wierze. Nie odrzucamy dóbr ziemskich, ale też za nimi nie gonimy. A jednak może nadejść chwila, że będę cię prosił o opiekę dla chrześcijaństwa. — Dyoklecyan spojrział nań okiem łaskawem.

— Są lacy, co chcą mnie pchnąć na drogę, którą kroczył Neron; ale nie obawiaj się; dopóki mi wierność zachowacie, niczego się lękać nie potrzebujecie.

— A teraz przejdź się do ogrodu, gdzie cię oczekują żona moja i Priska.

Kajus skłonił się i wyszedł bocznymi drzwiami. Nie był to ogród wielki, do którego wstąpił; wzgórze Pa-

latyńskie bowiem było zabudowane gmachami. Natomiast znajdowało się tu wszystko, na co tylko sztuka zdobyć się mogła. Zagony i klomby ujęte były jakby w ramy z polyskujących, drogich kamieni. Chodniki usypane w deseń różnobarwnymi kamykami, a z pomiędzy nich przeblyskiwał złoty piasek. Mnóstwo wodotrysków odświeżało powietrze, filary z najdroższych marmurów, posągi greckie i rzymskie niezmiernie cenne, areydziela sztuki, dopełniały pięknej całości.

W odsobnionym gaju, wśród wonnego kwiecia stała kapliczka, którą pobudował Dyoklecjan dla żony swojej i córki.

Na widok zbliżającego się Kajusa, obydwie niewiasty powstały ze stopni ołtarza i pospieszyły naprzeciw, witając go z czcią należną. W tym samym czasie opuścił Dyoklecjan salę przyjęć i podążył do swoich komnat. W jednej z nich spotkał Maxymiana przypatrującego się bóstwom i półgłosem mówiącego do samego siebie:

— Tu potrzeba silnej ręki, aby te najróżnorodniejsze żywioły utrzymać w karbach. Słuchać muszą, niewolniczo słuchać, a zdeptać tego, kto się nie podda. Dyoklecjan jest za łagodny; trucizną i żółcią powinny być zaprawione rządy jego.

— Wstałeś dziś w złym humorze — odezwał się Dyoklecjan, kładąc rękę na ramię jego.

Maxymian zwrócił się ku cesarzowi. Kto pierwszy raz ujrzał tego człowieka, dreszcz musiał przejść po nim. Na kolosalnym korpusie spoczywała głowa podobna do straszydła, czoło niskie, nos ostro zakończony, wąs najeżony, pokrywający pół twarzy, wyraz oczu dziki, chyttry i podstępny zarazem.

Dyoklecjan cenił go jako walecznego rycerza i lubił jako swego rodaka i towarzysza lat dziecięcych. Przyzwyczaił się do brzydkiego wyrazu jego twarzy.

— Przyjacielu — mówił dalej cesarz — ganisz moją dobroć i łagodność. Pragniesz, abym rządził surowo.

Obawiam się tej chwili, gdy będę musiał zmienić rządy moje. Czuję, że gdy rozbudzi się gniew mój, przekrocze wszelką miarę i posunę się do zapamiętałości. Widzę sam, że państwu grozi niebezpieczeństwo, że może się rozpaść. Dla tego dziękuję bogom, że mam ciebie jako współrządcę. Za wielkie jest państwo moje, aby rządowi mógł podolać jeden człowiek.

— A za niespokojne — dodał z goryczą Maxymian — aby współregent mógł cośkolwiek zdziałać, nie posiadając władzy cesarskiej.

— Przyznaję ci słusność — przerwał mu Dyoklecjan — aby móżdżem tem energiczniej pracować, zamianuję się augustem i oddam ci część kraju w zarząd. Ja sam zatrzymuję sobie zwierzchnictwo nad wszystkim, którego zresztą wcale nie odczujesz.

— Dobrze byłoby, aby to nastąpiło jak najwcześniej, gdyż dochodzą nas znowu groźne wieści.

— Od kiedy to?

— Wiem tylko, że w Galii nie dobrze się dzieje. Przyszli posłowie i czekają posłuchania.

— Niechaj nas bogowie chronią od nowego nieszczęścia — dodał Dyoklecjan. Obydwaj cesarowie udali się do sali, gdzie czekali na nich posłowie państw obcych. Pierwszy dostojenstwem zbliżył się do tronu, na którym zasiadł Dyoklecjan. W tej chwili upadli wszyscy na kolana.

— Nieszczęśliwy kraj nasz — rzekł — chłopci, związy się Bagaudami, chwycili za broń i rozniecili pożar buntu w całej Galii.

— A wyście nie umieli ich zgnieść! — zawołał Maxymian.

— Przebac, panie — odrzekł poseł — uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ale Bagaudowie walczą bronią niezwykłą; palą własne dojrzewające zboża i własny dobytek, tak że cała Galia stoi w płomieniach. Na kilkunastu milowych przestrzeniach nie znajdzie się ani chaty ani dojrzalego kłosa — tylko gruz i popioły.

Legie nasze są w ustawicznej z Bagaudami walce, lecz wobec przemagającej siły muszą ustępować. Powstanie rozszerzyło się na kraj cały, od Alp aż do morza.

Na czele ruchu stoją Elian i Amand.

— Smutny przedstawiasz mi obraz — odezwał się Dyoklecjan.

— Zawczasu trzeba było ich zdeptać — zawołał Maximian — nie pozwolić rozwinąć się powstaniu.

Posel wzruszył ramionami, gdyż właśnie owo deptanie praw ludzkich było powodem, że lud za broń chwycił.

— Podpada — zauważył Dyoklecjan — że powstanie tak nagle się roznieciło. Jakież są tego powody?

— Mówią ogólnie — odrzekł posel — że chrześcijanie temu winni.

— To pewne, że wśród Bagaudów jest dość dużo chrześcijan.

— Jakież masz dowody na to, że chrześcijanie powstanie spowodowali? — zapytał Dyoklecjan.

— Dowodów żadnych nie mam, ale takie jest mniemanie wśród naszych ogólne.

— O... chrześcijanie!!! — zawołał Maxymian, a w głosie jego brzmiał gniew i szyderstwo. — Nie pochwyć ich na gorącym uczynku, ale nauka ich rozsądza wszystko i grozi upadkiem cesarzowi i państwu rzymskiemu. Przeniknął ich przed 84 laty Septimus, przeniknął ich Neron. I wówczas winnych nie można było wymienić po nazwisku — oni wszyscy byli winni. Dla tego kazał ich Neron ścinać, krzyżować, palić.

Dyoklecjan położył rękę na ramieniu jego.

— I cóż pomogły owe krwawe prześladowania? Czyż liczba chrześcijan nie wzrosła?

— Z korzeniem chwasty powyrywać należy, zanim ziarno dojrzeje — zawołał Maxymian, ściskając pięści, a usta jego drżały od gniewu.

— A żony nasze nie sążze chrześcijankami — odrzekł Dyoklecjan spokojnie.

— Są; ale nie będą, gdy im tego zakażemy.

Dyoklecyan zwrócił się do posłów:

— Wracajcie do Galii. Postaram się o to, aby zbuntowanych chłopów uspokoić.

— Maxymie — odezwał się Dyoklecyan, gdy posłowie, oddawszy niski pokłon, opuścili salę — pragnę odwdziaczyć ci się za usługi, jakie oddajesz krajowi, i chcę z tobą dzielić władzę; dla tego zamianuję cię „augustem“. Choć nie zawsze podzielały jedno i to samo zdanie, przecież pragniemy w równej mierze szczęścia ojczyzny. Podzielimy kraj tak, abyśmy tworzyli jedną całość o dwóch głowach. A teraz przysposób się do wyprawy do Galii. Z góry oświadczam ci, że godzę się na wszystko, cokolwiek przedsięwzięmiesz.

Dyoklecyan opuścił salę; Maxymian pozostał sam. Wielkimi krokami chodził wzdłuż i wszerz po marmurowej posadce, układając już naprzód plan wyprawy.

— Nie wolno tracić ani chwili czasu — mówił sam do siebie półgłosem. — Znieść ich bez miłosierdzia, to zadanie moje, to mój obowiązek. Które wyprowadzić w pole legiony? Ani Galów ani Germanów użyć nie mogę; legiony te są już przesiąknięte duchem chrześcijańskim i mogłyby zawieść w chwili stanowczej.

Przystanął chwilę między filarami.

— Trzeba wybrać legion, który z Galami nie ma żadnej styczności... Egipt... Tebaida... Doskonale! Legion teбайдki!... Ludzie to waleczni, duchem chrześcijańskim jeszcze niezarazeni. Egipt a Galia — nic wspólnego ze sobą nie mają!

Zadowolony z pomysłu, wyszedł.

— Dyoklecyan tymczasem odszukał żonę i córkę, znajdujące się w towarzystwie Kajusa.

— Kajus! — odezwał się cesarz głosem ponurym — ciebie mienią głową chrześcijaństwa, ojcem tych, którzy uwielbiają krzyż. Codziennie słyszę na nich skargi. Niepodobna, aby wszystko, co przeciw nim mówią, miało być wymysłem. Oni jedni tylko odmawiają mi czci

boskiej. Posłowie z Galii zawiadomili mnie, że sprawcami powstania Bagaudów są chrześcijanie.

— Najmiłościwszy cesarzu — odrzekł Kajus — chrześcijanie mają wśród tych, którzy ich nie znają, wielu nieprzyjaciół. Czyż żona twoja i córka nie są chrześcijankami? Czy wśród służby swej nie masz chrześcijan? Czyś sam nie powiedział, że wśród chrześcijan czujesz się najbezpieczniejszym? Czy żołnierze — chrześcijanie nie odznaczają się walecznością w obrobie twojej i kraju? Nie chrześcijanie wywołali powstanie Bagaudów, ale inna tego musi być przyczyna.

— Ale jakże to być może, że gdy jakie nieszczęście na kraj spada, wskazuje się zawsze na chrześcijan jako tychże sprawców.

— Nie gniewaj się, najmiłościwszy cesarzu, że odpowiem otwarcie. Nauka nasza stoi w przeciwieństwie do pogańskiej, zakazuje zbytków, opilstwa, obżarstwa, nieczystości. A to wszystko jest u pogan w zwyczaju. Czystość obyczajów naszych kole w oczy pogan, którzy ułomnościom tym holdują. Stąd nienawiść do chrześcijan. Aby nas uczynić nieszkodliwymi, podaje nas się w pogardę, zarzuca się czyny, których nie popełniliśmy.

Wspomnij, że posadzono chrześcijan, iż podpalili Rzym, a później dopiero wykazało się, że ten, który własną zabił matkę, również był winien i tej zbrodni — Neron pusił miasto z dymem. Nie skłaniaj ucha na podszepty ludzi nienawistnych, ale sam wszystko oceń i sądz; a poznasz prawdę. Lecz zanim to nastąpi, tysiące padną ofiarą.

Nastąpi chwila milczenia.

— Widzę — odezwał się znowu Kajus — w najbliższej przyszłości krwi niewinnej przelanie, w której i twoje ręce się skąpią, bo uwierzysz kłamcom i obłudnikom. Bóg, który zna tajemnice dusz ludzkich, niechaj ci będzie miłosiernym i nie wchodzi w sąd z tobą. Ja i wszyscy chrześcijanie będziemy się modlili za ciebie

I za cały dom twój i zniesiemy z poddaniem się to wszystko, czemu przeszkodzić nie jesteśmy w stanie.

Słowa starca obrażały dumę cesarza, ale równocześnie działały kojąco na serce jego.

Blagalnym wzrokiem patrzyły na niego żona i córka, nie śmiejąc przerwać ciszy, jaka nastąpiła. Spojrzał na nie Dyoklecyan, uściśnął serdecznie, a uśmiechnąwszy się przyjaźnie Kajusowi odszedł.

Dyoklecyan dotrzymał przyrzeczenia i wywyższył Maksymiana, czyniąc go sobie równym i nadając mu tytuł „augustus“.

— Nominację tę postanowił uświęcić tryumfalnym wejściem Maksymiliana do miasta.

Dnia poprzedzającego uroczystość, opuścił Maksymian pałac swój i udał się poza miasto, skąd pochód miał ruszyć. Zaledwie słońce purpurowem światłem oblało kopuły świątyń rzymskich, wstąpił Maksymian na wóz tryumfalny i pochód ruszył z miejsca.

Minąwszy bramę tryumfalną, cyrk Flaminiusza, Via sacra, Forum romanum, doszedł na Kapitol.

O przepychu, z jakim takie wjazdy urządzano, trudno dziś nam stworzyć sobie jaki taki obraz: ilustrowała się w nich świetność i potęga Rzymu.

Na czele postępowali senatorzy w długich togach, za nimi muzykanci grający na trąbach i innych instrumentach. Niesiono trofea wojenne zdobyte przez Maksymiana na rozmaitych wojennych wyprawach: prowadzono w kajdany okutych, wziętych do niewoli wojowników: innych znowu umieszczono na wozach w malowniczych zgrupowaniach przedstawiających sceny zwycięskich walk Maksymiana. Gniew błyskał z oczu brańców, prowadzonych na chwałę zwycięzcy, a swą większą hańbą. Tłum uliczny leży ich i obrzucał błotem i kamieniami. A byli tam i królowie w koronach na głowie, starcy siwowłose, młodzież zdolna do broni, dziewczęta przepięknej urody. Na innych wozach poustawiano modele zdobytych twierdz. Wysoko na murach

znajdowali się broniący twierdzy nieprzyjaciół, a po drabinach wspinali się zdobywający je Rzymianie. Kapłani prowadzili jak śnieg białe, na ofiarę przeznaczone woły. Na wozie zaprzężonym w cztery ogniste rumaki stał Maxymian-tryumfator w stroju złotem lśniącym. Przed nim postępowali liktorzy niosący laurem uwiecznione fascies, obok i za nim legaci, trybuni i wysocy dygnitarze, po za tymi niezliczone szeregi wojska.

Nie opisuję świetności i przepychu pochodu, daremny trud; najwięcej wybujała fantazya nie stworzy odpowiedniego obrazu, niczem fantastyczne opisy z „ty-siąca i jednej nocy.“

Przed kapitołem zatrzymał się pochód. Maxymian zstąpił wśród radosnych okrzyków tłumu z wozu i spoglądając dumnie, wszedł po stopniach marmurowych, gdzie kohorty utworzyły szpaler w dwóch rzędach do świątyni Jowisza kapitolńskiego.

Gdy zbliżył się do bramy, otworzyła się ona; a Dyoklecyan w stroju drogiemi kamieniami polyskującym, wyszedł mu naprzeciw, ujął go w ramiona, ucałował i wprowadził do wnętrza świątyni, gdzie już znajdowali się najwyżsi urzędnicy państwowi. Z poszanowaniem rozstąpili się, a pochyliwszy głowy, zawołali: „Io triumphe! (okrzyk radości)“

Maxymian zbliżył się do olbrzymiego posągu Jowisza, zdjął wawrzynowe wieńce z fascies i złożył je w ofierze bóstwu. Był to akt pokory, do której zresztą nie był przyzwyczajony. Wywołało to uśmiech ironiczny na twarzy filozofa Ameniusza.

Dyoklecyan, obok którego stanął arcykapłan Heliodor, przemówił do zebranych, chwalać zasługi i przymioty Maxymiana. Zbliżywszy się do posągu Jowisza, zdjął z łona jego złożoną tamże koronę, wysadzoną drogiemi kamieniami i wsadził na głowę Maxymiana.

— Vivat Augustus! — zawołał.

— Vivat Augustus! — powtórzyli gromko obecni.

— Vivat Augustus! — huknęły tłumy i okrzyki rozbrzmiewały bez końca.

Przemówił Maxymian.

— Dzięki bogom, że postawiły mnie obok imperatora. Oni wesprzą ramię moje, abym zgniół nieprzyjaciół Rzymu, ogniem i mieczem ich wytępił. Śmierć tym wszystkim, którzy nie czczą bogów naszych!

Obecni struchleli na taką mowę; ale była to chwila tylko, radość ogólna wróciła znowu.

Po ceremonii ofiarowania wołów bogom, rozpoczęły się uczty na Palatynie, w pałacach bogaczy, a dla biednych w tabernach.

Wieczorem tegoż dnia przechadzał się arcykapłan Heliodor w kolumnadzie przed świątynią Jowisza. Czasem przystawał i przyglądał się wspaniałym budowlom Kapitolu i Forum; to znowu patrzył zamyślony w ziemię, jak gdyby ważył ciężkie myśli nie dające mu spokoju.

— Tyle hałasu o nic — wyszeptał. — Prawie wstyd mnie ogarnia, że popieram kult, który się przeżył; zginiemy kolana przed widziadłami, które sami w imaginacyi stworzyliśmy, a które niczem innym nie są, jak tylko widziadłami. — Zajęty myślami, które umysł jego tłoczyły, nie spostrzegł filozofa Ameniusza otulonego w płaszcz, wchodzącego po stopniach do kapitolu. Ameniusz przystanął i przypatrywał się z uśmiechem satyrycznym arcykapłanowi.

— Stary lis — szepnął — poznał już niecość bóstw, ale nie chce się wyzbyć dochodów, jakie mu urząd arcykapłana zapewnia. No, nie mam mu tego za złe; ale niech wie przynajmniej, że go przejrzałem.

Heliodor wszedł do świątyni, a za nim niespostrzeżony Ameniusz. Arcykapłan stanął wpośród bóstw swoich przed kolosalnym posągim Jowisza; ale nie zgiał kolan, nie pochylił głowy, co zwykł być czynić w obe-

cności ludu. Ameniusz stał ukryty za filarem, złośliwy uśmiech przebiegł po jego twarzy, gdy spostrzegł, jak Heliodor, bez najmniejszego wyrazu szacunku, sięgnął po wieńce laurowe, znajdujące się na łonie Jowisza, a złożone przez Maxymiana.

— Zwiędną one u ciebie — rzekł półgłosem, bo nie masz siły życiodajnej. Szkoda pięknego marmuru zużytego na twój posąg. Dyoklecyan... czy wierzy on jeszcze w potęgę bóstw, czy też poznał już ich nicość?

Długo potrwa jeszcze to oglupianie ludu? Widziałem dzisiaj w czasie ofiarowania wieńców laurowych, jak Ameniusz się uśmiechał... i on nie wierzy...

Pomału zwracał się Heliodor ku ukrytym drzwiom wiodącym do jego mieszkania. Ameniusz podążył za nim inną drogą.

— Skąd mi ten zaszczyt — odezwał się Heliodor, witając Ameniusza — że Rzymu największy mędrzec przybywa do mnie w odwiedziny?

— Mam cię za mędrszego — odrzekł Ameniusz — bo w ciężkich wątpliwościach przychodzę zasięgnąć twojej rady. Tyś zauważył dzisiaj mój uśmiech, gdy Maxymian ofiarował Jowiszowi wieńce laurowe.

— Widziałem i muszę to zganić, gdyż uśmiech twój wyrażał powątpiewanie o mocy bogów.

— Zgadłeś; nie wierzę w moc bogów, przed którymi zginamy kolana. Przyszedłem do ciebie, aby z ust twoich usłyszeć naukę lepszą.

— Bogowie! — zawołał Heliodor z udanem oburzeniem. — Zamknijcie uszy wasze na bluźnierstwo jego.

— Przyjacielu — dodał arcykapłan, zwracając się do Ameniusza — czyż liczba bogów naszych jest tak mała, że nie mógłbyś sobie którego z nich wybrać, coby cię wysłuchał? Jeśli nie wzbudza zaufania w tobie Jowisz, to masz tysiące innych, do których możesz się zwrócić.

— Słusznie — odrzekł Ameniusz. — Wznosimy krzyki do niemniej jak trzydziestu tysięcy bogów; lecz

nie znam ani jednego, któryby cośkolwiek dobrego komu uczynił.

Heliodor zakrył twarz toga.

— Przerażasz mnie — rzekł. — Obawiam się gniewu bogów, aby nie cisnęli gromów na głowę twoją.

— Ameniusz wybuchnął śmiechem.

— Gdyby się na to zdobyć mogli, miałbym o nich lepsze wyobrażenie. Ale ty mnie podniecasz, tak że dłużej nie mogę się powstrzymać, aby nie wypowiedzieć swego zdania o tej całej bogów klice. Gdyby to były istoty żyjące, musiałbym ich nienawidzić całą pełnią uczuć. Toć są oni wyobrażeniem wszelkiego występku, kłamstwa, oszukaństwa, obżarstwa, pijaństwa, nieczystości, zabójstwa, złodziejstwa itd. Jeden drugiemu zabiera żonę i cieszy się, gdy tamten wije się w rozpacz. W Olympie nie dzieje się inaczej, to zakład rozpusty. Rzeczywiście, zepsuty nasz świat nie mógł odpowiedniejszych wybrać sobie bogów, jak takich, którzy zezwalają na wszystko, co może dogodzić zmysłowości ludzkiej. Ale szczęście, że owe trzydzieści tysięcy bogów wcale nie istnieją i śmiesznem jest, że się wogóle o nich mówi.

Areykaplan chciał mu przerwać, ale Ameniusz powstrzymał go.

— Poczekaj, aż skończę; a potem możesz wypowiedzieć swoje zdanie. Niewątpliwie wiesz o tem, że uczeni nasi w całą tę armię bogów nie wierzą. Śmieją się z tego, że rozum ludzki mógł sobie stworzyć takie monstra i do nich się modlić. Każdy naród przez nas pobity, przysyłał do Rzymu swoje bóstwa; stąd ich liczba tak wielka, że ich wcale nie możemy policzyć. I jeszcze długo byłyby się owe bóstwa utrzymywały na tronach swoich, gdyby nie chrześcijanie. Z rzadką odwagą udowodnili już ojcom naszym, że wierzymy w coś, co wcale nie istnieje. Za to ich wiązano, mordowano, pieczono żywcem na ogniu, smarowano w oleju, palono, ścinano, drapieżnym zwierzętom rzucano; a jednak spo-

wodowali nas, że musieliśmy wejść w siebie i zastanowić się nad tem, czem są nasze bóstwa i przyszlismy do przekonania, że ośmieszymy się przed całym światem, jeżeli będziemy trwać w dotychczasowej wierze — w nic. Coś musieliśmy chrześcijanom na ich wywody odpowiedzieć. Więc poddaliśmy bogów naszych gruntownej kontroli i oświadczyliśmy, że owe całe boskie zastępy kobiet i mężczyzn, to nie osoby, ale ukryta idea.

— Któryż więc jest Bóg prawdziwy?

— Jeśli nazwie, przerazisz się i odsądzisz mnie od zdrowych zmysłów; ale nie mam powodu myśli moich tacić.

— A zatem?

— Ty sam, Heliodorze, nie wierzysz w bogów, którzy cię tuczą.

— Któż ci to powiedział?

— Po twojej twarzy to poznałem już kilka lat temu; a przed pół godziny słyszałem na własne uszy, gdyś brał w ręce wieńce wawrzynowe, złożone na łonie Jowisza. Twoje własne usta to wymówiły. Dziwiłem się tylko, iżś nie poszedł do cesarza i nie cisnął mu pod nogi przepaski arcykapłańskiej.

Heliodor zbladł jak chusta.

— Nie obawiaj się niczego — dodał Ameniusz — nie jestem zdrajcą; ale pobudza to wesołość moją, iż widzę cię udającego wiarę w bogów, dlatego, że cię żywią. Otóż zjadasz soczewicę żydowską w czarze ofiarnej.

Arcykapłan ochłonął z pierwszego przerażenia.

— A więc który jest Bóg prawdziwy?

— Bóg chrześcijan — odrzekł Ameniusz.

— Fui! — zawołał Heliodor. — Fui, że dotąd nie przyłączyłeś się do ich społeczności.

— Oj, jakiś ty żarliwy — odrzekł, śmiejąc się Ameniusz. — Pewnie, że trzeba było tak uczynić.

Ale powiem ci otwarcie, nie dość mam siły wyzbyć się wszystkich ułomności moich; a to konieczne, chcąc zostać chrześcijaninem.

Wygodniej mi żyć w pogaństwie, gdzie na wszystkie słabości jest wyrozumienie. A prócz tego stanowisko chrześcijan jest w tej chwili nieprzyjemne.

Dyoklecyan mieni się bogiem i chce, aby mu cześć boską oddawano. Tego chrześcijanie nie uczynią, bo czczą tylko jednego Boga. Dlatego rychlej czy później wybuchnie walka między Dyoklecyanem a chrześcijanami, która się skończy upadkiem jego albo chrześcijan. Wierzej mi, że jesteśmy w przededniu krwawych prześladowań chrześcijan; ale to prześladowanie skończy się zupełnem zatraceniem pogaństwa, a chrześcijaństwo zasiądzie na tronie zwyciężkim.

Arcykapłan podparł głowę na dłoni i zamyślił się głęboko.

— Bacz — dodał Ameniusz — aby cesarz nie dowiedział się o twojej pogardzie dla bogów. Byłby to straszny dla niego cios, gdyby się dowiedział, że nawet najwyższy kapłan porzucił bogów i upadł do nóg Kajusowi.

— Nigdy to się nie stanie! — zawołał Heliodor. — Tyś źle słyszał. — Cesarz wie, że jestem wiernym sługą bogów.

— Słusznie, słusznie, mój Heliodorze!

Ja też wiem o tem, kłóży myślał inaczej? Bądź zdrów!

II.

Tego samego dnia jeszcze wysłał Maxymian rozkaz, który na roli papyrusowej namalował pędzlem prefekt Riktiowarus, do Egiptu, aby natychmiast wysłano do Rzymu legion złożony z Tebaidów.

Mineło kilka tygodni, gdy legion tebaidzki wkroczył do Rzymu. Mieszkańcy wybiegli naprzeciw, aby przyjrzeć się ogromnym postaciom Egipcyan. Szczególną uwagę zwracał na siebie już to atletyczną budową ciała, wzrostem, już też godnością dowódzca legii —

Maurycy. Po dokonanych przeglądzie wojsk, udał się Maurycy do swej kwatery, aby się obinić z kurzawy, a potem pójść do Palatynu przedstawić się cesarzowi Dyoklecyanowi. Nie otrzymał jednak posłuchania, gdyż cesarz zajęty był ważnemi sprawami państwowemi. Przyjął go w imieniu cesarza Sebastyan, dowódzca pretoryanów, i z rozkazu cesarskiego oprowadził go po palacu, pokazując wszystko, co było godnego widzenia. Po drodze zaszli do kaplicy cesarzowej, do której drzwi były otwarte. Weszli. Maurycy przeżegnał się, ukląkł u stóp ołtarza i odmówił pościu krótką modlitwę. Sebastyan przyglądał mu się ze zdziwieniem.

— Tyś chrześcijanin? — zapytał Maurycyego, gdy tenże wstał.

— Nie ja sam, ale wszyscy moi oficerowie i większa część legii.

Kaplica w palacu cesarskim, to dla mnie niezwykła a miła niespodzianka.

— Cesarzowa i córka jej są chrześcijankami.

— A ty? — zapytał Maurycy.

— Już od dawna.

— Dziwne to zaprawdę; sądziłem, że w Rzymie otoczony będę samymi poganami, a pierwszy człowiek, z którym rozmawiam, to chrześcijanin.

A co dziwniejsze, że zajmujesz tak wybitne a odpowiedzialne stanowisko.

— Cesarz Dyoklecyan jest człowiekiem sprawiedliwym i łagodnym; ale zbliża się czas, że ulegnie podszeptom zauszników, i nastanie prześladowanie jak za Nerona.

— Poczem tak sądzisz?

— Każdą burzę zapowiada daleki pomruk grzmotu. I teraz tak się dzieje. Przebąkują o nowem prześladowaniu; unikają nas, traktują jak trądem zarażonych. Każde nieszczęście, każde niepowodzenie oręża rzymskiego przypisują wpływowi chrześcijan, uważają jako karę bogów. Powstanie strasznie uciemnionych Ba-

gaudów również kładą na karb wpływów chrześcijańskich. Gdy takie wieści stają się coraz głośniejszymi, jest to zapowiedź blizkiej burzy. Maksymian nienawidzi chrześcijan i walki, jaką planuje, pewnie odwlekać nie będzie.

Maurycy spuścił smutny wzrok ku ziemi; zrozumiał, w jakim znajdzie się przykrem położeniu wraz z legią swoją.

Gdy opuścili kaplicę, już wieczór zaległ nad murami miasta.

— Za godzinę czekaj mnie przed Porta Mugonia — rzekł Sebastyan. — Wprowadzę cię na zebranie braci naszych.

Maurycy skinął głową na znak zgody; uściśnął przyjacielowi rękę i pospieszył do kohort swoich. Tamże zastał dowódców wielce wzburzonych.

— Czy prawda to — zarzucili pytaniami wchodzącego trybuna — że dlatego ściągnięto nas z Tebaidy, aby poprowadzić przeciw chrześcijanom w Galii?

— Takie i mnie doszły posłuchy — odrzekł Maurycy — ale wieściom tym nie można wierzyć.

— Głoszą je jako stanowczą prawdę — zauważył Tyrsus, — a w oczach jego błyszczała stanowczość i męstwo.

— Czy wobec tego — podchwycił Ursus, dowódca kohorty — jest obowiązkiem naszym przyłożyć ręki do tak niecnego dzieła?

Także inni dowódcy kohort wyrażali swe niezadowolenie. Gwar rósł z każdą chwilą i zamienił się w ogólny hałas. Przypomnieli sobie dowódcy, że już w Tebaidzie lała się krew niewinnych dlatego, że nie chcieli składać ofiar bogom.

Na rozkaz trybuna zaległa nagle cisza.

— Bracia — odezwał się Maurycy — nam, żołnierzom, nie przystoi krytykować rozkazów władzy wyższej. Dopóki nie pogwałcą sumienia naszego, obowiązkiem naszym jest — słuchać! Cóż by się stało, gdyby

legie przeciwko rozkazom głos podnosić mogły? Byliście świadkami, jak legie okrzykiwały cesarzów; a że nie byli oni wybrani po woli ludu, nie długo trwało ich panowanie; jedni ginęli od sztyletu, drudzy od trucizny, innych wrzucono na dno Tybru. Oczekajmy, aż nie zażądają od nas czegoś takiego, czego byśmy nie mogli pogodzić z sumieniem naszym, a coby wykraczało przeciwko przykazaniom boskim.

Dowódcy nie byli zadowoleni z odpowiedzi trybuna, ale że oświadczył im, że mogą pójść z nim na zebranie chrześcijan, umilkli.

O oznaczonej godzinie znalazł się Maurycy z towarzyszami swymi przed Porta Mugonia; niedługo potem przyłączył się do nich Sebastyan. Po krótkich przywitaniach, udali się na pole Marsowe.

Sebastyan zawrócił w ulicę Via Lata (ulica Szeroka), a stamtąd w boczną, wąską uliczkę. Stanęli przed domem, na którym widniał krzyż uwity z róż. Sebastyan uderzył trzy razy kołatką. Drzwi się otworzyły; odźwierny poprowadził ich do sali, której posadzka wyłożona była białymi płytami marmurowemi. Była to sala podobna do wielkich sal bogatych Rzymian, tylko że w niszach nie było posągów bóstw pogańskich, ale statuy apostołów. Między filarami z takiego samego marmuru ustawili się wierni; w głębi na wywyższonem miejscu siedział papież Kajus. Sebastyan z towarzyszami przeszedł środkiem sali i zbliżył się do papieża, który podał mu rękę do pocałowania.

— Bądź błogosławiony, synu mój — rzekł Kajus — i twoi towarzysze.

Także Maurycy i dowódcy kohort oddali szacunek papieżowi i zajęli miejsca po bokach. Dyakoni składali po kolei sprawozdanie z poszczególnych dzielnic miasta o położeniu ubogich. Kajus słuchał wszystkich z uwagą; u stóp jego siedział sekretarz spisujący sumy, jakich dyakonie na ulżenie biedy potrzebowali. Wysłu-

chawszy wszystkich, skinął Kajus na skarbnika, aby się zbliżył.

— Bieda wśród wiernych wzmagą się z dniem każdym — rzekł Kajus; — aby jej zaradzić, potrzeba ofiar większych. Nie mamy obecnie w kasie ani denara. Ofiarowała mi cesarzowa Walerya krzyż wysadzony drogiemi perłami, abym go nosił w czasie większych uroczystości. Sądzę, że nie będzie się gniewała, gdy go oddam skarbnikowi, aby go spieniężył, a pieniądze zużył na wspomnienie nędzy. Zdjął krzyż z szyi i oddał skarbnikowi. Przykład ten pobudził innych do ofiarności. Składano pieniądze i kosztowności, jakie kto miał przy sobie.

Gdy podzielono zebrane pieniądze między dyakonów i załatwiono się ze sprawami ubogich, opuścili wojownicy tebaidzcy z Sebastyanem, podniesieni na duchu, zgromadzenie. W bliskości Kolosseum przystanął Maurycy, położył rękę na ramieniu Sebastyana i rzekł głosem poważnym: — Nie pewne jest życie wojownika, śmierć czyha na niego każdej godziny; a mówi mi przecucie, że nie ujrzę już Rzymu ani Tebaidy. Na cóż mnie pieniądz i kosztowności. Nie mam domu ani rodziny; pędzę życie w służbie cesarskiej -- dziś tu, jutro tam. Dla tego oszczędności moje noszę przy sobie. Jeśli zginę, weźmie je swój, albo nieprzyjaciół. Lepiej więc uczynię, gdy przykładem Kajusa oddam dobytek mój na utarcie łez biednym. Weź ten pieniądz i te perły i wręcz je skarbnikowi.

Wszystko, co posiadał, wręczył Sebastyanowi. Tak samo postąpili dowódcy kohort. Każdy się zbliżał i oddawał, co miał. Uściśnieniem ręki podziękował im Sebastyan i udał się natychmiast do Kajusa, aby złożyć u stóp jego ofiarę dowódców legionu tebaidzkiego.

W kilka dni później ruszyły legiony do Galii na zgniecenie Bagaudów. Maxymian przysposobił wszystko, aby silną ręką utrzymać to, co Juliusz Cezar zdobył. To zadanie moje, mawiał, i spełnię je. Liczba

wojowników wielka; wojska uposażono we wszystko, czego w wojnie potrzeba, aby zbyt wielkie niewygody niepotrzebnie nie wyczerpywały sił żołnierza.

Za wojskiem posuwały się niezliczone wozy z przyrządami do zdobywania twierdz.

Aż do mostu Milwijskiego towarzyszyły legionom rzesze Rzymian, życząc im zwycięstwa i szczęśliwego powrotu.

Gdy legiony minęły most i weszły w góry, wrócili Rzymianie do domów.

Prefekt Riktiowarus jechał tuż przy boku Maxymiana.

— Panie — odezwał się prefekt — niewątpliwie obmyśliłeś plan ujarznienia Bagaudów dobrze. Jeśli to nie sprzeciwi się woli twojej, racz mnie objaśnić, co zamierzasz uczynić.

Maxymian spojrzał na niego zdziwiony.

— Niesłuszną jest, że poddany pyta swego dowódcę o plany jego. Ponieważ jednak wierzę w wierność twoją, więc odpowiem na twoje pytanie. Powstanie rozszerzyło się na kraj od gór rozdzielających Italię od Galii aż do morza; a liczba powstańców jest niezmiernie wielka. Nie są oni nam niebezpieczni, gdyż rozrzucony po całym kraju; uzbrojeniem i sztuką wojenną nam nie dorównują. W przykre położenie moglibyśmy dostać się tylko wtenczas, gdyby połączonymi siłami na nas uderzyli. Aby temu przeszkodzić, rozdzielię wojsko nasze po tamtej stronie Alp na dwie armie. Gdy my tam pozostaniemy dla wypoczynku, drugą połowę wyśle wzdłuż Renu. W ten sposób zaatakujemy nieprzyjaciół na wielu punktach od razu i przeszkodzimy zgromadzeniu się w jednym miejscu.

— Podziwiam mądrość twoją. Gdy zgnieciesz chrześcijan, zniszczysz także ognisko buntu.

— Nie jesteś przyjacielem chrześcijan? — zapytał Maxymian.

— Jakżebym mógł być ich przyjacielem! Poświęcają oni wszystko, nawet śmierć lekceważą sobie, gdy chodzi o podkopanie bytu państwa, tronu, wiary w bogów.

W pospiesznych marszach przebył Maxymian Italię. Gdy przeszedł Medyolan i górę św. Bernarda, podzielił wojsko swoje według powziętego planu. Część wojska, w której także Tebaidzi się znajdowali, wysłał naprzód. Otrzymali oni dokładne instrukcje, w których miastach nad Renem i nad Mozela mieli pozostawić garnizony. Legiony pozostałe z Maxymianem, otrzymały rozkaz natychmiastowego wytopienia Bagaudów.

Źle uzbrojeni chłopci, w walkach orężnych niewyćwiczeni, ulegali na każdym kroku sprawnym w wojennym rzemiośle legionom rzymskim. Kogo nie zamordowano, tego brano w niewolę; a tych los był tem okropniejszy. Spostrzegli wnet wojownicy z Tebaidy, że wyprawa zwraca się tak przeciwko powstańcom, jak przeciw chrześcijanom, więc w zapale wojennym znacznie ostygli. Utwierdziło ich w tem mniemaniu także, że ktokolwiek z brańców przyznał się do wiary Chrystusowej, to go w tej chwili zabijano; nie darowano życia ani starcom, ani kobietom, ani dzieciom. Riktiowarus nie taił zamiarów Maxymiana i swoich, powtarzał głośno, że nie pozostanie przy życiu ani jeden chrześcijanin. Oburzeni tem Tebaidzi, zaniechali dalszego ścigania Bagaudów. W marszach zaszli do Agaunum (dzisiejsze St. Maurice w Szwajcaryi). Tutaj nadszedł goniec cesarza Maxymiana, który pozostał w Octodurum (Martigny) z rozkazem wstrzymania dalszego pochodu. Rozłożyli się obozem żołnierze w dolinie otoczonej wysokimi skałami i czekali dalszych rozkazów.

Powód do tego był następujący: Już w pierwszych dniach marszu wyszpiewował Riktiowarus, że wśród legionów znajdują się chrześcijanie. Pienił się od gniewu Maxymian i pokarał wszystkich śmiercią. Gdy mu doniósł Riktiowarus, że liczba chrześcijan w wojsku

jest znacznie większa i że legion teбайдzki z samych wyznawców Chrystusa prawie się składa, wpadł w szal:

— Śmierć im! — wolał — jeśli to prawda jest. I ja sprowadziłem ich aż z Egiptu, sądząc, że z Gallami nie mają nic wspólnego! Powiedz, jakże się to dzieje, że wiara chrześcijańska szerzy się po całej ziemi i poczem się oni poznają?

— Po znaku krzyża — odrzekł Riktiowarus.

— Więc prowadzę chrześcijan przeciwko Bagaudom. Czy jesteś pewny tego, że legia teбайдzka z chrześcijan się składa?

— Najzupełniej.

— W godzinę później pędził co koń wyskoczy Riktiowarus w towarzystwie kilku jeźdźców z pismem cesarskim w ręku, w stronę Agaunum.

Przybywszy do obozu, podążył do dowódcy i oddał mu pismo.

— Zechciej wykonać rozkaz cesarski bez zwłoki — dodał — aby ze wschodem słońca wszystko było w pogotowiu, gdyż cesarz sam chce być obecnym.

Trybun rozwinął rolę papyrusową, a rzuciwszy okiem na pismo, pobladł; lecz wnet opanował wzruszenie i rzekł spokojnie:

— Ze wschodem słońca wszystko będzie w pogotowiu.

Na odgłos rogu zeszli się wszyscy oficerowie. Niedługo potem dosiedli koni i popędzili do swoich kohort z rozkazem ustawienia się w szyku przez cesarza przepisany. W okrag doliny, wzdłuż skał ustawiły się legie, na które Maxymian mógł polegać najwięcej, potem te, które mniej okazały zapalczywości w ściganiu Bagaudów; potem takie, które zachowywały się dość obojętnie, a wreszcie legion teбайдzki. W ten sposób został on otoczony potrójnym pierścieniem.

Gdy noc zapadła, rozniecono ognie a niebotyczne skały otaczające obóz, rysowały się jak olbrzymie widma na ciemnem tle nieba. Zabrzmiały rogi na znak

odpoczynku. Poganie wzywali opieki bogów; jeden modlił się do Jowisza, drugi do Herkulesa, trzeci do Apola, stosownie do tego, jaki był zwyczaj w domu lub jaki kult uprawiał się w rodzinnym kraju. Żołnierze legii tebaidskiej pokłękli i ze złożonymi rękami modlili się do Boga żywego, Boga prawdziwego.

Riktiowarus przechodził szeregi, uważając pilnie, którzy żołnierze pokłękli, i spostrzegł, że żołnierze w legii tebaidskiej klęczeli prawie wszyscy.

Pogasły ognie i nad obozem zaległa cisza, przerywana miarowymi krokami straży, odbijającymi się głuchem echem od ścian skał.

Zaledwie pierwszy promień zajaśniał na dalekim wschodzie, zabrzmiały rogi, a skały skalom podawały głos ich, jakoby wzbudzone do życia, ślały sobie pozdrowienia. Żołnierze popowstawali i poustawiali orły rzymskie, czekając rozkazów. Nagle wyniesiono z namiotu dowódcy dwa posągi, Jowisza i Dyoklecjana, i ustawiono je na wywyższeniu, a między nimi krzesło.

— Mamy składać ofiary — szeptano.

— Mamy składać ofiary — rzekł Maurycy, a na twarzy jego osiadła chmura smutku.

Z dala zabrzmiały surmy, zatętniły kopyta końskie.

— Niech żyje cesarz! — wrzasnęły wojska.

Maxymian nie odpowiedział; gniew błyskał z oczu jego! Stanąwszy przed posągami, zsiadł z konia, pokłonił się naprzód Jowiszowi, potem Dyoklecjanowi i usiadł na krześle.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Wstał z krzesła i głosem grzmiącym zawołał:

— Przystąpiliśmy granicę Italii i wkroczyliśmy na ziemię nieprzyjaciół naszych. Według dawniejszego zwyczaju wzywam was, abyście złożyli ofiarę imperatorowi i bogom, i tak wierność swoją zaznaczyli. Przed wami stoją posągi: Jowisza i imperatora! Im złożycie ofiarę. Baczność!

Gdy usiadł znowu na krześle, wystąpiło dwóch kapłanów. Podano im naczynia z kadzidłem, przed posągami ustawiono kociołek z ogniem.

Na rozkaz dowódcy zbliżali się żołnierze po kolei i rzucali ziarna kadzidła na ogień; pokłoniwszy się Maxymianowi, odchodzili. Działo się to tak długo, aż wreszcie zbliżył się żołnierz, który na widok srebrnej szufelki, jaką mu podawał kapłan, poczał drzeć na całym ciele, oczy powlokły się mgłą, twarz pobladła, upadł zemdlny. Złośliwy uśmiech przebiegł po twarzy Riktiowarusa. Kazał nieszczęśliwego podnieść.

— Dlaczego nie ofiarujesz? — zapytał

— Religia moja zakazuje mi tego.

— Do jakiej religii się przyznajesz?

— Chrześcijańskiej.

Na znak dany przez Riktiowarusa został rozbrojony i zaprowadzono go między skały.

Ofiarę składano dalej. Od czasu do czasu następowała przerwa; z opornymi postąpiono, jak z pierwszym. Przyszła kolej na legię tebaidską.

Maurycy wystąpił przed dowódców swoich kohort.

— Przyjaciele! — odezwał się — Pan Bóg nas doświadcza, dziś mamy bez ochrony wyznać Boga. Czeka nas śmierć. Tysiące już śmierć męczeńską poniosło, mężnie, odważnie. Nie zapominajcie, że może ona nas zaskoczyć jutro, pojutrze, każdej chwili — może bez pożytku dla duszy, na zgubę naszą. Dlaczego nie moglibyśmy ponieść jej dzisiaj? Bądźcie wiernymi Chrystusowi i nie splamcie duszy waszej grzeszną ofiarą.

Rozbrzmiał rozkaz ofiarowania. Legia z Maurycym na czele, ruszyła z miejsca. Gdy Maurycy chciał przejść bez ofiarowania, Maxymian zawołał:

— Maurycy, ciężkie przeciw tobie wyłoczono oskarżenie, że nie dość energicznie zwalczasz Bagaudów. Zmyj tę plamę, ofiarując bogom; a przebaczę ci i wywyższę.

— Zbyt wysokiej żądasz ceny za łaskę swą. Posłuszny jestem tobie zawsze, ale bogom ofiarować nie mogę.

— Wzbranasz się? Więc powiedz, jaki jest powód tego.

— Cała legia tebaidska stoi na twoje rozkazy; ale nie żądam od nas, abyśmy plamili ręce nasze krwią niewinną. Twci jesteśmy, ale chrześcijanie i słudzy boscy. Boga naszego, który nas stworzył i odkupił, zaprzec się nie możemy.

Maxymian zwrócił się do legii, żądając spełnienia ofiary. Wszyscy odmówili stanowczo. Tedy wydał rozkaz zdziesiątkowania legionu z Maurycym na czele; a gdyby to nie pomogło, zdziesiątkowanie powtórzone.

Rozgniewany do szalu, skoczył na konia i odjechał.

Wszyscy patrzeli ze zdumieniem na legię tę. Było coś wielkiego w zachowaniu się tych ciemnych wojowników, coś, co napelniało przeciwników czcią i obawą. Dowódca armii jeszcze raz starał się skłonić Maurycego do ofiary, lecz daremnie.

— Moglibyśmy się skutecznie bronić — odrzekł Maurycy — gdybyśmy chcieli, widzisz, iż mamy w ręku miecze; a do tego rozpacz i obrona życia dodają męstwa przeciw największemu wojsku; ale dla Boga naszego wolimy śmierć męczeńską, aniżeli zwycięstwo. Oto patrz, iż zbroję składamy i na ziemię rzucamy miecze nasze; już ręce bezbronne, ale serca w wierze świętej umocnione znajdziesz.

To mówiąc, odpiął miecz i złożył go u stóp dowódcy; tak samo postąpili inni. Odliczono co dziesiątego, a z nimi Maurycego.

Otoczono ich i wycięto. Straszliwy był to widok. Mordowano bezbronych, przeważnie klęczących, pogrążonych w modlitwie. Umierali bez skargi, krew try-skala strumieniami, oblewając katów.

Dowódca zwrócił się do pozostałych i powtórzył pytanie, czy chcą walczyć przeciwko Bagaudom i ofiarować bogom?

— Nie! — odrzekli.

Znowu odliczono co dziesiątego i spotkał ich ten sam los.

Widząc, że okrucieństwem nie wiele zdziała, starał się dowódca przemówić do serca reszty wojowników.

— Widzieliśmy umierających braci naszych — odrzekli — ale śmierci ich nie oplakujemy; przeciwnie, radujemy się, że z takim męstwem dali świadectwo prawdzie. I my jesteśmy gotowi umrzeć. Chrześcijan prześladować nie będziemy, bo sami chrześcianami jesteśmy. Ofiary nie złożymy. Czyż z nami, jakoś z braćmi naszymi uczynił.

I oni wszyscy ponieśli śmierć męczeńską, jako tamci.

Wymordowano także markietanów i kobiety tebaidzkie. Nie zginęli oni od miecza, ale przebijano im gwoźdźmi skronie.

Pomęczyli się oprawcy, ziemia pokryła się stosami ciał martwych, a krew spłynęła strumieniami do Rodanu. Działo się to dnia 22 września 286 roku w Aganum.

Ciał Rzymianie nie pochowali, ale zostawili na żer ptakom drapieżnym.

Gdy odeszli, ulitowali się okoliczni wieśniacy; zwłoki szeregowców pochowali w wspólnym grobie, a Maurycego i dowódców kohort w osobnych.

Rozniosła się wieść o bohaterskiej śmierci legii tebaidzkiej. Mieszkańcy z okolicy odwiedzali grób legionistów z nabożeństwem; a w sto lat później biskup Teodor z Octodurum, spełniając życzenia wiernych, pozbiierał kości męczenników i wybudował na ich grobie kościół, w którym oddaje się szczególną cześć św. Maurycemu i jego towarzyszom.

Miejscowość tę nazwano na cześć św. Maurycego

Riktiowarus pospieszył, po owej strasznej rzezi, za wojskami, które już pomaszerowały naprzód. Miał on rozkaz wysiedzenia chrześcijan i oddania ich pod miecz katowski.

W Soloturnie dogonił oddział, w którym znajdowali się także Tebaidzi. Dnia 31 września zostali oni straceni, między nimi Ursus.

W pospiesznych marszach przybył do Trewiru nad Mozela. Było to wówczas jedno z najwspanialszych miast państwa rzymskiego. Znajdowało się ono w rękach Rzymian 337 lat. Nie zaniedbali Rzymianie niczego, coby mogło wpłynąć na rozkwit miasta. Rzym w Italii, Trewir w Galii był metropolią dominującą nad obszernemi ziemiami. Stąd wychodziły wspaniałe drogi na wszystkie strony świata. Miasto zamieszkałe było w wielkiej części przez Rzymian zajmujących najpiękniejsze gmachy i precudne w okolicy wile. Wszystko, do czego Rzymianin przywykły był w Rzymie, miał i tutaj: amfiteatry, zbytłownie urządzone kąpielnie, wodociągi, świątynie, pałace itd. Było tu wszystko urządzone doskonałe, ku wygodzie panów świata — Rzymian. Tu w mieście zamieszkał podczas wyprawy przeciwko Germanom cesarz Galienus w r. 253.

Przechowane zabytki i wykopaliska potwierdzają, że Trewir był jednym z głównych ognisk życia rzymskiego i pogańskiego równocześnie.

Ale w owych czasach już też i duch chrześcijański zapuścił tu głębokie korzenie.

Przysyłano tu dotąd z Rzymu coraz nowych urzędników, zmieniano często garnizony, a wśród przybyśzów było wielu chrześcijan, roznoszących naukę Chrystusową.

Ludzie uczeni przejrżeli, że wiara w bóstwa utrzymać się nie może; a kto posiadał czucie szlachetniejsze, poznawał nicość bóstw, brzydził się niemi — owemi bóstwami występku i ich kapłanami okłamującymi siebie i lud. Wiara Chrystusa miała tutaj wielu wyznaw-

ców, szczególnie wśród sfer inteligentnych, choć się z tem ukrywano, aby nie narazić się na prześladowanie.

W pierwszych dniach października przybył do Trewiru oddział Tebaidów, około 660 ludzi, pod wodzą Tytusa i Bonifacego.

Żołnierze rzymscy i Tebaidzi, którzy odłączyli się od głównej armii, rozłożyli się obozem na polu Marso-wem, pomiędzy dzisiejszym kościołem św. Paulina i Porta nigra. Z podziwem przyglądali się mieszkańcy Trewiru brunatnym postaciom Tebaidów, bo jakkolwiek byli często świadkami przemarszów wojsk rzymskich, Egipcyan zobaczyli po raz pierwszy.

Gdy noc zapadła, udał się Tyrsus do podwładnych sobie żołnierzy.

— Bracia — rzekł — doszła was już wiadomość o tem, co zaszło w Agaunum — roznieśli ją uciekający Bagaudowie. Co ich wczoraj, nas dzisiaj spotkać może. Agaunum, Soloturn, dziś Trewir. Wspomnijcie na wspaniały przykład, jaki bracia nasi nam zostawili, oddając życie swoje za Wiarę św.!

Wszyscy żołnierze wysłuchali w milczeniu słów dowódcy; żaden nie uląkł się śmierci męczeńskiej, wszyscy oświadczyli gotowość swą umrzeć — za Chrystusa.

Wiadomość o wymordowaniu Tebaidów w Agaunum i Soloturnie doszła także do uszu mieszkańców Trewiru. Chrześcijaninem był także Palmatius, konsul rzymski, i siedmiu senatorów jako też wielu pierwszych obywateli. Nie śmieli jednak zbliżyć się do Tebaidów, gdyż już szpiegowie czynili donosy. Bywa tak często, że ludzie podli i nizcy używają wszelkich sposobów na zgubę dobrych.

Tak bywało i tak dzieje się i dzisiaj.

Zbliżyła się chwila, że owe brudne charaktery, ciemne egzystencje, mogły wypłynąć przez donosy i zasłużyć na uznanie.

Dnia 4 października zjawił się straszliwy przesładowca chrześcijan, Riktiowarus. Wszyscy mieszkańcy spieszyli na plac Marsowy.

Na wywyższeniu ustawiono dwa pomniki: Marsa i Dyoklecyana, ołtarz ofiarny. Na krześle zasiadł Riktiowarus, kapłani stanęli dokoła. Powtórzyły się te same sceny, co w Agaunum.

Do wojska przemówił Riktiowarus, sławiąc świętość bóstw, i wezwał wojsko do ofiarowania.

Tysus i Bonifacyusz wystąpili w imieniu swego oddziału i odmówili ofiary. Ludność wysłuchiwała słów ich z uczuciami rozmaitemi: poganie wyklinali im, chrześcijanie modlili się za nich w cichości.

Riktiowarus zażądał, aby oddział złożył broń.

Tysus odwrócił się do swoich i rzekł:

— Bracia, temu rozkazowi musimy być posłuszni.
— Natychmiast złożył broń na ziemię, a wszyscy uczynili to samo.

Riktiowarus, obawiając się zbyt wielkiego krwi rozlewu na jednym miejscu, rozkazał się oddziałowi rozdzielić na dwie części; z tychże jedna miała przejść przez most na drugą stronę Mozeli.

Uścisk serdeczny ręki, oto ostatnie ich pożegnanie, Poszli.

— Prefekt przeczytał wyrok śmierci przyjęty radośnie przez pogan, z żalem niewymownym przez chrześcijan.

Trzystu trzydziestu Tebaidów wyprowadzono przez Porta Decumana, gdzie stały dziesiąte kohorty legionów rzymskich, na plac, gdzie dziś stoi kościół św. Paulina. Modlących się do Boga, wymordowano do jednego.

Widok był to straszliwy, tak że nawet poganie twarz dłońmi zakrywali.

Według prawa rzymskiego nie wolno było straconych pochować ani też ciała palić. Rozwłóczono ciała hakami i pozostawiono na polach albo wrzucano do wody. Tak stało się i w tym wypadku. Ciała wielu

wrzucano do rowu miejskiego, napełnionego wodą, tak że od krwi woda się zarumieniła. Między zabitymi znajdował się Tyrsus.

Jeszcze niedokończono rzezi, gdy Riktiowarus przeszedł przez most na drugi brzeg Mozeli. Pierwszego spotkał Bonifacego, który padł natychmiast ofiarą nienasyconej nienawiści prefekta. Oddział zaprowadzono na miejsce, gdzie dawniej stał kościół św. Wiktora, i wymordawano wszystkich.

Nie koniec na tem. Szpiegowie nie przestali swej niecznej czynności. Oskarżyli oni wszystkich zacniejszych obywateli.

Już dnia następnego kazał ich Riktiowarus zawołać przed siebie. Ubrani w stroje urzędowe, postępowali: na ciele Palmacyusz, za nim senatorzy: Maxencyusz, Konstancyusz, Krescencyusz, Justinus, Leander, Alexander i Soter. Obydwaj na ostatku wymienieni byli bracia. Prócz tego szło czterech wybitnych obywateli: Hormisda, Papirius, Konstans i Jowianus.

Postępowali ze spokojem wśród krzyków i wrzasków pogańskiej tłuszczy.

Stanęli przed prefektem, który siedział między dwoma postumentami Marsa i Dyoklecjana.

— Doszło uszu moich — rzekł — że sprzyjacie Bagaudom. Zmyjcie ze siebie to podejrzenie, ofiarując Marsowi i cesarzowi.

Odrzekł Palmacyusz:

— Dlaczego ukrywasz prawdziwy powód prześladowania? Ty prześladujesz nas dla religii naszej, iż wyznajemy Boga prawdziwego. Wiedz, że ruchu Bagaudów nie popieramy; tych, co są chrześcijanami, kochamy; Boga prawdziwego się nie zaprzemy; bogom cudzym ofiary nie złożymy.

To samo oświadczyli inni.

Czterech obywateli, którzy dotąd ukrywali się z wyznaniem swoim, a których obecnie Duch św. oświecił, kazał Riktiowarus wziąć na tortury. Męczono ich tak

straszliwie, że poganie obecni, nie mogąc patrzeć na tyle straszhwej męki, pouciekali. Riktiowarus kazał ich, gdy to nie nie pomogło, obnażyć i przywiązanych u słupa ćwiczć różgami; poczem odprowadzono wszystkich i ścięto.

W nocy zabrali chrześcijanie ciała pomordowanych, wydobyli je z kanału miejskiego i z bagien, aby w dniach spokojniejszych pochować po chrześcijańsku. Ciała wybitniejszych chrześcijan osobno odłożono i tej staranności zawdzięczamy, że przechowały się do dnia dzisiejszego.

Nie dość było denuncyantom ofiar; nowe spisy poczynili i przedłożyli Riktiowarusowi. Cnotę uważano za zbrodnię i karano ją. Zaprzysiężono zagładę chrześcijanom zupełną.

Na drugi dzień prowadzono nowe szeregi ofiar. Ustąpił duch lękhwości a duch bohaterski zagrzał do wytrwania. Spieszono na śmierć jakby po dobrodziejstwo.

„Zabij nas, wołano, abyśmy się prędzej połączyli z tymi, co nas poprzedzili“.

Wyludniło się miasto, wymordowano chrześcijan, kilku zaledwie przy życiu zostało.

Od owej chwili straszhwego krwi chrześcijańskiej rozlewu minęło przeszło 1600 lat.

Na placu przed kościołem św. Paulina, kędy się idzie do Porta nigra, stoi stary krzyż. Jest to miejsce, gdzie wymordowano Tebaidów. Naprzeciw krzyża, na drugiej stronie ulicy, znajdują się w czworobok umieszczone cztery granitowe kamienie. Jest to miejsce, gdzie zginął Palmatius z senatorami i czterema obywatelami.

Roku następnego zamieszkał Maxymian w Trewirze. Mimo że chrześcijanie ukrywać się musieli, przecież liczba ich się wzmogła. Ucisk powodował wręcz przeciwny skutek.

Dyoklecyan mniemał, że mianując Maxymiana współregentem, stłumi wrzenie w kraju. Widząc jednak, że zbyt wielkie państwo większego potrzebuje

zachodu w rządzeniu, mianował współregentami jeszcze Galeryusza i Konstancyusza Chlorusa.

W Trewirze, w miejsce Maxymiana, zamieszkał Konstancyusz. Był on chrześcijanem wielce przychylny i gdy w roku 303 Dyoklecyan ogłosił ogólne prześladowanie chrześcijan i kościoły kazał burzyć, Konstancyusz nie zastosował się do woli Dyoklecjana. Aby jednak zachować pozory posłuszeństwa, kazał kilka kościołów uszkodzić, inne zamknąć.

Po śmierci Konstancyusza, objął rządy syn jego Konstantyn Wielki, i również zamieszkał w Trewirze. Według podania miał on zebrać i pochować kości Tebaidów.

Święty Felix, który wybudował kościół Paulina, pochował w tymże prochy Tyrsusa, członków magistratu i obywateli. On to niezawodnie złożył kości męczenników w ogromnych trumnach, które dziś jeszcze stoją w krypcie, a na nich widnieje napis: Tyrsus, Palmarcyusz itd.

Podróżny, który tu dotąd przybędzie, niechaj nie zaniedba zejść do podziemi kościoła św. Paulina, aby zobaczyć groby tych, którzy byli świadkami i ofiarami strasznego prześladowania.

Gdy Riktiowarus dokończył krwawego dzieła w Trewirze, puścił się w dalszą drogę, gdzie największa wrzała walka z Bagaudami: od Reims, Luxemburga, Arlonu, Soissons, Amiens. Wszędzie chwymano chrześcijan, wleczone przed sąd jego. Kto nie był Rzymianinem, temu przedziurawiono głowę gwoździem. Tysiące znaleziono później w ziemi czaszek przedziurawionych — jako świadectwo okrutnego prześladowania i bohaterstwa męczenników.

Po takim prześladowaniu najstraszliwszem, bo ogólnem, nastąpiło zupełne zwycięstwo idei chrześcijańskiej, gdy Konstantyn Wielki, po zwycięstwie przy moście Milwijskim, ogłosił religię chrześcijańską, jako państwową w r. 313.

